

ZAMACH NA DOROBIEK POLSKIEGO PAPIEŻA

**Dlaczego polski Kościół nie broni
Jana Pawła II przed atakami**



TYGODNIK LISICKIEGO

NR 39/546 25 WRZEŚNIA–1 PAŹDZIERNIKA 2023
CENA 9,90 zł (w tym 8% VAT)

DO RZECZY

**Czy odwrót Piłsudskiego
pod Warszawę w 1920 r.
był pozbawiony sensu?**



**JOANNA BOJAŃCZYK
O SPADKOBIERCACH
DYKTATORA MODY
KARLA LAGERFELDA**

**Tęczowe „aktywistyczna”
wybierają się do Sejmu**



POLSKO-UKRAIŃSKA WOJNA HANDLOWA?

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829
9 772299 850000
Nakład: 52 000 egzemplarzy



TANI
PARKING



WYGODNY
DOJAZD



DARMOWY
BUS

**KOMFORTOWY
DOJAZD**

LOTNISKO
WARSZAWA-RADOM

KOMFORT NA STARCIE

I TANI PARKING

LEĆ NA RDO.WAW.PL





PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Kac po wielkiej miłości

Dawno już żadne słowa polityka nie wywołały w Polsce takiego oburzenia, jak wystąpienie prezydenta Ukrainy, Wołodymyra Zełenskiego, podczas sesji ONZ. To, że ukraiński prezydent poruszył kwestię kryzysu zbożowego, nie było zaskoczeniem, ale to, co mówił o Polsce, już tak: „Pracujemy nad ochroną szlaków lądowych. Niepokojące jest to, jak w tej chwili niektórzy w Europie podważają solidarność i organizują teatr polityczny, robiąc thriller ze zboża. Może się wydawać, że odgrywają swoją własną rolę, ale zamiast tego pomagają przygotować scenę dla moskiewskiego aktora”.

Doprawdy, zarzucenie Polakom, że są agentami Moskwy i pomagają jej w wojnie z Ukrainą – a tak można odczytać słowa prezydenta Zełenskiego – jest tak kuriozalne, że zapiera dech w piersi. Po tym, jak Polska przekazała gigantyczną pomoc zbrojną i humanitarną? Z drugiej strony jednak czy można było się spodziewać czegoś innego? Czy rząd nie wpadł we własne sidła?

Pisałem już wcześniej wiele razy o swego rodzaju infantylności polskiej polityki zagranicznej. Cechuje ją, dokładnie tak jak w przypadku dzieci, emocjonalność, skrajność reakcji, uczuciowość, zmienność, brak refleksji nad konsekwencjami własnych działań, a przede wszystkim pomijanie tego, co stanowi istotę stosunków między państwami: sił i interesów. Owszem, polscy politycy też mówią o interesach i korzyściach, tyle że w ich ustach są to tylko frazy retoryczne, formy racjonalizacji, które mają przykryć emocje. Dokładnie tak, sądzę, wyglądała nasza polityka wobec Kijowa. Zasadzała się ona na trzech zasadach: miłości do Ukrainy, zaufaniu do USA

i wrogości do Rosji. Przy czym, co ważne, tak miłość, jak wrogość czy zaufanie miały być całkowite, bezwarunkowe, bezwzględne, bezkompromisowe i bezalternatywne. Dzięki temu od lutego 2022 r. Warszawa, mając za sobą poparcie USA, występowała w roli światowego Katona moralności, który rozliczał wszystkich innych z tego, czy dość czy nie dość wspierają Ukrainę w walce z bezwzględnym i dziejowym złem, które miała stanowić Rosja. W ten sposób Polska zdobyła sobie wiele pochwał liberalnych mediów, to prawda. Jednak takie podejście było też bardzo kosztowne.

Po pierwsze, wielu partnerów Polski z Unii Europejskiej odbierało naszą postawę z rosnącą irytacją. Nic dziwnego zatem, że teraz Francja, Niemcy czy inne państwa odgrywają się na Warszawie i wskazują, że wprowadzając embargo na ukraińskie zboże, łamiemy solidarność z Ukrainą. Dokładnie tego samego argumentu używał przecież wcześniej wobec nich polski rząd przy dyskusji na temat kolejnych pakietów sankcji nakładanych na Rosję.

Po drugie, można śmiało powiedzieć, że głosząc wszem wobec konieczność jak najszybszego i jak najbardziej radykalnego nakładania sankcji, byle tylko osłabić Rosję, Warszawa zaskarbiła sobie jej rosnącą nienawiść. Przypomnę, że przez ostatnich kilkanaście miesięcy można było odnieść wrażenie, że Warszawa stała się bardziej proukraińska i antyrosyjska niż sama Ukraina. To manichejskie podejście, nieliczące się z groźbą rosyjskiej zemsty, może nas drogo kosztować. Śmiałość wynikała tu z tego założenia, że Ukraina nie może przegrać, bo stoją za nią Amerykanie.

Po trzecie, żadne inne państwo nie związało tak mocno swojej

własnej suwerenności z sytuacją wojenną na Ukrainie jak Polska. Tylko polski premier utożsamiał suwerenność Polski z suwerennością Ukrainy, tylko polski prezydent twierdził, że Polska nie ma własnych interesów – reprezentuje tylko ukraińskie. Tak jakby zwycięstwo Ukrainy było czymś przesądzonym, a potencjalny konflikt z Kijowem niemożliwy. Nic dziwnego, że teraz w najgorszym położeniu znaleźli się właśnie rząd i ci politycy, którzy byli twarzą miłości z Ukrainą. Mogę tylko przewidzieć, jaka będzie ich narracja: zapewne będzie to oburzenie wskutek niewdzięczności i podkreślanie własnych dobrych intencji. Cóż, może to kogoś przekona.

Po czwarte, będzie to tym bardziej trudne, że w obecnej sytuacji konfliktu nic nie wskazuje na to, żeby rząd mógł spełnić inną swoją obietnicę, a mianowicie zapowiedź udziału polskich firm w odbudowie Ukrainy. Pomijam kwestię, kiedy miałyby to nastąpić, ale tak czy inaczej wygląda na to, że odbudowę i zyskami zajmą się albo firmy niemieckie, albo – na co wskazuje nominacja na specjalnego reprezentanta rządu USA do spraw odbudowy Ukrainy pani Penny Pritzker – koncerny amerykańskie, związane z demokratami. Pritzker to była szefowa resortu handlu w administracji Baracka Obamy i członkini pochodzącej z Ukrainy zamożnej żydowskiej rodziny Pritzkerów. Innym stałym gościem spotkań z prezydentem Zełenskim jest pochodzący z Izraela Larry Fink, szef korporacji giganta Black Rock. Łatwo zauważyć, kto może liczyć na potencjalne zyski.

Naprawdę mimo całej dobrej woli nie umiem zrozumieć, co udało się osiągnąć Warszawie na Wschodzie. ©©

TEMAT TYGODNIA

16 JAKUB WOZINSKI

POLSKO-UKRAIŃSKA WOJNA HANDLOWA?

Do kogo należy ukraiński biznes rolny

19 MACIEJ PIECZYŃSKI

NA ZRUJNOWANEJ UKRAINIE

22 PIOTR SEMKA

ZIMNY PRZECIĄG W CIEPŁYM WRZEŚNIU

26 ŁUKASZ WARZECHA

UKRAIŃSKA GRA Z BERLINEM

KULTURA

40 JERZY MIZIOŁEK

MIŁOSZ W WOJENNEJ WARSZAWIE

Noblista i uniwersytecka biblioteka

NIE PRZEGAP

42 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

56 MARIUSZ DZIERŻAWSKI

ROSJA JAKO ZŁO ABSOLUTNE

Dokąd zmierza polityka polska

60 DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

CZY ODWRÓT PIŁSUDSKIEGO POD WARSZAWĘ W 1920 R. BYŁ POZBAWIONY SENSU?

62 PAWEŁ CHMIELEWSKI

POPRAWIANIE WOJTYŁY

HISTORIA

64 JACEK KOMUDA

ARMADA KRÓLA ZYGMUNTA

Polacy na morzu

ŚWIAT

70 WITOLD REPETOWICZ

KONIEC EUROPY BLISKI?

Najeźdźcy z Afryki

74 JAN BOGATKO

CZY SIĘ STOI, CZY SIĘ LEŻY

EKONOMIA

76 ROZMOWA Z MARCINEM HORĄŁĄ

NIE BYŁO ŻADNYCH WYWŁASZCZEŃ

Musimy podwoić naszą infrastrukturę dla pasażerów

STYL

82 JOANNA BOJAŃCZYK

TRUDNA SUKCESJA

Lagerfeld (post mortem)

FOT. ANDRZEJ IWANILCZUK/REPORTER

KRAJ

30 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

POLITYKA IMIGRACYJNA KONIECZNA OD ZARĄZ

Zamiast ukrywać problem, trzeba go rozwiązać

32 TOMASZ ROWIŃSKI

AFERA WIZOWA CZY KRYZYS MIGRACYJNY?

34 ROZMOWA Z RAFAŁEM PIECHEM

STAWIAMY NA BOŻY PORZĄDEK

36 ZUZANNA DĄBROWSKA

CZEGO CHCĄ „AKTYWISZCZA”

38 ŁUKASZ ZBORALSKI

TO NIE JEST KRAJ DLA MAŁYCH LUDZI

FELIETONY: SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (14), ŻEBROWSKI, KOPER (68), PRZYBYLSKI (73), GABRYEL, WARZECHA (80), KOMUDA (86), POSPIESZALSKI, KARWELIS (87), JĄSTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (88), KUCHARCZYK (89), CEJROWSKI (90)

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

 Batory Office Building II
 Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
 tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
 e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
 Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**
KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Godek, Krzysztof Masłowski, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemięwicz
STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski,
Wiesław Chelminiak, Dominika Ćosić (Bukseła),
Tomasz Cukiermilk, Krzysztof Czabański, Łukasz Czarniecki,
Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek,
Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalcuk (Rzym),
Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński,
Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta,
Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieromiejczyk,
Jakub Wozniński, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert
PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska,**
Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk,
Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sierkowski, Łukasz Żygado
STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedziółko** (kierownik studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład),
Jacek Nadratowski (obrobka zdjęć)
 Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
 Korekta: **Anna Zalewska, Magdalena Zubrycka-Wernerowska,**
Agata Błaszczak-Stefaniak
RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
 Okładka: **Alexey Furman/Getty Images**
WYDAWCA: Orle Pióro sp. z o.o.

 Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
 tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

 Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
 Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

 Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kłoc

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki
MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza),
 prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek**, tel.: 508 040 664,
 pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829, Nakład 52 000 egzemplarzy
DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

 Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
 ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA: Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

 Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
 składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

 e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
 Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
 w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

 Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
 niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adjustacji
 tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
 autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
 materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.
 © © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
 autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
 artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
 materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„O polskiej polityce wschodniej”, Jan Parys, „DRz” nr 33/2023

Na kanwie znakomitego artykułu Jana Parysa „O polskiej polityce wschodniej” („Do Rzeczy” nr 33/540, 14–20 sierpnia 2023 r., s. 48–49) pozwolę sobie na refleksję. Mniemam, że Ukraina (jako państwo, pomimo bardzo dobrych relacji międzyludzkich między Ukraińcami i Polakami) niestety pójdzie drogą drugie z wspomnianych opcji – czyli, mówiąc brutalnie, na pasku Zachodu (niemieckiego planu Mitteleuropy). Da się instrumentalnie traktować z uwagi na pragnienie dobrostanu. Zwłaszcza po zniszczeniach wojennych to pragnienie zwycięży. (Dla czego mamy nie żyć na poziomie choćby zbliżonym do innych krajów regionu, skoro nie jesteśmy od nich gorsi?). Tę intuicję podpowiada mi ponad 30-letnia znajomość Ukrainy (i wiele przyjaźni z przedstawicielami życia publicznego oraz znajomość tzw. zwykłych obywateli). Nic tylko zgodzić się z autorem, że trzeba być bardzo cierpliwym, co zwłaszcza

w relacjach międzynarodowych jest kardynalną zaletą.

Na marginesie dodam tylko, Panie Ministrze, że sprawczość na Wschodzie posiadamy obecnie niestety li tylko jako goniec Amerykanów. Polska była sprawcza, i to nie tylko na Wschodzie, gdy stanowiła clou Rzeczypospolitej (wielu narodów).

**Z ukłonami dla Autora i pozdrowieniami
dla Redakcji oraz Czytelników
Jan Fedirko**

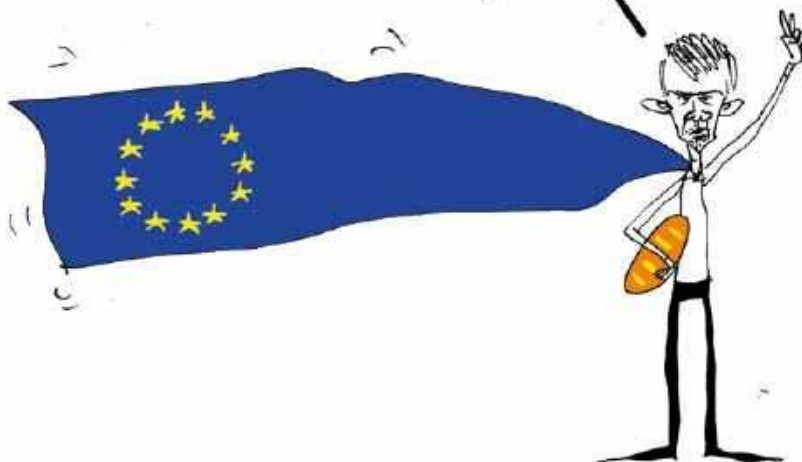
Pierwsze pytanie referendalne

„Wypredaż” w języku polskim oznacza sprzedaż poniżej wartości. Oczywiście nikt znający język polski nie może w związku z tym popierać wypredaży polskich przedsiębiorstw. Pierwsze pytanie referendalne – „Czy popierasz wypredaż państwowych przedsiębiorstw?” – jest zatem bezsensowne, bo to pytanie typu: „Czy ziemia jest okrągła?”

Celem referendum jest uzyskanie odpowiedzi społeczeństwa na różne istotne dla państwa tematy, co do których istnieją wątpliwości. Każde referendum pociąga za sobą bardzo duże koszty organizacyjne (arkusze, liczenie głosów itp.). Tutaj są to pieniądze wyrzucone w błoto.

**Serdecznie pozdrawiam
dr Georg Nowak-Krogh**

Zadanie wykonalne!



C e d r y k r y s z 7 0 0 1



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Brakuje słów

Nie lubię pisać takich tekstów. Ale wszelkie łagodzenie tego typu historii staje się tylko bodźcem do zmiatania takich spraw pod dywan. Media poinformowały o niebywałym skandalu, do którego doszło na terenie jednej z parafii w Dąbrowie Górniczej. Kilku księży z diecezji sosnowieckiej urządziło sobie seksimprezę, na którą zamówiono męską prostytutkę. Zaproszona „gwiazda wieczoru” straciła przytomność. Ktoś z biesiadników wezwał pogotowie, ale pozostali uczestnicy orgii – przerażeni możliwością wyjścia skandalu na jaw – mieli nie chcieć wpuścić ratowników. Prokuratura sprawdza, czy doszło do przestępstwa w postaci nieudzielenia pomocy.

Jak zareagowała kuria sosnowiecka? Poinformowała, że proboszcz jednej z parafii w Dąbrowie Górniczej zawiadomił pisemnie kurię diecezjalną o interwencji pogotowia i policji w budynku należącym do parafii, a biskup sosnowiecki powołał specjalną komisję. W oświadczeniu nie jest jasno określone, czy doszło do

sytuacji niegodnej stanu kapłańskiego, i nie zawiera ono żadnej informacji o tym, w jakim trybie wierni diecezji będą informowani o postępie prac komisji. Sam biskup sosnowiecki, Grzegorz Kaszak, nie wystąpił przed kamerami i nie udzielił choć podstawowych wyjaśnień. Kuria enigmatycznie informuje, że nie wszystkie informacje, które podały media, są prawdziwe. A co się dzieje z gospodarzem seksimprezy? Czy biskup wysłał go do jakiegoś zamkniętego klasztoru, aby w modlitwie rozeznał, do czego się dopuścił? Nic z tych rzeczy. Jak informuje proboszcz parafii, na której terenie doszło do skandalu, ksiądz ten... przebywa na urlopie.

Kolejny raz diecezją sosnowiecką wstrząsa skandal. Trzynastcie lat temu, także za rządów bp. Grzegorza Kaszaka, dziennikarze ujawnili, że rektor sosnowieckiego seminarium, ks. Mariusz T., uprawiał seks w klubie gejowskim, na dodatek przechwalając się swoim stanowiskiem. Biskup Grzegorz Kaszak powołał wtedy komisję, ale nigdy nie zostały ujawnione wyniki jej pracy. Jedynie półtora roku po skandalu

księża diecezji sosnowieckiej zostali poinformowani o rozwiązaniu seminarium oraz odejściu rektora. W Sosnowcu pojawiła się komisja z Watykanu, ale o jej ustaleniach też nie poinformowano wiernych. Już w tym roku w tej samej diecezji doszło do tajemniczej śmierci dwóch kapłanów. Media spekulowały, że doszło do zamordowania diakona przez księdza, po czym sprawca mordu popełnił samobójstwo. Kuria nie wyjaśniła, czy to prawda.

Dlaczego tak drastycznej sprawy nie skomentuje nuncjusz papieski w Polsce? Dlaczego mimo dwóch prawdziwie poważnych spraw rzucających cień na praktykę duszpasterską w diecezji bp Kaszak może dalej nie zabierać głosu? Zastrzeganie się, że media coś tam przekręciły, jest po prostu niepoważne. Bez ewidentnej transparentności w wyjaśnianiu takich spraw Kościół w Polsce będzie bezkarnie obrzucały największymi oskarżeniami. Co jeszcze musi się zdarzyć w Sosnowcu, aby wierni tej diecezji zostali uznani za dostatecznie dojrzałych, żeby mogli wiedzieć, co się dzieje wśród ich kapłanów? ©

MURDOCH ODCHODZI

Potentat medialny Rupert Murdoch ogłosił, że opuszcza funkcję prezesa Fox Corporation i prezesa wykonawczego News Corp. 92-letni Murdoch zaznaczył, że cieszy się dobrym zdrowiem, ale nadszedł czas, by stery przejął jego syn – Lachlan. Imperium medialne Murdocha składa się m.in. z założonego w 1996 r. kanału telewizyjnego Fox News Channel. To dziś jedno z najbardziej wpływowych źródeł informacji na świecie. (luz) ©



Jesteśmy jednym z największych producentów szczepionek na świecie

Nasze portfolio obejmuje innowacyjne szczepionki przeciw półpaścowi, RSV i meningokokom typu B, a także ponad 20 szczepionek od lat stosowanych w profilaktyce:

- krztuśca, tężca i błonicy u dzieci i dorosłych
- odry, świnki i różyczki
- WZW typu A i B
- WZW typu B u osób dializowanych
- inwazyjnej choroby meningokokowej (meningokoki typu B i ACWY)
- zakażeń pneumokokowych u dzieci
- zakażeń rotawirusowych
- zakażeń Haemophilus influenzae typu b
- zakażeń wirusem brodawczaka ludzkiego (HPV)
- ospy wietrznej
- grypy
- polio
- malarii

Jesteśmy wynalazcą platformy systemów adjuwantowych stosowanych w szczepionkach przeciwpandemicznych COVID-19, a także szczepionkach przeciwko HPV, WZW typu B, RSV i półpaścowi.

Każdego roku dostarczamy pacjentom w Polsce prawie 3 miliony dawek szczepionek zabezpieczając zdrowie osób w każdym wieku – niemowląt, dzieci i młodzieży, osób dorosłych oraz seniorów.

20+

szczepionek
w portfolio

~3 mln

dawek dostarczanych
każdego roku dla polskich
pacjentów

4 na 10

dzieci na świecie otrzymuje
każdego roku szczepionkę
GSK

~2 mln

dawek dostarczanych
codziennie pacjentom
na całym świecie



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Kobiety z tubą

Nowa strategia wyborcza Koalicji Obywatelskiej jest taka, żeby zamiast krzykaczy z KOD i Obywateli RP do zakłócania pisowskich wieców wyborczych i konferencji prasowych posyłać – że sięgnę po tak uwielbianą przez opozycję „femina-tywę” – krzykaczki. I to krzykaczki wyposażone przez partię w tubę, czyli – inaczej mówiąc – megafon i immunitet.

Tuba jest niezbędna nawet nie po to, żeby zamplifikować głos niewieści do skali porównywalnej z dawnymi KOD-owskimi wuwuzelami, ale po to, by zmusić do interwencji policję. Kiedy ktoś tylko wrzeszczy, to można dyskutować, czy jego zachowanie wyczerpuje znamiona czynu zabronionego, jakim jest

zakłócanie legalnego zgromadzenia, szczególnie jeśli jest ono związane z kampanią wyborczą. W takim wypadku policja po prostu musi osobę z tubą wylegitymować – a jeśli ta odmawia pokazania dokumentów, to dokonać zatrzymania.

„A tymczasem – my już na nią czekamy! Pstryk!” – jak mówił niejaki Dudała w moim ulubionym filmie Barei. Odprowadzana do radiowozu zostaje natychmiast jednodniową męczennicą (do momentu okazania immunitetu) obiegają tefaleń, a korowód ekspertów przewijających się przez studio przed emisją i po niej rwie szaty, że od tego właśnie – nieszanowania poselskich immunitetów – zaczęli i Mussolini, i Hitler. No, Hitler także od picia piwa, co

błyskotliwie zauważył był niedawno oślawiony prof. Matczak, po której to demaskacji Sławomir Mentzen i Konfederacja pewnie się już nie podniosą.

Do momentu składania tego felietonu do druku męczeństwo poseł Gajewskiej powtórzyła tylko jedna jej koleżanka – poseł Wcisło, która przysłała drzeć się przez tubę w ucho posłowi Kowalskiemu. Coś mi jednak mówi, że to trwała tendencja. Jak już nie wiadomo, co robić, a lewicowo-liberalna lewica najwyraźniej nie wie – to wbijanie na wiece przeciwnika i darcie tam japy jest zawsze na prospie. A i kobiety do zabaw z kajdankami, jak można wnosić z sukcesu megabestsellera o 50 twarzach Greya, garną się chętnie. ©©



MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Nieznośna lekkość obmowy

Tomasz Terlikowski zareagował na mój ostatni felieton na temat kampanii, którą trzykolumnowym artykułem w „Plusie Minusie” podjął przeciw wspólnocie Maximilianum. Teraz się skarży na „niestworzone” zarzuty, np. że „chce odebrać dzieci rodzicom”. Nie wiem, czy ktoś mu to zarzuca, natomiast ja sam napisałem i (!) powtarzam, że po publikacjach Terlikowskiego rodzice z Maximilianum o swoje dzieci się boją.

Nie wiem, czy Tomasz Terlikowski jest aż tak zaślepiiony poczuciem misji, że konsekwencji swych wypowiedzi nie widzi. Czy może po prostu stracił z oczu rzeczywistość? We współczesnym liberal-

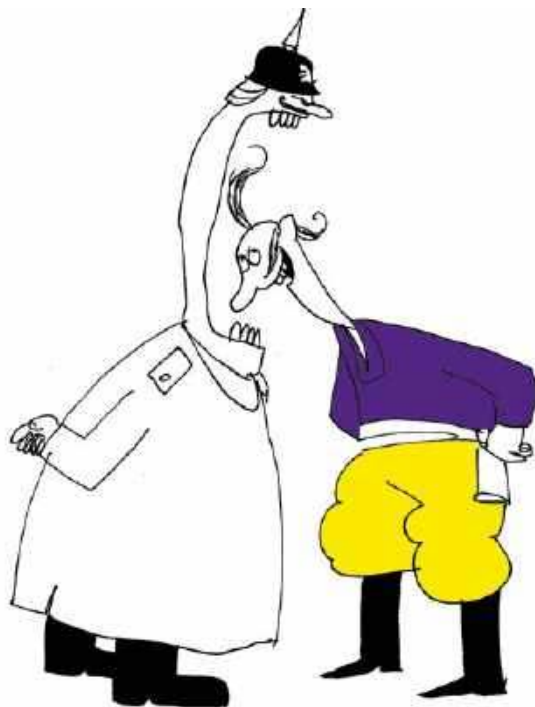
nym społeczeństwie dzieci padają ofiarą nadużyć ze strony władzy, gdy są względnie łatwo (w jednym krajach bardziej, w innych mniej) odbierane rodzicom. To fakt wielokrotnie potwierdzany publicznie, mający również artystyczne echo, np. w znakomitym „Obcym niebie” (współprodukowanym zresztą przez Agorę i TVN).

Acóż tak samego Tomasza Terlikowskiego zaniepokoiło? Na przykład, że dzieci uczą się podawania rodzinie do stołu; straszne! No właśnie. Tomasz Terlikowski obruszył się, że przywołałem po prostu to, co o wspólnocie ks. Kadzińskiego napisał – że „dzieci uczą się w ramach edukacji domowej”, że „rodziny są tu liczne”,

że dzieci „chodzą w mundurkach stowarzyszenia harcerskiego”. No i że rodzice troszczą się sami o ich edukację, bo uważają – jak domniemywa ich intencja Terlikowski – że „świat jest zły”. A przecież powinni zrozumieć – tak jak już sam Tomasz to zrozumiał – że świat jest coraz lepszy!

Swą antymaximilianą kampanię Terlikowski oparł na relacjach dwóch byłych uczestników wspólnoty, panów Kostowskiego i Rybczyka. Życie we wspólnocie nie wszystkim musi odpowiadać, każdy ma prawo być nim zawiedziony i z niego zrezygnować, ale też każdy ma prawo je prowadzić. I właśnie to mógłby Tomasz zrozumieć. ©©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Co by było, **gdyby...**

... włoscy postępowcy przejęli władzę? Dziennik „Libero” opublikował projekt ustawy imigracyjnej, który obóz postępu złożył kilka miesięcy temu w parlamencie. Oto Italia marzeń lewicowców.

Kraina gościnna i otwarta. Przestępstwo nielegalnego przekroczenia granicy wykreślono z k.k. Do Italii może przybyć każdy, kto chce i kiedy chce, a na dodatek na ile chce. Przybysz na dzień dobry otrzymuje dwuletnie prawo pobytu, odnawiane po stwierdzeniu, że delikwent się zintegrował. Dotyczy również tych, których podania o azyl czy inną formę ochrony zostały odrzucone. Wystarczy zaświadczenie o pracy, przejściu darmowego kursu zawodowego albo wpis na listę bezrobotnych

w urzędzie pracy. Przybyszom, którzy tych warunków nie spełniają, pozostaje równie skuteczne złożenie oświadczenia o gotowości podjęcia pracy. Przestępcy pospolici nie mają się czym martwić. Odmowa prawa pobytu grozi jedynie za bardzo poważne przestępstwa. A wydawałoby się, że miejsce groźnych przestępców jest w więzieniu... A co z tymi, którzy zdecydowaliby się na powrót do domu? Państwo włoskie będzie im bezwarunkowo wypłacać emeryturę. Włosi, by ją otrzymać, muszą płacić składki przez minimum 20 lat.

Wbrew pozorom projektu ustawy nie pisała oszołomiona parlamentarna skrajna lewica po kilku skrętach. Podpisały się pod nim m.in. prze-

wodnicząca największej opozycyjnej Partii Demokratycznej Elly Schlein i przewodnicząca klubu parlamentarnego tej partii Debora Serracchiani. A skoro już o niej mowa, to jako gubernator regionu Friuli-Venezia Giulia fundowała migrantom z Afryki w ramach integracji bezpłatne kursy narciarskie w alpejskich kurortach.

Na koniec wieść z Brukseli. W toczącym się procesie skorumpowanych socjalistów w Parlamencie Europejskim (afery Katargate) decyzją sądu nie będzie się działać do końca maja przyszłego roku. Powód jest aż nadto oczywisty: w czerwcu odbędą się wybory do Parlamentu Europejskiego. Proces mógłby bardzo lewicy zaszkodzić. ©©

Author jest korespondentem Polskiego Radia.

ZUZANNA
DĄBROWSKA

GWIAZDOBZDUR

RASIZM, RASIZM
WSZĘDZIE

Chciałabym, aby to wszystko to był żart, ale niestety nie jest. Polsat został oskarżony o rasizm, czego powodem było pokazanie tzw. blackface, czyli białej osoby, wcielającej się w osobę czarnoskórą, a więc pomalowanej na ciemno. Wszystko to miało miejsce w programie niezbyt wysokich lotów, czyli „Twoja twarz brzmi znajomo”. Clou tego show jest wcielanie się przez celebrytów w wokalistów krajowych i zagranicznych. Wcielanie się jest tu dosłowne – chodzi nie tylko o maksymalne upodobnienie głosu, lecz także wyglądu. W jednym z odcinków wokalista Kuba Szmajkowski przeistoczył się w amerykańskiego rapera Kendricka Lamara. Rapera czarnego. A skoro Lamar to czarnoskóry, to i Szmajkowski został tak ucharakteryzowany. Problemem okazała się też charakterystyka aktorki Poli Gonciarz, która wystąpiła jako Beyoncé. No i się zaczęło. Że rasizm, że brak szacunku, że powielanie stereotypów. W zagranicznych mediach pojawiło się oświadczenie grupy Banijay, w skład której wchodzi produkująca „Twoja twarz brzmi znajomo” firma

Endemol Shine Polska. „Banijay potępia lokalną realizację przez Endemol Shine Polska programu »Twoja twarz brzmi znajomo«. To sprzeczne z globalnymi wartościami naszej grupy. Trwa kolejne dochodzenie wewnętrzne i zostaną podjęte odpowiednie działania” – wskazano. W awangardzie krytyków znalazł się brytyjski „The Guardian”. „Kuba Szmajkowski, polska gwiazda z 163 tys. obserwujących na Instagramie, wygrał drugi odcinek 19. sezonu programu [...]. Wystąpił z utworem Kendricka Lamara »Humble« w pełnym blackface, sztucznymi warkoczami i sztuczną brodą. Używał słowa na »n«, które nie zostało ocenzone podczas emisji. Aktorka Pola Gonciarz także przyćmiła skórę, wcielając się w Beyoncé z jej utworem »If I Were a Boy«. Oboje opublikowali nagrania z występów na swoich profilach w social mediach” – grzmi dziennik. To teraz pytanie zasadnicze, choć retoryczne – czy gdyby w programie, w obawie przed oskarżeniami o rasizm, w ogóle nie był promowany dorobek czarnoskórych muzyków, to czy to także byłby rasizm? Wszyscy znamy odpowiedź.

TRANSKANDAL!

Skoro mowa o skandalach w TV, to słów kilka o TVN, które okazało się niezbyt tolerancyjne. Stacja emituje właśnie 12. sezon show „Top Model”. Jak sama nazwa mówi, celem jest wyłonienie supermodelki lub supermodela (choć w większości kończy się na wykreowaniu kolejnych influencerów). Od kilku edycji w programie mogą brać udział panowie. To jednak wciąż niewystarczająco postępowe. Na casting do „Top Model” zgłosiła się Aleksandra, osoba „trans”. Wydawać by się mogło, że w dobie promowania za wszelką cenę różnorodności ma pewne miejsce w kolejnym etapie. Okazało się jednak, że jurorzy byli innego zdania. Reżyserka pokazów mody Katarzyna Sokołowska stwierdziła nawet, że Aleksandra „ma w sobie smutek”. Po Aleksandrze widać było niemałe oburzenie decyzją jurorów, czego wyrazem był teatralny gest zakrycia kamery dłonią. Co ciekawe, internauci (w większości)

poparli jury. „Brawo TVN i brawo »Top Model« [...] Byłam pewna, że wygra poprawność polityczna, a tu olbrzymie pozytywne zaskoczenie”; „Patrzę na to, jakiego focha walnęła, myślę, że podjęli naprawdę dobrą decyzję. Tu również wpływ miała jej słaba psychika. Nie poradziłaby sobie to raz, a dwa – słabo wypadła w dalszym etapie”; „Jestem osobą tolerancyjną, ale to zachowanie mega mi się nie spodobało. Trzeba spaść tylek, popracować nad sobą i przyjść za rok” – czytamy w komentarzach. Ciekawe. Okazuje się, że od samoidentyfikacji wciąż ważniejsza jest kultura osobista.

KTO JEST CHAMEM?

„Przedwyborcze odmęty szaleństwa”. Aż dziwne, że Maciej Maleńczuk gości na łamach tej rubryki dopiero po raz pierwszy. Pewne niedopatrzenie w kontekście mądrości tego artysty. Ale już nadrabiamy! „W Polsce jest tradycja szczucia. Jakby mieli to w genach. Musimy się z tym pogodzić. Raz na zawsze stwierdzić, że część naszego społeczeństwa to chamy. Napisałem kiedyś taki poemat »Chamstwo w państwie«. Mam taką zasadę, że chama trzeba prać. Inaczej cham będzie prał ciebie” – przekonuje Maleńczuk w rozmowie z Onetem (kontekst: nie spodobało mu się, że jeden z wiceministrów posłużył się cytatem z jego piosenki, mówiąc o Donaldzie Tusku). „Chyba nikt nie powinien mieć wątpliwości, że część tutaj żyjących to chamy. Nikt nie zastanawia się, jak wygląda nasz kraj na tle międzynarodowym. Jakie mamy stosunki z Niemcami, czy jesteśmy w strefie euro czy jak żyjemy ze Stanami Zjednoczonymi. Kogo to obchodzi? Większość ma to głęboko w odwłoku. Liczy się tylko, gdzie coś ukrasć i nie zapłacić podatków. W jakiś sposób staram się tych ludzi edukować i tolerować. Jednak dawanie ciągłych nowych praw państwu zniszczyło Cesarstwo Rzymskie” – stwierdza filozoficznie. Pytany, czy 15 października to ważna data dla Polski, przyznaje, że „bardzo”. „Jeżeli PiS wygra trzecią kadencję, to możemy wylecieć z Europy” – podkreśla Maciej Maleńczuk. Wszyscy na wybory! ©



FOT. POLSAT.SA



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, nieprzyjemna sytuacja w korpo. Rozmawialiśmy sobie podczas lunchu na temat tego, co kto przyniósł sobie do zjedzenia, aż tu nagle Nowy z Tarnowa niepytany ogłosił, iż on to tak w zasadzie nie lubi ziemniaków.

Zaskoczenie, no bo wiadomo: ziemniak to polska potrawa narodowa, obok cebuli, i nikt, kto nie lubi ziemniaków, nie zostanie zakwalifikowany przez narodowców go grona prawdziwych Polaków. Ale to już się niech tam na prawej stronie dogadują między sobą, ich sprawa xD.

Druga sprawa, znacznie bardziej niepokojąca, to – jak zauważyliśmy – swego rodzaju dyskryminacja roślin, czyli tzw. plantyzm. Na prawicy, jak widać, nie wystarczy już mówić „nie lubię kobiet”, „nie lubię osób LGBTQ”, „nie lubię obcokrajowców”. W swojej ksenofobii i nielubieniu świata doszli już do ściany i poszukując nowych obszarów dyskryminacji, zwrócili się w kierunku roślin.

Popatrzcie zresztą sami, że istnieje spora liczba gatunków roślin, które uważane są za szkodliwe i zwalczane np. w rolnictwie. Nikt też z jakiegoś powodu nie chce mieć w domu na parapiecie doniczki z pokrzywą.

Czy zatem w ramach postępowego kolektywu nie powinniśmy opracować jakiejś kampanii na rzecz dyskrymino-

wanych roślin? Iż one też mają swoje prawa, uczucia i oczekiwania? Może jakaś akcja adopcyjna pokrzyw czy innych kłujących roślin – wybaczenie, nie znamy się na biologii, co w sumie jest teraz dla nas powodem do wstydu, bo wykazuje, iż na wcześniejszych mniej świadomych

i dlatego postanowiliśmy zadbać nieco bardziej o swój well-being.

W związku z tym wystosowaliśmy wiele postulatów dotyczących naszej sytuacji zawodowej. Przede wszystkim zażądaliśmy siedmiodniowego tygodnia pracy po cztery godziny. Ponadto zażądaliśmy

czterodniowego tygodnia pracy po siedem godzin, kiedy zrozumieliśmy, iż najpierw napisaliśmy odwrotnie.

Później, podążając za nowymi trendami, oświadczyliśmy, iż oczekujemy możliwości pracy zdalnej z siłowni, basenu, kortów do squasha, warsztatów sushi, ceremonii mis tybetańskich i rytuału odmładzającego z peelin- giem z pestek arbuza. Oczywiście wszystko miało być sfinansowane przez korpo.

Naszym kolejnym postulatem miała być możliwość wykonywania pracy z odpowiednio nasłonecznionego miejsca na ziemi – na początek wskazaliśmy Sycylię albo chociaż coś na południe od Krakowa – padło na Myślenice.

W efekcie naszych roszczeń Nowy założył nam w open spejsie mocniejsze żarówki, a z czystej ironicznej złośliwości zatrudnił też kapelana, który okadza i egzorcyzuje korpo każdego dnia w południe. Powinno wyjść inaczej, ale mimo wszystko jesteśmy dumni, iż spróbowaliśmy i byliśmy na tyle dzielni, że wyszliśmy ze swojej strefy komfortu. ©©



etapach swojego życia nie przywiązywaliśmy do praw roślin wystarczająco wiele uwagi. I teraz, niespodziewanie dla nas samych, to wychodzi :(.

W ogóle to kochani nadszedł Jesień, który w tym roku jest wyjątkowo ciepły, przyjazny i miły, jak to osoba nieheteronormatywna. Mimo wszystko jednak coraz szybciej robi się ciemno, brakuje nam słońca, czujemy, jak spada nam poziom witaminy D,



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: [FB.COM/MWIZWO](https://fb.com/mwizwo)

PODSŁUCHANE

Alerty trzeba wydawać

Mariusz, to co ja mam właściwie teraz robić? Wydawać te moje alerty czy nie? Bo onuce się bardzo produkują.

Stasiu, alerty musisz wydawać, bo się ktoś przycepi, że zarabiasz, a nic nie robisz.

No ale o czym? Zobacz, ja tu mam taką tabelkę, zrobiłem sobie w ubiegłym roku. Bierzesz po kilka słów z każdej rubryczki i masz gotowy alert. Na przykład: „Tezy o rozbrajaniu Polski to działania rezonujące rosyjską propagandą, stanowiące zagrożenie dla strategicznych...”

Nie, nie. Tego to teraz nie można. A może przerzucić się na coś innego? COVID-19?

Nie, to już też nie. Może o gospodarce coś napisz. Że inflacja spada czy coś.

No trudno... To chyba wywalę tę tabelkę...

A nie, nie! Zostaw. Przyda się za dwa tygodnie. ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Nie czuję się całkiem bezpieczna w Polsce”.

AGNIESZKA HOLLAND, reżyser, podczas spotkania z dziennikarzami na oficjalnej premierze filmu „Zielona granica”

Polska potrzebuje energii jądrowej

– Strategiczne znaczenie w bezpieczeństwie energetycznym Polski będzie miała energetyka jądrowa
– przekonywał Jacek Sasin na Krynica Forum 2023.
Eksperti mówili w tym kontekście o polskim atomie i jego znaczeniu dla zwrotu ku energetyce jądrowej

Wdobie stałego wzrostu zapotrzebowania na energię, różnicowany miks energetyczny stanowi podstawę bezpieczeństwa narodowego. Tworząc warunki do wzrostu ekonomicznego, energia musi być łatwo osiągalna i stosunkowo tania, a system jej dystrybucji odporny na zakłócenia. Eksperti na Krynica Forum 2023 mówili w tym kontekście o polskim atomie i jego znaczeniu dla zwrotu ku energetyce jądrowej.

– Udział odnawialnych źródeł energii w naszym miksie energetycznym stale rośnie. W czasie naszych rządów to tempo wyraźnie przyspieszyło w stosunku do lat poprzednich. Jednak strategiczne znaczenie w bezpieczeństwie energetycznym będzie miała energetyka jądrowa [...]. My odrzucamy te ideologie, które słysząc dzisiaj w Europie. Ideologie, które mówią,

że Europa może wyprodukować dla siebie odpowiednią ilość energii, odchodząc od węgla, gazu i atomu. Uważamy, że to jest polityka marzycielska – przekonywał Sasin.

Szef MAP mówił podczas Krynica Forum 2023, że ochrona klimatu i środowiska pozostaje wielkim wyzwaniem, któremu musimy sprostać, dlatego Polska przyjmuje politykę zmierzającą do zeroemisyjności, która ma skutecznie inicjować i przeprowadzać transformację energetyczną.

– W 2035 r. popłynie już prąd z naszej elektrowni w Koninie. Przez ostatni rok poczyniliśmy pierwsze, ale bardzo istotne kroki – zarówno organizacyjne, jak i administracyjne, biznesowe. Powstała spółka, przeszliśmy wstępne badania lokalizacyjne – tłumaczył podczas Krynica Forum 2023 Jakub Rybicki, prezes PGE PAK Energia Jądrowa S.A.

Przypomniał, że posiadając wstępny raport lokalizacyjny, w zeszłym miesiącu złożono do ministra klimatu wniosek o wydanie decyzji zasadniczej, stanowiący zgodę polskiego rządu na rozpoczęcie dalszych formalnych kroków.

WSPÓŁPRACA PGE PAK I KHNP – DWA REAKTORY

W ramach wspólnego przedsięwzięcia PGE PAK Energia Jądrowa S.A. oraz koreańskiego KHNP mają powstać dwa reaktory APR 1400. Uruchomienie pierwszego z nich zaplanowano na 2035 r. Razem mogłyby dostarczyć do polskich domów i firm ok. 22 TWh energii, co stanowi ok. 12 proc. dzisiejszej konsumpcji energii w Polsce.

– Energii jądrowej potrzebuje nie tylko polska energetyka, lecz także cały system energetyczny Unii Europejskiej. Energety-



FOT. FLUP BANY

**DO
RZECZY**Piszcmy o tym co najważniejsze
zawsze do rzeczy.

ka jądrowa jest stabilnym, czystym i tanim źródłem energii dla odbiorców zarówno indywidualnych jak i przemysłowych. Zgodnie z wymaganiami Unii Europejskiej musimy odchodzić od CO₂. My jako kraj sowicie obdarzony węglem będziemy zastępować ten nasz surowiec sukcesywnie do 2049 r., ale w związku z tym, że inwestycje w energetykę jądrową są czasochłonne, bardzo wymagające pod względem projektowym i kosztowne, już teraz ścigamy się z czasem, żeby zgodnie z wymaganiami polskiego systemu energetycznego przedstawić naszemu odbiorcom odpowiedni wolumen gigawatów – mówił „Do Rzeczy” na Krynica Forum 2023 Jakub Rybicki, prezes PGE PAK Energia Jądrowa S.A.

Wyjaśnił, że PGE liczy na powstanie elektrowni jądrowej składającej się z dwóch reaktorów o mocy 2,8 GW

w obrębie powiatu konińskiego. Będzie to elektrownia w technologii APR-1400. – To technologia koreańska, która z sukcesem funkcjonuje już w Korei, w Barakah w Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Liczymy, że w 2035 r. popłynie pierwszy prąd, a w okolicach 2040 r. już dwa reaktory będą w pełni eksploatowane przez naszą spółkę – zapowiedział.

Odnosząc się do planów na przyszłość, Rybicki wskazał, że do końca roku PGE planuje zawrzeć umowę o studium wykonalności pomiędzy spółką polską zawiązaną między PGE i ZE PAK a koreańską KHNP, partnerem technologicznym. – Jest to dla nas istotne i z perspektywy projektu bardzo korzystne, aby podmiot, który będzie budował elektrownię jądrową, uczestniczył w projekcie od samego początku badań. Będzie dysponował wiedzą dotyczącą tego, jak my je prowadzili-

śmy, na jakich zasadach i w oparciu o jakie standardy. Dzięki temu później, na etapie budowy, będziemy już mieli oszczędności. Dodatkowo w przyszłym roku chcemy rozpocząć dialog z polskim rządem, jeżeli chodzi o ewentualny system wsparcia i odbioru energii jądrowej z naszej elektrowni – wyjaśnił prezes PGE PAK Energia Jądrowa S.A.

KRYNICA FORUM 2023. CO DLA POLSKI OZNACZA ZWROT KU ENERGETYCE JĄDROWEJ?

Odnosząc się do kwestii wyzwań, które stoją przed polskim atomem, a także do aktualnego etapu prac, prezes Rybicki wyjaśnił, że PGE nie zakłada optymistycznego harmonogramu, lecz realny. – Zobowiązaliśmy się, że pierwszy prąd popłynie w 2035 r. – wskazał.



FOT. ROBERT GARDZINSKI

dwaj panowie g

Na początek ważny komunikat kampanijny. Informujemy nasze wiewiórki oraz kandydatki i kandydatów na wiewiórki, że weryfikujemy nasze informacje. W ostatnim czasie pojawiła się w naszej skrzyneczce pokaźna liczba informacji, z których wiele nosiło cechy dobrej obyczajówki. Którą uwielbiamy, choć rzadko publikujemy. Niestety, znakomita część donosów okazała się nieprawdziwa i była dziełem zawistnych konkurentów z list. Jak choćby ta, że znany kandydat nie nocuje od dawna w domu. Sprawdziliśmy. Owszem, nie nocuje. Ale nie z powodu kochanki, lecz starej matki, której dogląda w nocy, bo jest schorowana.

Media obiegała wieść o wycofaniu się kandydata PiS do Senatu w okręgu 66 (gdański) Kazimierza Janiaka. Znamy kulisy. Otóż sztab zastosował Realpolitik. Janiaka poproszono o wycofanie się, gdyż nadzieje na dobry wynik pokładane są w Andrzeju Kobylarzu, który startuje jako niezależny i bezpartyjny. Tak się jednak składa, że to człowiek Kukiza. Okręg jest ciężki, platformerski, więc o wygraną i tak trudno. Jednak szanse większe. Dedykujemy tę opowieść wszystkim, którzy uważają, że PiS lekce sobie waży walkę o Senat.

Mamy też obywatelski donosik do PKW oraz rozmaitych służb. W formie pytania. Czy to możliwe, żeby ot tak, w ramach budżetów wyborczych, pionierem rozwiesić 3,5 tys. bannerów jednego kandydata? Nie plakatów, powtarzamy, lecz bannerów? I czy możliwe byłoby – czysto teoretycznie – w trzeciej dekadzie XXI stulecia, że nieoficjalnie proponuje się za wywieszenie banneru rekompensatę w napojach? Nie, nie kandydat, lecz jego kumpel, założmy czysto teoretycznie: biznesmen. Kierunek wskazujemy ogólnie południowy. Ale jak ktoś w śledztwie dopyta szczegółowo, to opowiemy więcej.

Obiecywaliśmy, że po ochrzczeniu Giertycha mianem Romana Gier-tuska nie będziemy wracać do jego starych ksywek, np. Qń lub Koń. Ale jak tu nie wracać, kiedy biedak sam nie wie, skąd kandyduje, i ogłasza, że w Świętokrzyskiem istnieje powiat koński. Niestety, Końskie są stolicą powiatu koneckiego. Nas jednak nie dziwi pomyłka

Romana. On chyba nawet na Toskanię mówi „Tuskania”.

Pozostając na chwilę przy niebezpiecznym skrzyżowaniu polityki i geografii – nie wydaje się wam skandalem i pisowskim spiskiem to, że w Polsce istnieje powiat suski, a nie ma powiatu tuskiego?

Skoro już o Tusku. Tydzień temu ujawniliśmy, że jest naśladowcą Wojciecha Olejniczaka i Marka Borowskiego (sprawa „100 konkretów”, które jako pierwsi ogłosili w 2007 r. politycy lewicy). Ale okazuje się, że jest gorzej. Tusk jest plagiatorem Gawkowskiego, Kotuli i Diduszko-Zyglewskiej. Na dowód przytoczymy historię pewnej konferencji prasowej. A nawet dwóch. Co tam, trzech!

Otóż było tak. W niedzielę 17 września pod wieczór komitet wyborczy Lewicy rozesłał do dziennikarzy zaproszenia na konfę pod TVP na placu Powstańców. Celem konfy o godz. 11.05 miało być obnażenie kłamstw telewizji. W poniedziałek 18 września rano, o godz. 8.43, Lewica rozesłała info, że godzina konfy się zmienia. Na godz. 12.15. Rychło się okazało, że nawet ta druga konfa jest niepotrzebna, bo wcześniej pod TVP wjechali Tusk z Kołodziejczakiem i zrobili swoją konfę. Co skończyło się, jak pamiętacie, atakiem na Rachonia. Ot, i po całym pomysle lewicy. Jak wiadomo, kiepscy artyści pożyczają cudze pomysły. A artyści wybitni – po prostu je kradną. Donald jest więc twórcą wybitnym.

Apropos Michała Kołodziejczaka, ksywa Pan Przystawek, oraz innych awanturników w rodzaju Arkadiusza Myrchy. W sztabie PiS narasta przekonanie, że w związku z ich ostatnimi występami w TVP należy zmienić strategię i wysłać do debaty nie ludzi meryto-

rycznie przygotowanych, ale takich, którzy potrafią odpowiedzieć pałką na pałkę, prawdziwych twardzieli. Uważnie obserwujcie zatem publicystykę w tym tygodniu, dowiemy się, kto jest w PiS uważany za prawdziwego twardziela.

Wracając do tego, kto kogo naśladuje. Mało kto wie, że w Rosji odbyły się niedawno wybory regionalne. Wygrał, kto miał wygrać, nie to jest ważne, ale wiadomość, że testowano przy tej okazji głosowanie elektroniczne. Sytuacja trudna, nadchodzą wybory prezydenckie, jak obywatel zagłosuje za kotarą – tego władza nie wie. Ale jak zagłosuje elektronicznie – to już będzie wiedziała. Przypomniało się nam więc, jak Peło organizowała u siebie prawyborzy. Ano tak, że szefostwo partii wiedziało, kto jakie ma tokeny do oddania głosu on-line. Mamy więc dobre hasło na pasek do telewizji: „Putin naśladuje Tuska”.

Wubiegłym tygodniu media niemieckie, zarówno publikujące w języku Goethego, Schillera i Hitlera, jak i te używające mowy polskiej, zachłysnęły się listem, który skierowała w sprawie afery wizowej niejaka Ylva Johansson z Komisji Europejskiej. Pani komisarz zadała odpowiedzi na pytania związane z tzw. aferą wizową. Z nieprzekraczalnym terminem do 3 października. Rząd nie czekał aż tyle. Spod małego palca machnął odpowiedź, punktując, gdzie opozycja kłamie. I sprawa zdechła. Przynajmniej chwilowo.

Aschoro już o wizach, to wspomnijmy byłego wiceministra Piotra Wawrzyka. Otóż kandydaci na ambasadorów serdecznie go nienawidzili za jego zachowanie na komisjach sejmowych. Wawrzyk sprawiał bowiem wrażenie, jakby chciał obalić kandydatów zgłaszanych przez własny resort. Podczas gdy wylewali siódme poty, prezentując swe zalety, Wawrzyk podsyłał im karteczki treści: „Do finału!!!”, „Co to ma być!!!”, „Streszczać się!!!”. Ale trzeba pamiętać, że w owym czasie minister był jeszcze przekonany, że wystartuje do Sejmu z Kielc. A to okręg oddalony od Warszawy, a robota kampanijna sama się nie robi. ©©



KONFERENCJA

„Prawna obrona przed polonofobią” już w październiku!

KŁAMCY PRZED SĄDEM

Jak Polacy bronią dobrego imienia swojego narodu

SKUTECZNA POLITYKA HISTORYCZNA

Czego Polska może się nauczyć m.in. od Izraela

MANIPULACJE, KŁAMSTWA I POMÓWIENIA

Jak działają środowiska wrogie Polsce

EDUKACJA I WALKA O PRAWDĘ HISTORYCZNĄ NA TEMAT II WOJNY ŚWIATOWEJ

Polsko-ukraińska wojna handlowa?



Prezydent Andrzej Duda i prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski, Łuck, 9 lipca 2023 r. FOT. HANDOUT/AFP/EAST NEWS



Jakub Wozinski

W wojnie handlowej, którą wypowiedziała Polsce Ukraina, mamy przeciwko sobie nie tylko tamtejszych oligarchów, lecz także potężne grupy interesów z całego świata

16

Od momentu, gdy Ukraina złożyła na Polskę, Węgry i Słowację skargę do Światowej Organizacji Handlu, mamy do czynienia z regularną wojną handlową. Mimo że Polska udzieliła i nadal udziela Ukrainie ogromnej pomocy, bez której ta już dawno zniknęłaby z politycznej mapy Europy, prezydent Wołodymyr Zełenski pozwolił sobie nawet na zamieszczenie na platformie X komentarza sugerującego, że broniąc swoich rolników, jesteśmy tak naprawdę sojusznikami Rosji.

Nie brak wprawdzie opinii, że podjęty przez naszych sąsiadów krok stanowi tylko rodzaj strasaka i punkt wyjścia do długich negocjacji, lecz prawdą jest to, że charakter polskiego i ukraińskiego rolnictwa z definicji czyni nasze interesy sprzecznymi, gdyż skala produkcji, wysoka jakość ziem i dużo niższe koszty zapewniają naszemu sąsiadowi istotną przewagę konkurencyjną – w szczególności gdy tylko polskie rolnictwo jest spętane unijną siecią regulacji. Mimo że w naszym rodzimym sektorze rolniczym mamy do czynienia

z postępującą z każdym rokiem konsolidacją małych gospodarstw przekształcających się w wielkoobszarowe przedsiębiorstwa, nadal daleko nam do koncentracji produkcji na poziomie ukraińskim, gdzie dodatkowo dominuje kapitał oligarchów i międzynarodowej finansjery.

DZIKIE POLA PRYWATYZACJI

Rozmach ukraińskich przedsiębiorstw rolnych można najlepiej uświadomić sobie poprzez to, że największe z nich kontroluje obszar równy więcej niż trzykrotności całej Kotliny Kłodzkiej. Większą powierzchnią niż urokliwa kraina położona w województwie dolnośląskim dysponuje także kolejnych siedem największych agroholdingów. Na tym nie koniec, ponieważ największa w Polsce firma zajmująca się uprawą ziemi rolnej ma według „Tygodnika Rolniczego” do dyspozycji ok. 8 tys. ha. Na Ukrainie miałyby problem, aby znaleźć się wśród 100 największych posiadaczy ziemskich, ponieważ średnia wielkość gruntów tamtejszego agroholdingu szacowana jest na ok. 4,8 tys. ha.

Rozmiary współczesnych ukraińskich latyfundiów z jednej strony nie powinny dziwić, ponieważ Ukraina jest niemal dwukrotnie większa niż Polska, lecz współczesne elity ukraińskie uczyniły bardzo wiele, aby bodajże największe bogactwo naturalne tego kraju trafiło w ręce nielicznych i najbardziej skorumpowanych.

Po uzyskaniu przez Ukrainę niepodległości 1991 r. przeprowadzono akcję prywatyzacyjną, w ramach której ziemia miała teoretycznie trafić w ręce liczącej nawet 8 mln osób grupy byłych kołchozników. Wydawane świadectwa uprawniające do przejmowania gruntów przejmowali jednak masowo oligarchowie, dlatego w 2001 r. wprowadzono moratorium na przenoszenie tytułów własnościowych do ziemi. Panująca na Ukrainie korupcja sprawiła jednak, że nawet zastosowanie tego rodzaju środków nie zapobiegło nielegalnej prywatyzacji gruntów (obecnie nawet 68 proc. gruntów objętych moratorium należy do prywatnych właścicieli), a dodatkowo moratorium nie zakazywało dzierżawy, z której obficie korzystały liczne podmioty.

Dopiero staraniem m.in. Wołodymyra Zelenskiego tuż przed wybuchem wojny przeforsowano fundamentalne zmiany, na których mocy od lipca 2021 r. możliwy

stał się ponownie oficjalny handel ziemią. Znaczny wpływ na to miały także naciski międzynarodowych instytucji finansowych i banków, które w zamian za pożyczki domagały się otwarcia szerokiego dostępu do ukraińskiego narodowego skarbu.

Zgodnie z przepisami z 2021 r. podmioty zagraniczne nie mają wciąż prawa do nabywania ukraińskiej ziemi rolnej, lecz nadal mogą ją dzierżawić. Zagraniczny kapitał potrafi jednak od lat obchodzić te przepisy, m.in. poprzez zarejestrowanie na Ukrainie spółki zależnej lub na drodze przejmowania hipoteki przy niesplącanych pożyczkach. W efekcie podczas gdy zdecydowana większość Ukraińców przez długie lata nie była w stanie nabyć ziemi, której cena była jak na warunki europejskie bardzo niska, wielki biznes i oligarchowie regularnie obchodzili przepisy, kumulując w swoich rękach coraz więcej czarnoziemów. Obecnie szacuje się, że w rękach oligarchów i międzynarodowych podmiotów znajduje się ziemia o powierzchni aż 9 mln ha, stanowiąca aż 28 proc. wszystkich gruntów ornych Ukrainy. Z tego 10 największych podmiotów odpowiada za aż 2,6 mln ha.

UCIECZKA Z GIEŁDY

Największym od lat latyfundiom dysponuje Kernel, czyli zarejestrowana w Luksemburgu firma kontrolowana przez Andrija Werewskiego. Wedle różnych szacunków operuje na powierzchni od 0,51 do nawet 0,58 mln ha. Wykształcony w Oksfordzie Werewski był wcześniej m.in. doradcą Julii Tymoszenko, a w 2007 r. wprowadził Kernel na warszawską giełdę. Przeksięwzięcie to okazało się sporym sukcesem, a w akcje zainwestowały m.in. polskie OFE.

W maju tego roku należąca do Werewskiego spółka Namsen Limited nabyła duży pakiet akcji Kernel, zwiększając tym samym udziały do 74 proc. Wkrótce potem główny akcjonariusz, powołując się na rzekomo rosnące koszty, ogłosił, że zamierza wycofać spółkę z warszawskiego parkietu. Polscy akcjonariusze, kontrolujący ponad 20 proc., złożyli protest, domagając się od regulatorów rynków odpowiedniej reakcji. Ostatnie doniesienia wskazują na to, że Werewski będzie mimo wszystko chciał obejść protesty Polaków, rozwadniając ich udziały poprzez emisję nowego pakietu akcji.

Próba dokonania eksmisji polskiego kapitału z największej ukraińskiej spółki rolnej to działanie, delikatnie mówiąc, awanturnicze, choć nie przyciągnęło jak dotąd szerszej uwagi opinii publicznej. Polski biznes miał teoretycznie zarabiać na odbudowie Ukrainy, lecz zanim do niej w ogóle jeszcze doszło, okazuje się, że jest wykluczany nawet z interesów, które miały swój początek kilkanaście lat temu.

Kolejnym potentatem ukraińskiego rolnictwa jest UkrLandFarming, czyli zarejestrowana na Cyprze firma kontrolowana przez Ołeha Bachmatiuka. Do przeniesienia siedziby do Nikozji skłoniły go prowadzone przeciwko niemu postępowanie antykorupcyjne oraz międzynarodowy list gończy. UkrLandFarming posiadał przed wybuchem wojny największą w Europie kurzą fermę, a oprócz tego m.in. dużą sieć elewatorów. W praktyce firma eksportuje jednak niemal wszystko: począwszy od mięsa, a skończywszy na produktach mlecznych.

MIĘDZYNARODOWY AKCJONARIAT

Największym zagranicznym właścicielem ziemskim na Ukrainie jest NCH Capital, czyli firma inwestycyjna z USA specjalizująca się w inwestycjach dokonywanych w krajach byłego ZSRS oraz Ameryki Łacińskiej. Mając do dyspozycji 0,4 mln ha, NCH specjalizuje się m.in. w uprawie słoneczników, soi i hodowli zwierząt. Najważniejszą postacią w firmie jest George Rohr, współpracujący blisko z żydowską organizacją Chabad Lubawicz. To właśnie Rohr miał być jedną z osób, które najbardziej zabiegali w minionych latach o zmianę przepisów dotyczących obrotu ziemią.

NCH Capital działa na Ukrainie pod nazwą Agroprosperis, za którą kryje się grupa ok. 45 podmiotów. Statki ze zbożem tej firmy były pierwszymi, które przepłynęły przez Bosfor po zawarciu ugody w sprawie eksportu zboża z Ukrainy. Wśród inwestorów NCH znaleźć można m.in. uniwersyteckie programy emerytalne, prywatne fundacje oraz międzynarodowe instytucje.

Równie międzynarodowe towarzystwo znaleźć można, przeglądając listę akcjonariuszy Astarty, kontrolującej 0,25 mln ha gruntów. 40 proc. akcji

■ należy do Wiktora Iwańczyka, a blisko 30 proc. do Fairfax Financial Holding z Toronto. Wśród udziałowców znaleźć można także Kopernik Global Investors z Florydy, która posiada kilkuprocentowe udziały w większości największych agroholdingów na Ukrainie.

Na szczególną uwagę zasługuje także należąca do Jurija Kosjuka firma MHP (Myroniowski Hliboproduct), posiadająca ok. 0,37 mln ha ziemi. W 2008 r. MHP było pierwszą ukraińską firmą z branży rolnej, która weszła na londyńską giełdę. W przeciwieństwie do Kernela władze spółki nie zamierzają jednak się z niej wycofać, mimo że od wybuchu wojny kurs akcji jest wciąż o połowę niższy.

Wśród największych właścicieli ziemskich na Ukrainie znaleźć można także saudyjską Continental Farmers Group (0,19 mln ha) oraz francuską spółkę AgroGeneration (0,12 mln ha). Biorąc to wszystko pod uwagę, uzyskujemy dość skomplikowaną strukturę właścicielską, którą dodatkowo komplikują dwa niezwykle istotne czynniki. Pierwszym z nich jest to, że faktyczna własność poszczególnych firm i osób jest wciąż ukryta pod przykrywką rozmaitych spółek. O największych oligarchach już od lat mówiło się, że realnie posiadają znacznie więcej, niż oficjalnie ujawniają, a z panującego na Ukrainie bezwładu prawnego umiejętnie korzystał od lat także obcy kapitał.

Druga komplikacja polega na tym, że poprzez wejście na giełdę oraz narażające w ostatnim czasie zadłużenie ukraińskie agroholdingi stały się jeszcze bardziej niż dotąd zależne od wielkich graczy finansowego świata. Komentując zachowanie Unii Europejskiej, która zdecydowała się zakończyć embargo na ukraińskie płody rolne, węgierski premier Viktor Orbán stwierdził z przekąsem, że od dawna wiadomo, że znaczną część gruntów na Ukrainie kontrolują Amerykanie. Jego zdaniem Bruksela doprowadła tym samym, że nie potrafi bronić krajów członkowskich i działa na korzyść zupełnie innych grup interesów.

DŁUŻNICY I UDZIAŁOWCY CHCĄ ZYSKÓW

Orbán – krytykowany w Polsce za swoją postawę względem wojny na Ukrainie – obnażył w bardzo trafny sposób

przyczyny, dla których ukraińscy politycy zdecydowali się zaatakować Polskę i przedłożyć interesy swojej branży spożywczej nad względnie dobre sąsiedzkie relacje. Jeszcze przed wybuchem wojny agroholdingi zadłużały się w zachodnich instytucjach finansowych (korzystały m.in. z usług Banku Światowego czy też Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju), a ich kondycja finansowa pogorszyła się w oczywisty sposób po rozpoczęciu działań wojennych. Szacuje się, że zadłużenie sześciu największych firm względem wyżej wymienionych podmiotów wzrosło w ciągu ostatnich lat aż o 1,7 mld dol. Udziałowcy i kredytodawcy zdołali wcześniej skutecznie zaważać o swoje interesy, doprowadzając do liberalizacji obrotu ziemią, a obecnie zgodnie z ich interesami władze Ukrainy

Wojna handlowa z Ukrainą powinna zadziałać jako otrzeźwienie dla wszystkich rzeczników przyjęcia tego kraju do UE

próbują zapewnić agroholdingom nowe rynki zbytu kosztem Polski i innych państw naszego regionu.

Oddziaływanie potężnych grup interesów można było dostrzec już wcześniej, gdy w kwietniu 2023 r. Unia Europejska zgodziła się na bezcłowy eksport towarów z Ukrainy. Jako że w 2021 r. aż 41 proc. wartości całego wywozu stanowiły produkty rolne, nie będzie cienia przesady w stwierdzeniu, że uczyniono tak głównie z uwagi na kapitały zainwestowane w czarnoziemi. Oprócz gruntów zachodnie firmy posiadają również na Ukrainie rozbudowaną infrastrukturę w postaci silosów, magazynów oraz kolejowych i portowych terminali. Przykładowo: mająca swoją siedzibę w Szwajcarii spółka Glencore dysponuje m.in. silosami o pojemności ponad 1 mln ton, a w 2020 r. nabyła w mikotajewskim porcie terminal towarowy. Z kolei pakiet kontrolny w największym ukraińskim porcie w Odessie posiada amerykański Cargill.

Nie sposób nie wspomnieć także o inwestycjach niemieckiego Bayeru, który w 2018 r. uruchomił w obwodzie żytomierskim fabrykę nasion, a na początku września rozpoczął w tym samym obwodzie budowę kolejnej fabryki dla Monsanto wartę 60 mln euro. W uprzywi lejowaniu ukraińskiego handlu artykułami rolnymi interes ma więc naprawdę sporo wpływowych podmiotów, z których część zdecydowała się na dokonanie kolejnych inwestycji pomimo trwającej wciąż wojny.

Z oczywistych względów polska branża rolnicza nie może liczyć na tak wpływowych protektorów. Nasze rolnictwo jest prężne, ale głównie siłą rodzimych podmiotów, które nie są w stanie mierzyć się z firmami inwestycyjnymi zza oceanu czy też z oligarchami z koneksjami w Londynie, Szwajcarii czy Izraelu. Na dodatek polski rolnik ma na co dzień sporo problemów, które stwarza mu polski komisarz do spraw rolnictwa, sumiennie wdrażający postulaty zrównoważonego rozwoju.

Wojna handlowa z Ukrainą powinna dlatego zadziałać jako otrzeźwienie dla wszystkich rzeczników przyjęcia tego kraju do Unii Europejskiej. Pomijając już to, że we wspólnocie pojawiłby się w ten sposób największy konsument składek członkowskich, to dodatkowo wiązałoby się to z faktycznym dotowaniem przez polskich podatników wielkiej własności ziemskiej na Ukrainie. Jeżeli nasz sąsiad zagrywa z nami tak twardo w sytuacji, gdy teoretycznie powinien pokornie zabiegać o nasze względy, to w przyszłości możemy się spodziewać głównie ciosów poniżej pasa.

Konflikt interesów z Ukrainą może się za jakiś czas nasilić jeszcze bardziej, ponieważ po zakończeniu wojny potrzebująca ogromnego zastrzyku inwestycji i kredytów Ukraina będzie jeszcze bardziej podatna na żądania międzynarodowego kapitału względem swoich gruntów ornych. Podnosząc się ze zniszczeń wojennych, kraj ten nie będzie miał zresztą żadnych innych większych zasobów, przy pomocy których mogłby zrewanżować się za udzieloną pomoc. Ukraińskie latyfundia przyjmą tym samym jeszcze bardziej międzynarodowy charakter, co dla Polski oznaczałoby jeszcze większą skalę wyzwania.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Maciej Pieczyński

Wojna mocno osłabiła oligarchów i wzmocniła władzę, która jedną ręką prywatyzuje, drugą – nacjonalizuje przedsiębiorstwa, jednocześnie walcząc o akcesję do UE. Jak wygląda ukraińska gospodarka w cieniu wojny?

Na początku sierpnia firma Advanter Group zbadała, jak funkcjonują biznesy mały i średni na Ukrainie podczas wojny. Przepytano 635 właścicieli i menedżerów firm. Wśród problemów wskazywali oni nieprzewidywalność działań państwa, wzmocnienie nacisku ze strony organów kontrolnych, brak pieniędzy na rynku, niedostatek wypłacalnych klientów. Wśród najważniejszych wyzwań stojących przed ukraińską gospodarką respondenci wskazali walkę z korupcją, zreformowanie systemu podatkowego i sądownictwa.

We wrześniu 2022 r. Fundusz Mienia Państwowego wznowił małą prywatyzację. Przez rok budżet dzięki temu zarobił 3,8 mld hrywien. Poza czystym zyskiem dla skarbu państwa to pozwoliło zredukować zadłużenie, wypłacić zaległe pensje pracownikom budżetówki. Z tytułu VAT sprywatyzowane przedsiębiorstwa przyniosły 667 mln zysku. Państwo pozbyło się ciężaru. Sprywatyzowano prawie 400 obiektów i firm, w tym jeden port. To pierwszy taki przypadek w historii Ukrainy. Port w Ust-Dunajsku za 201 mln hrywien kupiła zarejestrowana w Winnicy firma Elikir Ukraina. Najdroższym sprzedanym prywatnemu właścicielowi obiektem był jak dotąd zażytkowy kijowski hotel Ermitaż, kupiony za 311 mln hrywien. Sprywatyzowano też zadłużony na 3 mln hrywien koncern zajmujący się utylizacją sprzętu produkowanego przez koncern zbrojeniowy Ukroboronprom.

Od stycznia do sierpnia 2023 r. na prywatyzacji budżet państwa zarobił rekordowe 2,53 mld hrywien. To naj-

wiekszy zysk, osiągnięty na przestrzeni analogicznego okresu w przeciągu ostatnich 10 lat. Postępy w prywatyzacji mają też znaczenie wizerunkowe, jako wabik na inwestorów, którzy będą potrzebni, gdy trzeba będzie odbudować kraj z wojennych zniszczeń. Najwięcej aukcji dotyczyło obiektów położonych w obwodach lwowskim, zakarpackim i wołyńskim. Czyli na terenach nieobjętych bezpośrednio działaniami wojennymi, a zagrożonych „jedynie” ostrzałem z powietrza. Prywatni przedsiębiorcy na Ukrainie osuwają się z sytuacją i chętnie podejmują biznesowe wyzwania na w miarę bezpiecznym zachodzie kraju. Prywatyzacja odbyła się dość sprawnie i bez afer. Dlatego właśnie nominacja szefa Funduszu Mienia Państwowego na nowego ministra obrony została przyjęta entuzjastycznie nawet przez opozycję

struktury. Prowadzone niekonsekwentnie ostrzały linii energetycznych nie doprowadziły do trwałego odcięcia Ukrainy ani od prądu, ani od Internetu. Branża IT przystosowała się do nowych warunków.

Wojna zrodziła naturalną potrzebę rozwoju tych technologii, które pomagają na froncie. Czyli wojskowych (military-tech) i medycznych (health-tech). Ta ostatnia rozwinęła się już w czasie pandemii COVID-19. Konflikt zbrojny przynosi tej branży nowe perspektywy. Powstają firmy zajmujące się projektowaniem innowacyjnych protez bionicznych, sterowanych za pomocą impulsów elektrycznych wytwarzanych przez mięśnie. W dziedzinie military-tech Ukraina za jakiś czas może stać się numerem jeden na świecie. Tak przynajmniej zapowiada minister transformacji cyfrowej Mychajło Fedorow.

Na zrujnowanej Ukrainie

i nazwana jedną z najlepszych decyzji, które podjął Zełenski. Rustem Umierow ma opinię człowieka, który nie kradnie i nie pozwala kraść innym, a to nad Dnieprem już naprawdę wiele znaczy.

PRZETRWAĆ W NOWYCH WARUNKACH

Ukraińscy analitycy prognozują, że motorem napędowym powojennego rozwoju kraju będzie branża IT. To jedyny sektor gospodarki, który po inwazji rosyjskiej zanotował wzrost eksportu – o 5,85 proc. w skali całego roku 2022. Prawdziwy renesans branża przeżywała, co zrozumiałe, podczas pandemii koronawirusa. Wówczas wzrost eksportu wyniósł aż 38 proc. Zarówno wojna, jak i w szczególności pandemia sprzyjają branżom preferującym pracę zdalną i niewymagającym rozbudowanej infra-

Rok 2022 był, rzecz jasna, najgorszym dla gospodarki w historii niepodległej Ukrainy. PKB spadł o 32 proc., przy 30-procentowej inflacji. Poprzedni niechlubny rekord ustanowiony został w 1994 r., wtedy PKB spadł o 22,9 proc., ale inflacja wynosiła 401 proc. A jednak mogło być gorzej. 32 proc. to i tak niezły rezultat. Analitycy prognozowali bowiem, że PKB może zmniejszyć się nawet o połowę. Poza tym półtora roku wojny pokazało, że ukraiński biznes jest elastyczny i potrafi dostosować się do nowych, trudnych warunków. Przykładowo przerwy w dostawach prądu rekompensowano przy użyciu agregatów prądotwórczych, które stały się dla ukraińskich przedsiębiorców sprzętem niezbędnym.

Ponadto równolegle z sukcesywną prywatyzacją po 24 lutego 2022 r. trwa podobnie sukcesywna nacjonalizacja.

Pod koniec lipca państwo przejęło Sense Bank, ukraiński oddział rosyjskiego Alfa Banku, należącego do oligarchy Michaiła Fridmana. Rząd zapłacił symboliczną 1 hrywnę. Wcześniej jednak Sense Bank został wycofany z rynku decyzją Narodowego Banku Ukrainy. Ten sam Fridman wciąż jednak jest współwłaścicielem popularnej sieci telefonicznej Kyivstar. Jeszcze w pierwszym roku wojny państwo przejęło kilka przedsiębiorstw, funkcjonujących w strategicznie istotnych sektorach gospodarki. Znacjonalizowane zostały Ukrnafta, Ukratnafta, Motor Sicz, AwtoKrAZ i Zaporizhttransformator. Po zakończeniu stanu wojennego aktywa mogą zostać zwrócone właścicielom. W przeciwnym wypadku mają zostać wypłacone za nie odszkodowania.

Właścicielem fabryki silników lotniczych Motor Sicz był Władysław Bohusławejew, aresztowany pod zarzutem zdrady. 42 proc. Ukrnafty, która jest największą ukraińską firmą zajmującą się wydobywaniem ropy, należy do Ihora Kołomojskiego. Czyli do oligarchy uważanego za ojca politycznego sukcesu Wołodymyra Zełenskigo. Dziś Kołomojski siedzi w areszcie pod zarzutem prania brudnych pieniędzy. Stał się dla prezydenta, swojego byłego partnera biznesowego, łatwym celem. Po pierwsze, uderzając w niego, Zełenski po raz kolejny udowadnia swoją niezależność. Po drugie, pokazuje Zachodowi, że walczy z korupcją i uzależnieniem państwa od wielkiego, szemranego biznesu. Po trzecie, Kołomojski ścigany jest również przez amerykański wymiar sprawiedliwości, więc Zełenski miał się czym pochwalić przed najważniejszym sojusznikiem. Po czwarte, akurat dawny patron obecnego prezydenta, w odróżnieniu od innych biznesmenów, nie poparł otwarcie wysiłków obronnych państwa, nie zaczął demonstracyjnie finansować armii. Tak jest mniej więcej schemat nad Dnieprem. Zapewne na każdego oligarchę znalazłby się bynajmniej nienaciągany paragraf. Państwo jednak dobiera się do tych, którzy odmawiają wsparcia na froncie. Po piąte wreszcie, rozprawa z oligarchią to jedna z flagowych obietnic Zełenskigo. Kilka miesięcy przed wojną przeforsował ustawę wymierzoną w styk polityki z biznesem. Zakładała ona m.in. tworzenie rejestru oligarchów. Kto na nią trafi, nie



Wojna zrodziła naturalną potrzebę rozwoju tych technologii, które pomagają na froncie. Na zdjęciu: produkcja dronów w prywatnej firmie w Kijowie. FOT. VITALII NOSACH/GLOBAL IMAGES UKRAINE/GETTY IMAGES

mógłby brać udziału w życiu publicznym. Rozwiązanie radykalne, ale populistyczne, bardziej pokazowe niż praktyczne. A do tego budzące zrozumiałe wątpliwości. O tym, którego z biznesmenów zaliczyć do napiętnowanego grona, decydowałaby władza... Tak czy inaczej, ustawa weszła w życie, ale sam rejestr jak dotąd nie powstał.

TOPNIEJĄCA OLIGARCHIA

Przed wojną Ukraina w dużej mierze znajdowała się w rękach oligarchów. Obok wspomnianego Kołomojskiego potężnymi aktywami dysponowali m.in. Rinat Achmetow, Wiktor Pinczuk, Wadym Nowynski czy były prezydent Petro Poroszenko. Wojna mocno przeźrebiła ich zasoby. Bardzo dobrze pokazuje to porównanie majątków, którymi dysponowali w lutym 2022 r., ze stanem na grudzień tego samego roku. Najbogatszy Ukrainiec, Rinat Achmetow, u progu inwazji dysponował majątkiem wycenianym na 13,7 mld dol. Dziesięć miesięcy później z tej kwoty zostało 4,3 mld dol.

Najpotężniejszym ciosem w jego interesy była strata zakładów metalurgicznych Azowstal oraz MMK w zrównanym z ziemią Mariupolu. Przed wojną zakłady te odpowiadały za 40 proc. całej ukraińskiej produkcji metalurgicznej. Wskutek rosyjskich ostrzałów infrastruktury mocno ucierpiał też koncern elektroenergetyczny DTEK. Niedługo przed inwazją Achmetow popadł w konflikt z Zełenskim, który oskarżał go nawet o szykowanie zamachu stanu. Po 24 lutego oligarcha stanął jednak po stronie władzy, wspierając armię ukraińską.

Podobne stanowisko zajęli Wiktor Pinczuk i Petro Poroszenko. Ostro spór polityczny obecnego prezydenta z poprzednikiem po wybuchu wojny nie wygasł, ale trochę uciął. Poroszenko demonstracyjnie wspiera armię. Z kolei Wiktor Pinczuk nazywany jest nawet „ulubionym oligarchą prezydenta”. Jako jeden z niewielu biznesmenów mieszających się do polityki w ciągu czterech lat rządów obecnej ekipy nie miał problemów z prawem. Stracił też na wojnie



mów ze zbożem. Jego zdaniem największym problemem nie jest ani częściowa blokada eksportu, ani nawet wojna. Już przed 24 lutego rolnicy byli zmuszeni przepłacać za przewozy towarowe. Sytuację na kolei opisuje ironicznym pytaniem: „Co by było, gdyby w rozkładzie ruchu pasażerskiego figurował jedynie miesiąc odjazdu pociągu bez jakichkolwiek innych parametrów, zaś na peronie bilety sprzedawane byłyby na zasadzie aukcji?”. „Bilety” na pociągi towarowe sprzedawane są na ostatnią chwilę. Władze w Kijowie nie dbają o sprawny transport, wolą natomiast inwestować w przewozy pasażerskie, które nie przynoszą dochodów ekonomicznych, ale dają korzyść polityczną. Czyli zadowolony z nowoczesnych pociągów elektorat.

W DRODZE DO UNII EUROPEJSKIEJ

Już cztery dni po inwazji rosyjskiej Kijów oficjalnie złożył wniosek o członkostwo w Unii Europejskiej. Członkostwo Ukrainy jest wciąż odległą perspektywą, warto jednak zastanowić się, co by ono oznaczało – dla wspólnoty i dla Polski. Wojna zrujnowała przemysł ciężki, w mniejszym stopniu uderzając w rolnictwo. Dlatego po zakończeniu walk Ukraina nie tylko pozostanie wielkim spichlerzem, lecz także jej gospodarka będzie w jeszcze większym stopniu niż wcześniej skupiona wokół produkcji rolnej. Branża IT będzie jedynie dodatkiem. Dlatego w ramach UE Kijów i Warszawę czekałaby jeszcze bardziej zażarta i wyniszczająca konkurencja niż obecnie.

Alona Kyryczenko z agencji Unian przestrzega swoich rodaków, że jeśli chcą wejść do UE, to muszą liczyć się z ograniczeniami i koniecznością zawierania kompromisów. Jak zauważa publicystka, europejska polityka ukierunkowana jest na wsparcie i rozwój stosunkowo niewielkich gospodarstw, których w żaden sposób nie można porównać z ukraińskimi wielkoobszarnymi latyfundiami, liczącymi dziesiątki i setki tysięcy hektarów. „Ponadto wartość produkcji na ogromnych, żyznych ukraińskich polach kosztuje grosze w porównaniu z uprawą na kamienistych zboczach gór np. we Francji. Dlatego, żeby Ukraina nie zmiotła (znajdujących się w gorszej sytuacji) producentów z rynku, członkowie UE będą ograniczać lub zabraniać nam

eksportu” – pisze Kyryczenko. Prognozuje, że ograniczenia mogą objąć najbardziej dochodowe gałęzie ukraińskiej produkcji rolnej – branżę mączną, drobiarstwo, warzywnictwo.

W innym tekście Kyryczenko i Nadija Burbela zauważały, że „oprócz przejścia na surowe unijne standardy” wielkim wyzwaniem dla ukraińskiego rolnictwa będzie konkurencja. Tak się składa, że akurat z tymi krajami, które do tej pory były największymi adwokatami Kijowa na arenie międzynarodowej. Ukraiński Klub Agrobiznesu prognozuje, że na rynku zbożowym Ukraina konkurować będzie przede wszystkim z Rumunią, Polską, a także z Francją czy Niemcami. Partnerami dla Kijowa będą natomiast kraje południowego zachodu Europy, gdzie bardzo wysoka temperatura nie pozwala na rozwój uprawy zbóż. Na wejściu Ukrainy do UE zyskają też państwa, które potrzebują paszy, ponieważ stawiają na hodowlę bydła. Akurat ten sektor nie musi się obawiać konkurencji. Ukraina nie jest w tej dziedzinie potentatem. Jeśli chodzi o uprawę warzyw, to kandydata do UE powinny się bać Niemalandy, Hiszpania i Włochy. Tania ukraińska czekolada to z kolei zagrożenie dla opartej w dużej mierze na słodczykach belgijskiej gospodarki.

9,4 mld dol.

O TYLE W CIĄGU 10 MIESIĘCY WOJNY STOPNIAŁ MAJĄTEK NAJBOGATSZEGO UKRAIŃCA, RINATA ACHMETOWA

Wreszcie integracja z UE to wiele problemów do rozwiązania również dla samego Kijowa – od mitycznej walki z korupcją poczynając. Wejście do wspólnoty to nie tylko możliwość podboju zachodnich rynków. Wolny przepływ dotyczy zarówno towarów, usług, jak i kadr. To zaś oznacza, że ukraińscy pracodawcy będą musieli podnieść płace, żeby nie stracić pracowników. Ukraińskie społeczeństwo, media i klasę polityczną czeka więc jeszcze wiele niemiłych niespodzianek na drodze do eurointegracji.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

mniej niż Achmetow. Jego majątek zmalał z 2,6 mld do 2 mld dol. Również dlatego, że należące do niego przedsiębiorstwa mają siedzibę dalej od frontu, w obwodzie dniepropietrowskim. Majątek Poroszenki zaś podczas wojny skurczył się z 1,6 mld do 0,7 mld dol. Kołomojskiemu z 1,8 mld dol. został miliard.

Ukraińska władza w coraz mniejszym stopniu potrzebuje oligarchów. Szczególnie tych starszego pokolenia, zajmujących się głównie przemysłem ciężkim. A więc tą gałęzią gospodarki, która podczas wojny musiała szczególnie ucierpieć. W rankingach najbogatszych Ukraińców w górę pną się przedstawiciele takich sektorów jak wspomniana już branża IT, handel detaliczny czy wreszcie rolnictwo. Większość dużych przedsiębiorstw rolnych zanotowała przyzwoite wyniki finansowe (o czym szerzej pisze Jakub Wozinski na str. 16-18).

Wbrew pozorom za problemy z eksportem ukraińskiego zboża odpowiada nie tylko Polska. Ekspert ds. logistyki Jurij Szczuklin zwrócił niedawno uwagę na mało znany aspekt ukraińskich proble-



Piotr Semka

Po wybuchu obecnego kryzysu pojawią się zapewne zdwojone tyrady realistów, którzy od samego początku wojny Ukrainy z Rosją głosili hasło: „To nie nasz konflikt”. Szaleją liderzy Konfederacji, którzy wysłali prezydentowi Dudzie klęcznik. Pierwsze emocje na szczęście opadają. Oby ta gorzka lekcja nauczyła obie strony, jak umiejętnie wyważać wzniosłe emocje ze zwykłą, ale jakże niezbędną pragmatyką formułowania swoich interesów i reagowania na stanowisko drugiej strony

Ostrość i gwałtowność wybuchu kryzysu na linii Warszawa – Kijów zaszokowały nie tylko zwykłych Polaków, lecz także doświadczonych komentatorów polityki międzynarodowej. Wszyscy zadają pytanie: Co doprowadziło do tak gwałtownego załamania się bardzo bliskich relacji?

Użycie mównicy forum ONZ do strofowania Polski i odwołanie spotkania z prezydentem Andrzejem Dudą wyraźnie dotknęły polską głowę państwa. Czy była to samodzielna reakcja Ukrainy czy też wpływ na ten kraj jakiejś trzeciej strony?

W filmie „Speed: Niebezpieczna prędkość” bohaterowie niebezpiecznej akcji ratowania autobusu już po minięciu zagrożenia wpadają sobie ramiona. Zanim ich usta złączą się w miłosnym pocałunku, Sandra Bullock mówi do Keanu Reevesa: „Związki zbudowane na wspólnych dramatycznych wydarzeniach nie bywają trwałe”. No cóż. Coś w tym chyba jest.

O JEDEN UŚCISK ZA DUŻO

Gdzie tkwi przyczyna błędu? I co było błędem, a co nie? Zaczniemy od tego, o czym w ciągu ostatniego roku zapomnieliśmy lub staraliśmy się zapomnieć.

Prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski przemawia podczas 78. sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ FOT. F. AKTAS/ANADOLU AGENCY/GETTY IMAGES



Zimny przeciąg w ciepłym wrześniu

Ukraińska polityka ponad trzy dekady po rozpadzie Związku Sowieckiego wciąż jest dla polskiego (i nie tylko) obserwatora czymś tajemniczym i pełnym postsowieckich obyczajów. Politycy średniego szczebla bywają bukowaci i zdumiewająco pewni siebie. Polska przez wielu z nich traktowana jest jako „druga liga”, a prawdziwi wymarzeni partnerzy to Amerykanie, Niemcy czy Francuzi.

Wielu obserwatorów ukraińskiej polityki wskazuje, że Wołodymyr Zełenski naprawdę miał być pewien, że po dogadaniu się z Ursulą von der Leyen Polska musi podporządkować się zniesieniu embarga na zboże. W otoczeniu prezydenta Ukrainy nie ma nikogo, kto zna się na polskiej polityce. Doskonale rozumieli to zawsze polscy biznesmeni, którzy próbowali robić inwestycje za naszą wschodnią granicą. Nie mogli oni zrozumieć, do czego dążą ich ukraińscy partnerzy. Bardzo serdeczne deklaracje przyjaźni, po których następowało zadziwiające cofanie się lub niewywiązywanie się z umowy.

Miejscem, w którym dziś najbardziej tę lekcję się analizuje, jest zapewne Kancelaria Prezydenta Andrzeja Dudy. W sieci króluje opinia, że w relacjach z prezydentem Wołodymyrem Zełenskim za dużo było uścisków, a za mało spokojnego stawiania naszych interesów. Takie zarzuty najchętniej stawiają oczywiście ci, którzy dystans wobec Ukraińców wynieśli z tradycji rodzinnej lub z niechęci do tzw. idei Giedroycia, co cechuje głównie spadkobierców idei narodowej z Konfederacją na czele. Ale i PiS krzywo patrzył na demonstracyjne „niedźwiadki” Andrzeja Dudy z Zełenskim.

Sam fenomen pomocy dla Ukraińców po wybuchu wojny był jednak spon-taniczny. Zwolennicy obozu niepodległościowego nawiązujący do tradycji Piłsudskiego widzieli w tym gwałtownym ociepleniu na linii Kijów – Warszawa szansę na przezwycięzenie wielowiekowego przekleństwa wrogości. Ale być może najtrafniejszym wyjaśnieniem opatrzenie rozumianych przez obie strony sygnałów są ci specjaliści od Wschodu, którzy wskazują, że nie da się tak szybko nadrobić zwyczajnego braku wiedzy o Ukrainie i jej klasie politycznej, który panuje wśród polskich polityków.

Kolejnym elementem, który aż nasuwa się przy tym sporze, jest zwyczajne zmę-

czenie i rozchwieianie psychiczne Wołodymyra Zełenskiego, człowieka, który od roku i siedmiu miesięcy dźwiga na sobie rolę obrońcy Ukrainy. Wciąż za mało wiemy o kulisach walki o wielkie interesy związane z eksportem zboża i gigantami zbożowymi reprezentującymi zarówno oligarchów, jak i wielkie firmy międzynarodowe z kapitałami amerykańskim, niemieckim, holenderskim czy izraelskim. Jeśli w ten sposób wyjaśnić obecne zaognienie sytuacji, to – jak się okazuje – są to lobby mające niesamowicie dużą siłę wpływania na politykę Ukrainy.

Pytanie jednak, czy nasi analitycy w rządzie i w Kancelarii Prezydenta byli w stanie rozpoznać na czas skalę konfliktogenności kwestii zbożowej. Być może polska strona tak długo nie dopuszczała do siebie myśli, że konflikt o transporty może wywrócić nasze relacje, gdyż na czas nie zrozumiała rozkładu sił w ukraińskim obozie władzy. Faktem jest, że Kancelaria Prezydenta ma już jakąś dziwną tradycję pozbywania się najbardziej utalentowanych urzędników zajmujących się polityką zagraniczną. Dlaczego Krzysztof Szczerski został uznany za o wiele bardziej niezbędnego w ONZ niż w Pałacu Prezydenckim? Dlaczego wcześniej prezydent dopuścił do odejścia z pałacu Marka Magierowskiego? W imię czego pozwolił wyjechać Jakubowi Kumochowi na placówkę do Chin? Czy zamiast nich ściągano do pałacu przy Krakowskim Przedmieściu równie sprawnych i błyskotliwych dyplomatów? Ale pytanie jest szersze. Czy zarówno w rządzie, jak i w MSZ stworzono duże zespoły analityków, którzy monitorowaliby na miejscu lub w Kijowie ruchy tektoniczne w ukraińskiej polityce? Wiele razy słyszałem w tym kontekście ubolewania, że funkcję „łącznika” na linii Kijów – Warszawa przestał pełnić minister Michał Dworczyk. To on potrafił rozładowywać wiele konfliktów w bardzo wczesnych fazach. Być może dlatego Rosjanie zaangażowali się w aferę e-mailową.

KIERUNEK NA NIEMCY

Miejmy jednak pewną miarę w samobiczowaniu się za to, że Polska doczekała się prztyczka w nos od kraju, w który włożyła tyle uczuć i tyle nadziei. Jedną z teorii dotyczących zmiany w nastawieniu prezydenta Wołodymyra Zełenskiego,

którą usłyszałem od jednego z zagranicznych korespondentów w Warszawie, brzmi dość logicznie. „Prezydent Zełenski wie już, że w tym roku jego ofensywa wojenna nie odbije nawet okupowanych ziem obwodów Ługańskiego, Donieckiego i Zaporoskiego. O zajęciu na nowo Krymu nawet nie ma mowy. Jednocześnie płyną wyraźne sygnały ze strony Ameryki, że prezydent Joe Biden nie ma ochoty, aby w Europie trwała gorąca wojna w czasie jego kampanii wyborczej. Donald Trump wprost mówi, że Ukraina nie uniknie rozmów pokojowych. A jeśli dojdzie do kongresu wielkich mocarstw, to można z góry założyć, że główne role odgrywać będą w nim Amerykanie, Niemcy i Francuzi. Naturalne jest więc postawienie na Niemców, a to oznacza siłą rzeczy rozluźnienie relacji z Polską. W Nowym Jorku prezydent Ukrainy wprost postawił postulat włączenia Niemiec do grupy stałych członków Rady Bezpieczeństwa ONZ. „Niemcy stały się jednym z najważniejszych światowych gwarantów pokoju i bezpieczeństwa” – ogłosił.

„Na pewno nie powinniśmy lekceważyć liczby polityków ukraińskich, którzy wychowali się na niemieckich grantach, na uczelniach RFN i myślą w kategoriach dominacji Niemiec i Francji w Europie”. Ulubieńcem Berlina jest mer Kijowa Witalij Kliczko. Tyle teoria niemiecka.

To, co może zaskakiwać, to łatwość, z jaką prezydent Zełenski zmienił front. O tym, jak wiele nadziei wiązano z jego osobistym zaangażowaniem w relacje ukraińsko-polskie, świadczą reakcje wielu komentatorów, którzy dziwili się, że nie reaguje on na dosyć aroganckie wysoki takich polityków jak wiceminister ekonomii Taras Kaczka czy urzędnicy prezydenckiej administracji. Dziś widać, że to raczej oni byli heroldami zmiany nastrojów przywódcy państwa ukraińskiego. To, co może zaskakiwać, to tylko perfidia rozmaitych wypowiedzi, jak np. wtedy, gdy wiceminister Kaczka zażartował na Twitterze, że walka Ukrainy o swobodę dopływu zboża do Polski to walka „o waszą i naszą wolność”. Użycie tego hasła z powstań lat 1831–1863 świadczyć musi o wiedzy o polskiej symbolice, a także dużej dozie złej woli. Oczywiście Ukraińcy do końca nie rozumieją też mechanizmów działania wielkich organizacji światowych. Postępowanie

■ przed Światową Organizacją Handlu potrwają długie lata, a zakaz wjazdu polskich owoców i warzyw na Ukrainę spotka się, jak już głosi premier Morawiecki, z odpowiednimi retorsjami. Ale pamiętajmy, że rozmawiamy o ekipie rządzącej państwem, które ponownie znalazło się w punkcie wyjściowym dyskusji nad swoim bezpieczeństwem. Ukraina jest wewnętrznym wymęczona wojną i dalsze naborów ochotników na krwawiący front stają się już niemal łapanką. Na nowe transze wyposażenia wojskowego po bardzo

na fora internetowe Ukraińców w Polsce, to panuje tam raczej niemiłe zaskoczenie gwałtownością zwrotu politycznego Zełenskigo. Być może jest ono spowodowane obawami o polską retorsję, ale jest też wyrazem smutku, że zbudowany polsko-ukraiński model zbliżenia nagle wysadzany jest w powietrze z powodu interesów zbożowych lobby, z którymi wielu Ukraińców nigdy się nie styka.

Po wybuchu obecnego kryzysu pojawiają się zapewne zdwojone tyraady realistów, którzy od samego początku

jednej rzeczy – że zderzenie się naszych wyobrażeń o sobie z naszym potencjałem siły i tak prędzej czy później by nastąpiło. Bardzo wyczuleni byliśmy jeszcze niedawno na to, by polskie firmy już teraz uzyskiwały od rządu ukraińskiego gwarancje na udział w zyskach z odbudowy zniszczonego kraju. W tych dyskusjach zawsze pomijaliśmy jednak nieprzyjemną okoliczność: jaką skalą kapitału operują nasze firmy w porównaniu z rywalami z Ameryki, Niemiec czy Izraela? Skoro okazało się, że interesy oligarchów i wielkich firm zbożowych potrafiły tak gwałtownie zmienić politykę władz ukraińskich, to jak wyglądałaby pozycja naszych firm w razie realizacji z wielkimi koncernami w trakcie ewentualnej odbudowy Ukrainy?

Cała sprawa ma jeszcze jeden czyśto personalny wymiar. Na szczęście jesteśmy świadkami nawiązania na nowo dialogu w sprawie kryzysu zbożowego między Warszawą a Kijowem. Ukraińcy wycofują się z pomysłów na embargo na polskie owoce i warzywa i być może wycofają skargę z WTO. Ale jedna rzecz będzie trudna do „sklejenia”. Prezydent Wołodymyr Zełenski nie zdaje sobie chyba sprawy z tego, jak bardzo rozczarował wielu zwykłych Polaków. Jak bardzo roztrwonił kapitał sympatii, który zyskał z racji odważnego przewodzenia swemu narodowi w obliczu agresji Putina. Kapitał zaufania buduje się bardzo długo, a roztrwonić go można w jednej chwili. Byłemu bohaterowi serialu „Sługa narodu” udało się to zaskakująco szybko.

Ale choćbym miał to powtarzać tysiąc razy, będę to powtarzać nadal. To ukraińscy żołnierze marznący w okopach pod Andrijówką oddzielają nas od rosyjskich wojsk o wiele setek kilometrów. Rosja, która nie przegra wojny z Ukrainą, może być nadal pod rządami obecnego lub jakiegoś następnego szaleńca o mentalności zbrodniarza. Ukraina będzie nam jeszcze wiele razy potrzebna. Na pewno do dalszych rachub na tym kierunku dyplomatycznym podchodzić będziemy już ze znacznie bardziej uważnym podejściem. Ale tego wspólnego interesu nie unieważnia ten czy inny wyskok w kontaktach handlowych tego czy innego ukraińskiego polityka. Są rzeczy ważne i ważniejsze. A w naszym rejonie świata wcale nie zrobiło się bezpiecznie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Kapitał zaufania buduje się bardzo długo, a roztrwonić go można w jednej chwili. Prezydentowi Ukrainy Wołodymyrowi Zełenskiemu udało się to zaskakująco szybko

średnich efektach letniej ofensywy nie ma specjalnych widoków. A konferencja pokojowa dla prezydenta, który zarzekał się wiele razy, że nie zaakceptuje oderwania ani jednej piędzi ziemi od Ukrainy, może być gorzkim doświadczeniem.

UKRAIŃCY I MY

Zacznijmy od nas. Agnieszka Romańska, opisując obraźliwy dla Polaków tweet prezydenta Zełenskigo, w bardzo charakterystycznym dla siebie stylu pisze: „Część Polaków poczuła się po tym wszystkim osobiście głęboko rozczarowana, wręcz urażona. Z jednej strony bardzo polubiliśmy ten obraz polskiego »powstania humanitarnego« (jak to ochrzcił niedawno Grzegorz Motyka) – faktycznie zjawiska na skalę światową niespotykanego i pozytywny obraz solidarnych – samych siebie. Z drugiej strony poculiśmy jako zbiorowość ogromną ulgę, gdy okazało się, że bliska przyjaźń może zastąpić wielowiekową, nieraz krwawą wrogość. Czy może bardziej nie czystą wrogość, ale raczej ambiwalencję i rozdarcie. Taka miłość i nienawiść naraz. I podziw, fascynację i pogardę”.

Pytanie, co z tym kapitałem dzisiaj zrobimy. Autorzy też o „bänderowskiej” Ukrainie i tropiciele realizowania rzeckiego planu Ukropolinu mogą teraz triumfować. Już pojawia się kwestia zniesienia świadczeń dla uchodźców. Czy jednak należy traktować Ukraińców, którzy mieszkają w Polsce, jako zakładników polityki Zełenskigo? Jeśli spojrzeć

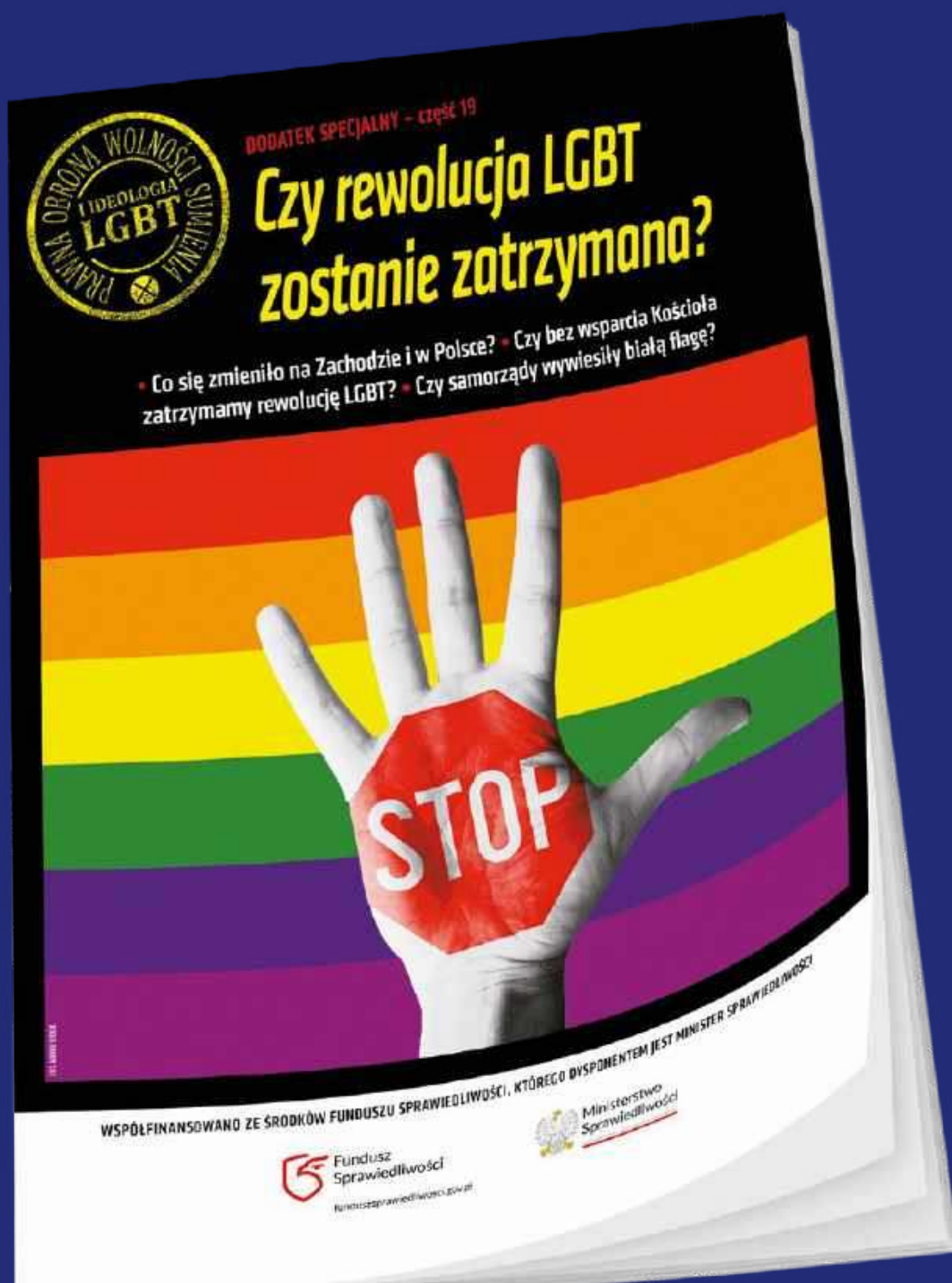
wojny Ukrainy z Rosją głosili hasło: „To nie nasz konflikt”. Szaleją liderzy Konfederacji, którzy wystali prezydentowi klęcznik na potrzeby domniemanego spotkania w Nowym Jorku z prezydentem Zełenskim. Jednak ich żądania wobec Ukrainy, by natychmiast wycofała się ze wszystkich swoich żądań, są tak samo realistyczne, jak żądania Kijowa, by Polska wycofała się z embargo na zboże.

Dla publicystów takich jak ja, którzy wierzyli i wierzą w sojusz strategiczny z Ukrainą, to czas niełatwy. Ale tym mocniej wypada podkreślić, że idea porozumienia z naszymi wschodnimi sąsiadami to zadanie na dekady, ten czy inny epizod dzielący nasze narody nie unieważnia doświadczonego rachunku zysków i strat dla Polski i Ukrainy.

Istnieje całkiem wyraźna propolska opinia publiczna wśród ukraińskich elit. Zamiast oburzać się na Niemców, że wykorzystują swoje wpływy na Ukrainie, nauczmy się prowadzić własną smart politics nad Dnieprem.

Tyle że wymaga to prowadzenia spójnej polityki zagranicznej będącej wynikiem konsensusu między największymi obozami politycznymi w Polsce. Taka polityka z racji ostrości konfliktu polsko-polskiego jest dzisiaj niezwykle trudna. I bądźmy zdolni do spojrzenia bez złudzeń na ten stan rzeczy i dopowiedzmy sobie, o ile silniejsze byłoby dla naszej pozycji wobec Ukrainy przemawianie jednym głosem przez polityków rządu i opozycji. Nie zapominajmy o jeszcze

Pobierz i czytaj za darmo dodatek w wersji elektronicznej!
tygodnik.dorzeczy.pl/dodatki-specjalne



WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPOONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI



funduszsprawiedliwosci.gov.pl



Ministerstwo
Sprawiedliwości

eprasa.pl e3d5feed47



Łukasz Warzecha

Przy okazji wojny na Ukrainie Polska miała wyrosnąć na najważniejszego gracza w regionie. Okazało się jednak, że rozgrywającym dalej są Niemcy. Będą opłacać sprzymierzeńców, którzy pozwolą im przegłosować nas w każdej sprawie w UE. Ukraina jest dla nich partnerem w tej sprawie kluczowym

Przed wyjazdem na sesję Zgromadzenia Ogólnego ONZ w Nowym Jorku prezydent Andrzej Duda powiedział dziennikarzom, że jednym z jego głównych celów będzie przypomnienie, iż Ukraina powinna się szybko znaleźć w NATO. Mówił te słowa w momencie, gdy było już jasne, że: Komisja Europejska nie przedłuży embarga na import zboża z Ukrainy m.in. do Polski, na Słowację i Węgry; Polska zamierza takie embargo przedłużyć jednostronnie; Kijów skieruje w związku z tym przeciwko nam wnioski do Światowej Organizacji Handlu, a być może wprowadzi też odwetowe embargo na polskie owoce i warzywa.

W tym kontekście wypowiedź pana prezydenta była nie tylko skandaliczna. Była wręcz zadziwiająca. Znamionowała dokumentne oderwanie od rzeczywistości. Nawet gdyby uznać, że naszym celem powinno być wstąpienie Ukrainy do NATO – co jest w najwyższym stopniu wątpliwe – to w takich okolicznościach głowa polskiego państwa powinna była powstrzymać się od otwartych deklaracji jakiegokolwiek pomocy, niezależnie od tego, co Andrzej Duda chciałby w tej sprawie osiągnąć.

Ostatnie dni to ciąg porażek dotychczasowej polskiej strategii. Najpierw nie doszło do spotkania Wołodomyra Zełenskigo z Andrzejem Dudą w czasie nowojorskiego szczytu, czego powody polski prezydent tłumaczył przedstawicielom mediów bardzo mętnie „rozjechaniem się” harmonogramu obrad Zgromadzenia Ogólnego ONZ. Wołodomyr Zełenski wyszedł z sali w czasie wystąpie-



Ukraińska gra

nia swojego „przyjaciela” Andrzeja, a potem we własnej przemowie sugerował, że polski rząd sprzyja Rosji. Powiedział: „I niepokojące jest to, jak niektórzy w Europie, niektórzy nasi przyjaciele w Europie, odgrywają w teatrze politycznym solidarność, robiąc thriller ze zbożem. Może się wydawać, że odgrywają własną rolę, ale w rzeczywistości pomagają przygotowywać scenę dla moskiewskiego aktora”.

W środę wieczorem polskiego czasu Andrzej Duda, niezrażony i trwający niezłomnie na pozycji największego ukrajinofila w Rzeczypospolitej, wygłosił w TVP Info kolejny płomienny proukrański adres. Mówił: „Polacy otworzyli swoje serca, przyjęli miliony uchodźców wojennych. Daliśmy i damy ogromną pomoc, bo rozumiemy, co to znaczy, że ktoś został napadnięty przez agresora. Chcemy, by Ukraina się obroniła, bo to jest także w interesie Polski. Od samego początku mówimy, że prymat prawa międzynarodowego powinien zostać przywrócony. Celem, który powinien zostać zrealizowany przez wspólnotę międzynarodową, jest udzielenie Ukrainie takiego wsparcia, by zdołała wyprzeć Rosjan ze swoich międzynarodowo uznanych terytoriów”.

W dokładnie tym samym czasie niemieckie media z triumfem informowały, że Wołodomyr Zełenski poparł na forum Zgromadzenia Ogólnego wejście Niemiec do Rady Bezpieczeństwa jako jej stałego

członka (w tej chwili stali członkowie RB to USA, Rosja, Chiny, Francja i Wielka Brytania).

Można by się zniecać nad Andrzejem Dudą, wskazując, że polityk z jakim takim wyczuciem sytuacji i rozumiejący związki przyczynowo-skutkowe, a także prawdziwa miękka dyplomacja, przynajmniej retorycznie stonowałby poparcie dla Kijowa. Ale przecież Andrzej Duda nie był w swoim chorobliwym, wręcz proukrańskim zapale sam. Wytrwale wtórowały mu w tym takie osoby – dziś siedzące cicho – jak wiceminister spraw zagranicznych Paweł Jabłoński, który oskarżał m.in. autora tego artykułu o powielanie rosyjskiej propagandy za wskazywanie rozbieżności interesów Polski i Ukrainy. Jak Stanisław Żaryn, minister od śledzenia ruskich onuc, który swoje „alerty dezinformacyjne” ilustrował zdjęciem redaktora naczelnego naszego tygodnika. Jak ambasador RP w Kijowie Bartosz Cichocki, który wielokrotnie przekraczał swoje plenipotencje, wypowiadając się na tematy strategii zagranicznej polskiego państwa.

WARTOŚCI ZAMIAST INTERESÓW

W dniu, gdy Wołodomyr Zełenski mówił w Nowym Jorku o permanentnym powiększeniu Rady Bezpieczeństwa o Niemcy, na konwencji wyborczej we Wrocławiu Jarosław Kaczyński oznajmił: „Chcemy i będziemy w tym froncie



z Berlinem

poparcia dla Ukrainy. Ale robiliśmy to z powodów zasadniczych, z powodu tych wartości, które wyznajemy – naszego przywiązania do wolności, także wolności narodów, a także w imię naszej racji stanu. Natomiast w żadnym wypadku, jeśli można mówić o takiej dorozumianej umowie między nami a Ukraińcami, ona nie zawierała takiego punktu, że z powodu tej obrony zlikwidujemy polskie rolnictwo”. Znamienne, że na pierwszym miejscu jako powody postępowania Polski prezes PiS wymienił jakieś wartości, a nie realizację twardego polskiego interesu.

Ta wypowiedź, wygłoszona w ogniu wyborczej rywalizacji, jest symptomatyczna, bo sygnalizuje brak jakiegokolwiek strategicznej refleksji nad grą, która toczy się pomiędzy Ukrainą, Niemcami, Stanami Zjednoczonymi i w jakimś stopniu Polską – choć my na własne życzenie nie jesteśmy tutaj graczem specjalnie mocnym. To gra o potencjalnie fatalnym dla nas rezultacie. Gra o przyszły kształt UE.

W tym samym czasie, gdy w Nowym Jorku rozpoczynały się obrady Zgromadzenia Ogólnego, ujawniony został raport francusko-niemieckiej grupy roboczej, zatytułowany „Sailing on High Seas: Reforming and Enlarging the EU for the 21st Century” („Żeglując na pełnym morzu: reforma i powiększenie UE w XXI w.”). Co prawda, na stronie tytułowej czytamy, że wyrażone w raporcie opinie są poglądami

wyłącznie autorów oraz nie przedstawiają stanowiska rządów w Berlinie i Paryżu, ale wiadomo doskonale, że takie raporty nie powstają ot, tak sobie. Szczególnie że najważniejszy obecny w raporcie wątek – zmiana sposobu podejmowania decyzji w UE – jest coraz śmielej wprowadzany na agendę, a jako oficjalny cel swojej polityki w UE prezentował go już rok temu Olaf Scholz.

W sierpniu 2022 r. kanclerz Niemiec wygłosił w Pradze (Czechy sprawowały wówczas prezydencję w UE) na Uniwersytecie Karola programowe wystąpienie. Poparł w nim poszerzenie Unii o kraje Bałkanów Zachodnich, Mołdawię, Ukrainę, a w dalszym czasie także Gruzję, jednocześnie zaznaczył, że warunkiem poszerzenia musi być zlikwidowanie zasady jednomyślności w Radzie Unii Europejskiej tam, gdzie ona jeszcze obowiązuje. Przede wszystkim dotyczy to sfery polityki zagranicznej oraz pod pewnymi warunkami bezpieczeństwa.

Swoje tezy Scholz powtórzył w maju tego roku w Parlamencie Europejskim podczas debaty z cyklu „This is Europe”. Jego zdaniem poszerzenie zasady głosowania większościowego w Radzie UE na sferę polityki zagranicznej i – co bardzo ważne – podatkowej jest absolutnie kluczowe.

Wróćmy do raportu. Wśród jego autorów są: ze strony francuskiej Olivier Costa, jeden z najbardziej prominentnych

naukowców w kręgach europeistyki, pracujący m.in. w słynnym College of Europe w Brugii, sztandarowej unijnej uczelni kadrowej; ze strony niemieckiej prof. Daniela Schwarzer, w latach 2016–2021 dyrektor Deutsche Gesellschaft für Auswärtige Politik (DGAP – Niemieckie Towarzystwo Polityki Zagranicznej), bodaj najważniejszego niemieckiego think tanku, finansowanego przez państwo, zajmującego się polityką zagraniczną. W sumie grupa liczyła sobie 12 osób – tak samo nieprzypadkowych, jak Costa i Schwarzer.

PLAN PARYŻA I BERLINA

Raport, kompletnie niedostrzeżony w Polsce, powinien zostać uznany za nieformalny na razie plan działania najsilniejszego europejskiego duetu – Paryża i Berlina. Opracowanie podzielono na trzy sekcje. Pierwsza dotyczy praworządności. Autorzy rekomendują wzmocnienie warunkowości, czyli jeszcze głębsze uzależnienie otrzymywania unijnego wsparcia od przestrzegania zasad „rządów prawa”, co w obecnym stanie traktatów jest w ogóle wątpliwe, jakkolwiek na ten mechanizm zgodził się w 2020 r. Mateusz Morawiecki. Miałaby tu nastąpić rewizja prawa UE, w ramach której zniesiono by zasadę uruchomienia art. 7 tylko w razie jednomyślności wszystkich krajów poza tym będącym przedmiotem procedury. Ta zasada pozwalała w przeszłości chronić się nawzajem Polsce i Węgrom. Mało tego: sankcje miałyby obowiązywać automatycznie po pięciu latach od przedstawienia propozycji uruchomienia procedury (jeśli, oczywiście, państwo się nie podporządkuje).

Warto tu przypomnieć, że już teraz, w obecnej perspektywie budżetowej, licząc średnie wpływy z funduszy unijnych na rok (oczywiście zgrubnie) i odliczając płaconą przez nas składkę, zyskujemy rocznie raptem 17 mld zł, a to bez odliczenia spłacanego już przez nas kredytu, który finansuje fundusze z programu Odbudowy i Odtwarzania Odporności, czyli KPO. W następnej perspektywie budżetowej niemal na pewno będziemy już płatnikiem netto, a to oznacza, że ukaranie Polski za złamanie „praworządności” oznaczałoby dla nas niejako podwójną stratę. Inaczej mówiąc – nie otrzymując pieniędzy z UE, netto bylibyśmy podwójnie na minusie.

Druga sekcja raportu to „wyzwania instytucjonalne”. Zmieniony miałby być

■ przydział miejsc w Parlamencie Europejskim (zapewne ze szkodą dla Polski). Albo liczba członków Komisji Europejskiej miałyby zostać albo zmniejszona, albo KE miałyby zostać podzielona na komisarzy „wiodących” i zwykłych, przy czym tylko ci pierwsi mieliby prawo głosu. Czy można sobie wyobrazić, że Niemcy i Francja nie miałyby „wiodącego” komisarza? Raczej nie. A Polska? Pytanie jest oczywiście retoryczne.

Raport jasno stawia sprawę: przed kolejnym poszerzeniem UE wszystkie decyzje dotychczas podlegające weto miałyby być podejmowane na zasadzie większości kwalifikowanej. Weto pozostałoby jedynie w przypadku kwestii poszerzenia, zmiany traktatów oraz adaptowania instytucji unijnych do tych zmian – czyli w przypadku kwestii „konstytucyjnych”.

Co ważne, raport rekomenduje, aby zmiana w kierunku głosowania większościowego dokonała się poprzez tzw. *passerelle clause*, czyli zawartą w traktatach unijnych furtkę, umożliwiającą zmianę procedury legislacyjnej bez zmieniania zapisów traktatowych. To dla Polski gigantyczne niebezpieczeństwo, ponieważ oznaczałoby to wprowadzanie nowego sposobu podejmowania decyzji niejako kuchennymi drzwiami, bez debaty nad traktatami.

Wreszcie trzecia sekcja raportu to „pogłębianie i poszerzanie” UE. Tu autorzy proponują jak najściślejsze powiązanie procesu poszerzenia Unii z jej reformą instytucjonalną, a więc w praktyce złączenie jednego z drugim. Jest też powrót do kiedyś poważnie rozważanej koncepcji unii różnych prędkości: niechętne zmianom państwa miałyby możliwość wyłączenia się z rozwiązań nowego traktatu, ale nie z dotychczasowego „*acquis communautaire*” oraz „kluczowych wartości UE”. W praktyce oznacza to, że nadal możliwe byłoby ukaranie takiego państwa za rzekomą niepraworządność, o ile działałoby się to w ramach obecnych rozwiązań traktatowych.

JAK NIEMCY CHCĄ WYKORZYSTAĆ UKRAINĘ?

Nawet gdyby zalecenia z raportu nie zostały w przyszłości wcielone w życie w 100 proc., to kierunek jest dla nas i tak wybitnie niekorzystny. Oznacza to bowiem możliwość narzucenia Pol-

sce rozwiązań sprzecznych z naszym interesem – i w gospodarce, i w sprawach światopoglądowych. Tymczasem wystarczy spojrzeć, jak nawet w ramach obecnego sposobu podejmowania decyzji wychodzimy już teraz na polityce klimatycznej, żeby zrozumieć, czym grozi nam proponowana reforma Unii.

Jak Niemcy chcą wykorzystać Ukrainę w swojej grze? Dwojako. Po pierwsze – Polska ma zostać zaszantażowana kwestią rozszerzenia: chcecie Ukrainy w UE, uczyniliście z tego naczelny cel swojej unijnej polityki – no to musicie się zgodzić na zmianę sposobu podejmowania decyzji oraz na przystąpienie innych krajów, na których nam, Niemcom, zależy. Po drugie – już wewnątrz Unii Kijów, a także inni nowi członkowie, spłacający swój dług wobec Berlina, nie będą przecież wspierali w kluczowych kwestiach stanowiska polskiego, lecz niemieckie. Łączy się to idealnie z zamiarem wzmocnienia zasady głosowania większościowego.

Jesteśmy właśnie świadkami genialnego w swojej prostocie strategicznego manewru Berlina, który zastaje nas z – za przeproszeniem – opuszczonymi do kolan gaciami. Wbrew temu, co twierdzili zaledwie kilka czy kilkanaście miesięcy temu niepoprawni optymiści, Niemcy absolutnie nie zostały zmarginalizowane, choć faktycznie mają problem z odcięciem tanich surowców z Rosji. Wychodzą jednak właśnie z okresu pustki strategicznej. Z jednej strony oferują Waszyngtonowi wsparcie w jego sporze z Chinami i wielkiej rywalizacji bloków – w zamian za swobodę działania w ramach UE. Z drugiej – kupują sobie właśnie przychylność przyszłych ewentualnych członków Unii, stając się rzecznikiem poszerzenia i przedstawiając im perspektywę hojnego wsparcia z unijnej kasy. Czytaj: także z polskiej. Aby ująć to wprost i brutalnie: Niemcy zamierzają opłacać swoich nowych sprzymierzeńców, którzy pozwolą im przegłosować Polskę w każdej sprawie, także polskimi pieniędzmi, wpłacanymi do budżetu Unii. Ukraina jest tutaj bez wątpliwości partnerem kluczowym i najważniejszym.

Dodajmy do tego listę naszych sprzecznych z Ukrainą interesów, przede wszystkim w rolnictwie, ale nie tylko. Dodajmy świadomość, że w momencie

ewentualnego przyjęcia Ukrainy do strefy Schengen to polskie terytorium stanie się obszarem nieskrępowanej działalności ukraińskiej gangsterki. Wszystko to powinno jasno i jednoznacznie pokazywać, że w polskim interesie absolutnie nie leży przystąpienie Ukrainy do UE. Postępując racjonalnie, Polska powinna w tym momencie stać się zdecydowanym hamulcowym procesu dalszego poszerzania Unii.

Jest też jeszcze sprawa przyjęcia Ukrainy do NATO, raczej odleglejsza i mniej realna, ponieważ w stolicach krajów sojuszu, w tym także w Waszyngtonie, jest świadomość, że – jak powiedział niedawno w wywiadzie przeprowadzonym przez Tuckera Carlsona Viktor Orbán – przyjęcie Kijowa nawet po zawarciu z Rosją jakiegos rozejmu oznaczałoby bezpośrednią groźbę wciągnięcia Zachodu do gorącej wojny z Rosją w przyszłości. Dlatego także tutaj, wbrew stanowisku polskich władz, powinniśmy być przeciwko.

Nie sposób stwierdzić, czy rządzący w ogóle rozumieją tę grę. O ile retorycznie Warszawa sprzeciwia się planom Berlina, o tyle próżno szukać w wypowiedziach przedstawicieli obozu władzy głębszych analiz sytuacji i powiązania niemieckich planów ze sprawą poszerzenia. Prezydent, premier, prezes PiS zachowują się, wypowiadają oraz podejmują decyzje w taki sposób, jakby zupełnie nie łączyli ze sobą faktów. Co gorsza, niektóre deklaracje, tak jak ta Jarosława Kaczyńskiego z Wrocławia, mogą wskazywać, że spór z Ukrainą taktują jedynie jako nieporozumienie sektorowe, a w dodatku puszczają do Kijowa oko, sygnalizując, że po wyborach wrócimy do relacji takich jak wcześniej, nadal udzielając poparcia całkowicie bezwarunkowego. Być może stoi za tym przekonanie, że możemy jeszcze Ukrainę na swoją stronę przeciągnąć w tej grze. Jeśli tak, to jest to myślenie skrajnie naiwne. Polska w żadnym razie nie jest w stanie przelicytować niemieckiej oferty, zarówno gospodarczej, jak i politycznej. Jedynie, co możemy zrobić, to gruntownie zrewidować naszą strategię. Tak, w naszym interesie leży Ukraina suwerenna, oddzielająca nas od Rosji. W żadnym jednak wypadku nie leży w nim Ukraina jako członek NATO i Unii Europejskiej.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości
ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski

DO
RZECZY

HISTORIA
RZECZY

FUNDACJA STRAŻNIK PAMIĘCI

STRAŻNIK PAMIĘCI

2023

XI EDYCJA

WYJĄTKOWYCH NAGRÓD

W KATEGORIACH:

MECENAS | INSTYTUCJA | TWÓRCA

11 PAŹDZIERNIKA 2023 r.

WIĘCEJ INFORMACJI: [DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI](https://dorzeczy.pl/straznik-pamieci)

Patronat Honorowy
Prezydenta Rzeczypospolitej
Polskiej Andrzeja Dudy

RP

Prezydent
Rzeczypospolitej
Polskiej

Dofinansowano ze środków
Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej
im. Romana Dmowskiego i Ignacego Paderewskiego
w ramach Funduszu Patriotycznego

N

INSTYTUT DZIEDZICTWA
MYŚLI NARODOWEJ
im. Romana Dmowskiego
i Ignacego J. Paderewskiego

FP

FUNDUSZ
PATRIOTYCZNY

PARTNERZY



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

WSPÓŁORGANIZATOR



INSTYTUT
WSPÓŁPRACY
POLSKO-
WĘGERSKIEJ
IM. WACŁAWA FELCZAKA

PARTNERZY MEDIALNI



REPUBLIKA



Rafał A. Ziemkiewicz

Wizja Polski wolnej od imigracji to bajka. Jesteśmy na to skazani. Potrzebujemy jednak przemyślanej polityki dotyczącej sprowadzania pracowników z zagranicy

Zanim ten numer trafi do rąk czytelników, całodobowe telewizje informacyjne i portale najpewniej zapomną już o „największej aferze XXI w.” (trzeciej w ostatnich miesiącach – przypomnijmy, że tak samo anonsowane było przez opozycję połączenie Orlenu z Lotosem oraz zakup z ministerialnej dotacji siedzib przez kilka fundacji). Trudno policzyć, który to już nietrafiony „gamechanger”. Lewicowo-liberalna opozycja i jej media trwają uparcie w wierze, że gdzieś w informacyjnym szumie kryje się ten jeden wymarzony temat, ten super-skandal, którego ujawnienie zdemoluje podstawy władzy PiS, i że oni ten temat w końcu znajdą – może będzie to jakaś skrzywdzona przez lekarzy kobieta, może męczeństwo wepchniętej do radiowozu posłanki, może ukraińskie embargo na polskie ziemniaki albo kolejne unijne sankcje... W każdym razie już po paru dniach widać, że „afera wizowa”, mimo że w narrację o „milionie sprowadzonych za łapówki mużułmanów” udało się opozycji wciąż gnąć media i polityków zagranicznych, tej roli nie odegra.

Bombastyczna i jak zwykle nadgorliwa kampania lewicowo-liberalnych mediów – które sfrustrowane przedłużającym się oczekiwaniem na „gamechanga” każde mające potencjał do tej roli wydarzenie groteskowo przegrzewają i sprowadzają do absurdu – odebrała nam jednak możliwość przyjrzenia się temu, co nadużycia odkryte w procesie przyznawania pozwoleń na pracę i wiz pracowniczych pokazały. Szkoda, bo dotykamy tu jednego z najważniejszych obszarów dla przyszłości Polski, zasługującego doprawdy na lepszą obecność w debacie publicznej niż historyczne

Polityka imigracyjna konieczna od zaraz



FOT. ANDRZEJ STOKIEN

poryki z jednej i gołosłowne zaprzeczenia z drugiej strony.

JAK SPROWADZAĆ CUDZOZIEMCÓW?

Tymczasem „sprowadzanie” do Polski zagranicznych pracowników nie jest – jak nieudolnie próbowała straszyć opozycja – złem samym w sobie. Przy tragicznej w tej chwili demografii jesteśmy na to skazani – głoszona przez polityków Konfederacji teoria, że gdyby nie sprowadzać do gorzej płatnych prac cudzoziemców, to pracodawcy musieliby lepiej płacić Polakom i wszyscy by na tym zyskali, jest z wielu powodów zwykłą bajką. Pytanie nie brzmi więc „czy”, ale „jak”.

I tego pytania, niestety, nikt nie ma w Polsce odwagi w sposób odpowiedzial-

ny zadać. Imigracja jest jeszcze jednym tematem, w którym płacimy zaniechaniem za utrzymywanie w kraju stanu permanentnej wojny plemiennej: tego lepiej nie ruszać, bo przeciwnicy rozpętają przeciwko nam histerię. Podobny mechanizm sprawił, że przez wiele lat żaden rząd nie odważył się kupić nowoczesnych samolotów dla oficjalnych delegacji, aż doszło do tragedii w Smoleńsku.

Tymczasem system, według którego udzielane są pozwolenia na pracę w Polsce, pochodzi z czasów, gdy jedynymi ubiegającymi się o nie byli nieliczni przybysze z socjalistycznych Angoli, Wietnamu i innych „bratnich krajów”. Z jedną zasadniczą różnicą: rekrutowaniem za granicą pracowników i przysyłaniem ich do Polski zajęły się wyspecjalizowane

agencje. Zapotrzebowanie na ich usługi jest na tyle wielkie, że dysponują one potencjałem, nazwijmy to, lobbystycznym, któremu nie są w stanie się oprzeć archaiczne i słabe w tym punkcie służby konsularne i urzędy wojewódzkie.

Problemem nie jest to, że w jednym czy drugim konsulacie znajdują się urzędnicy, którzy biorą łapówki za przyspieszenie wydania wizy pracowniczej czy nawet za wydanie jej z pominięciem należytego sprawdzenia, czy dana osoba spełnia wszystkie ustawowe warunki. Problem ma charakter systemowy: państwo nie jest w chwili obecnej zdolne zapanować nad procesem sprowadzania ludzi do pracy w Polsce. Nie ma systemu skutecznego koncesjonowania zajmujących się tym firm (a przecież z natury rzeczy są one wymarzoną obiektem penetracji przez działające globalnie mafie zajmujące się przemytem ludzi), nie ma sił i środków, by skutecznie sprawdzać, czy „zamówieni” pracownicy rzeczywiście podjęli pracę zgodnie ze złożonymi deklaracjami ani czy po jej zakończeniu wrócili do siebie. Nie ma nawet możliwości ukarania podmiotów, które wystawiają setki czy nawet tysiące „zapotrzebowań” na pracowników, których wcale potem nie zatrudniają.

UBERYZACJA PRACY

Polacy, przynajmniej ci pozytywnie nastawieni do obecnego rządu, dumni są z naszego oscylującego w okolicach 3 proc. wzrostu gospodarczego – ale niechętnie przyjmują do wiadomości, że w znacznym stopniu nie jest on skutkiem polskiej przedsiębiorczości i pracowitości, tylko „nearshoringu”, jak przyjęło się nazywać rozpoczętą kryzysem pandemicznym tendencją do przenoszenia produkcji – z łatwej do odcięcia transportu Azji – bliżej, a tym „bliżej” bardzo często jest właśnie Polska. Wbrew stereotypowi to nie sadownicy, plantatorzy malin ani rodzime firmy budowlane „importują” najwięcej pracowników z biednych krajów, ale działające w naszym kraju koncerny. W tym także firmy, które w ogóle wyrosły na – jak przyjęło się to nazywać – „uberyzacji pracy”.

Tacy pracodawcy kierują się prostą zasadą, fundamentalną w systemie, który przyjęło się nazywać bardzo nietrafnie „neoliberalnym”: gdziekolwiek pojawiają

się zyski, powinny one być prywatne i nie nikomu do nich; gdziekolwiek pojawiają się koszty, powinno je solidarnie ponieść całe społeczeństwo. Sprowadzenie do Polski z odległego, biednego kraju pracownika, czasem nieumiejącego nawet wskazać na mapie kraju, w którym się znalazł, po to, żeby np. jeździł według wskazań wypożyczonego mu na ten cel GPS, żył byle jak i zadowalał się najniższym możliwym wynagrodzeniem, to czysty zysk – i ten bierze dla siebie organizator przerzutu „uberowego mięsa”. Jego obecność w kraju, zwłaszcza gdy rzesza takich ludzi rośnie w błyskawicznym tempie – a tak jest przy tej stopie wzrostu PKB – generuje rozmaite „koszty społeczne” – i te prędzej czy później poniesie Polska, jako państwo i jako społeczeństwo. Chwilowo beztrudno o tym nie myślimy, ale jest to oczywiste i nieuniknione.

Nikt rozsądny nie zadeklaruje się jako zwolennik rozrostu biurokracji, ale w tej konkretnej sprawie nowe przepisy i nowe instytucje są koniecznością i jest to jedna ze spraw, którymi najpilniej powinni zająć się ustawodawca i władza wykonawcza. Potrzebujemy przemyślanej polityki migracyjnej. Potrzebujemy, po pierwsze, strategicznej oceny, ile imigrantów będziemy potrzebować i w jakich dziedzinach. Nie można tu popadać w skrajności. Wizja Polski wolnej od imigracji to – jak już pisałem – bajka, nie leżymy na izolowanej od świata wyspie, a nawet gdyby tak było, bez dopływu imigrantów szybko byśmy wpędzili tę wyspę w biedę i zacofanie. Po drugie, zgoda na nieograniczone zwożenie „uberowego mięsa” z całego świata tylko po to, żeby jakieś „korporo” wyśrubowało zyski na czymś, co wcale nie musi być z punktu widzenia interesów kraju rekordowo tanie ani powszechnie dostępne, jest ze strony władzy nieodpowiedzialnością.

Dysponując takim rozeznanieniem co do potrzeb gospodarczych, należy określić potencjalne kierunki imigracji. Poza dyskusją jest otwarcie na mieszkańców Zachodu, zwłaszcza tamtejszych katolików i konserwatystów, którzy już zaczynają przenosić się do Polski, uciekając przed przymusową seksualizacją dzieci w szkołach czy szukając miejsca do życia, gdzie można bezpiecznie wyjść na ulicę, skorzystać z transportu publicznego nawet po zmroku albo iść z dziećmi do

parku lub na basen. Powinniśmy również być otwarci na każdego, bez względu na kraj pochodzenia, kto jest w stanie wylegitymować się odpowiednim majątkiem i chce w Polsce inwestować lub założyć firmę.

KRYTERIUM ASYMLACJI

Podstawowym kryterium powinna być ocena szansy asymilacji i zintegrowania z panującym w Polsce systemem wartości. Należy przy tym skorzystać z doświadczeń USA, gdzie z zasady gotowość przyjmowania przedstawicieli danej grupy etnicznej lub religijnej uzależnia się od statystyk, m.in. popełnianych przez jej przedstawicieli naruszeń prawa i porządku publicznego. Z bliższych geograficznie przykładów warto wziąć pod uwagę rozwiązanie Danii, która pod tym względem korzystnie odbija od reszty Unii Europejskiej. Wśród innych duńskich praw warto skopiować zasadę, że osiedlenie i przekształcenie pobytu czasowego w rezydenturę wymaga zdania w określonym czasie egzaminu z języka i kultury kraju, w którym się gości.

Nie miejsce tu na wyliczanie katalogu zasad, według których musi zostać uporzędkowana kwestia imigracji zarobkowej do Polski. Mamy generalnie dwa wzorce: pierwszy to Ameryka, z – mówiąc umownie – wyspą Ellis, czyli selekcją chętnych i surowym egzekwowaniem prawa, drugi – Europa, wpuszczająca każdego i niezdolna deportować nawet tych, których udało się po długotrwałej procedurze sądowo-urzędowej na to skazać. Nie trzeba już chyba nikogo przekonywać, że system europejski, za którym stała lewicowa ideologia i inżynieria społeczna (przypisze z obcych kultur mieli być młotem, który rozbija państwa narodowe oraz „patriarchalne” społeczeństwa i pozwoli na ich „glajchszalt” w „bezklasowe, wolne od nacjonalizmu społeczeństwo europejskie”), okazał się kompletnym szaleństwem i jest całkowicie zbankrutowany. Natomiast USA, dopóki trzymały się swoich zasad, dopóty na imigrację zarabiała (acz też nie bez problemów społecznych, z którymi różnie sobie radziły).

Rzecz wydaje się oczywista: skoro jesteśmy na imigrację skazani, to zróbmy to tak, żeby na niej zarobić, a nie stracić. Wzorce są, potrzeba tylko woli.

Afera wizowa czy kryzys migracyjny?



Tomasz Rowiński

Po aferze wizowej opozycji. PiS skutecznie zamortyzował medialne skutki afery wizowej. Opozycji nie udało się utrzymać nieprawdziwej narracji o setkach tysięcy migrantów, którzy bez kontroli mieli wdrzeć się do Polski. Czy jednak „nic się nie stało”?

Ostatnim łabędzim śpiewem kampanijnej orkiestry w sprawie afery wizowej było orędzie marszałka Senatu Tomasza Grodzkiego, który powtórzył w nim kilka wątpliwych informacji o sprawie, m.in. tę o setkach tysięcy afrykańskich i azjatyckich imigrantów, którzy mieli trafić do Polski za sprawą korupcyjnego procederu. Sprawa jednak medialnie wygasa. Czasem jeszcze tylko w mediach społecznościowych ktoś wrzucił mema czy dowcip o straganach, na których w Afryce można kupić polskie wizy.

Nie da się jednak powiedzieć, że zupełnie nic się nie stało. Wiceminister spraw zagranicznych Piotr Wawrzyk został usunięty ze stanowiska (a nawet z list wyborczych PiS). Prokuratura i CBA prowadzą śledztwo, są zatrzymania, a szef MSZ Zbigniew Rau rozwiązał wszystkie umowy z firmami, którym zlecano zadania obsługi wniosków wizowych. Tego rodzaju outsourcing pojawił się po tym, jak w roku 2011 zamknięto 31 polskich placówek dyplomatycznych w różnych miejscach na świecie.

To, że w sprawę zamieszane są firmy, z którymi podpisywano umowy jesz-

cze w czasach, gdy ministrem spraw zagranicznych był Radosław Sikorski, wskazuje, że tło skandalu jest tu znacznie szersze, niż wskazywałoby propagowane przez opozycję hasło „największa afera PiS”. Najbardziej interesujące są w tej sprawie rzeczywiste liczby i odpowiedź na pytanie, ilu migrantów naprawdę przyjechało dzięki kupionym wizom. Jednak najpierw odpowiedzmy, o co w ogóle chodzi w „aferze wizowej”.

POŚREDNICTWO Z WIZAMI

Ostatniego dnia sierpnia funkcjonariusze CBA odwiedzili Ministerstwo Spraw Zagranicznych i przesłuchali kierownictwo departamentu konsularnego. Rozmowy dotyczyły Centrum Decyzji Wizowych MSZ w Łodzi i pośrednictwa wizowego. Centrum miało umowę ze wspomnianą już korporacją VFS Global. A powstało, by realizować zadania wynikające ze wprowadzenia rozporządzenia przygotowanego w poprzednich miesiącach przez wiceministra Piotra Wawrzyka. Rozporządzenie to (ostatecznie nie weszło w życie) miało ułatwiać przyjazd do Polski pracownikom z Iranu, Pakistanu, Zjedno-

czonych Emiratów Arabskich. Centrum Decyzji Wizowych stoi dziś zamknięte na cztery spusty.

Początkowo wydawało się, że Wawrzyk właśnie za ten pomysł miał być usunięty ze stanowiska. Łódzkie Centrum było gotowe przyjąć nawet 400 tys. pracowników. Pomysłodawcą jego utworzenia miał być Jakub Osajda, były już dyrektor Biura Służby Zagranicznej, a wcześniej asystent poselski Wawrzyka. Jednak – jak wskazują aktualniejsze poszlaki – na Wawrzyka spadła także odpowiedzialność za sposób, w jaki łódzkie Centrum Decyzji Wizowych MSZ miało współpracować z VFS Global.

„Media społecznościowe pełne są informacji o tym, jak VFS blokuje zewnętrzną możliwość wypełnienia wniosku wizowego (używa do tego m.in. botów), tworząc swoisty monopol na te czynności. To nie wszystko. Do osób, którym nie udało się złożyć wniosku wizowego, zgłaszają się pracownicy VFS, oferując pomoc za kwoty między 500 a 800 euro” – pisała „Gazeta Wyborcza”. CBA bada jednak też inny, może najważniejszy wątek – na firmy rekrutujące pracowników miały zostać prze-



Z powodu afery z wizami dla obcokrajowców stanowisko stracił wiceminister spraw zagranicznych Piotr Wawrzyk. FOT. WOJCIECH OLUKSIŃSKI/EAST NEWS

Doprecyzowano, że nieprawidłowości dotyczyły polskich placówek dyplomatycznych w Hongkongu, na Tajwanie, w Zjednoczonych Emiratach Arabskich, Indiach, Arabii Saudyjskiej, Singapurze, na Filipinach i w Katarze.

15 września CBA zatrzymało trzy osoby. To Mariusz G., świętokrzyski działacz PiS zasiadający także w radzie nadzorczej spółki Enea Elektrownia Połaniec, oraz dwóch przedsiębiorców, którym minister Wawrzyk miał za drobne kwoty obiecywać przyspieszanie procedur wizowych.

Wawrzyk trafił do szpitala, a w mediach ujawniono jego „list pożegnalny”. Miał pisać, że „nie jest łapówkarzem i że nie chce żyć z piętrem łapówkarza”. Śledczy sprawdzają, czy ktoś nakłaniał byłego już wiceministra spraw zagranicznych do targnięcia się na życie.

Rzekome łapownictwo ministra nie może przesłonić poważniejszej kwestii. Sednem problemu jest bowiem to, że MSZ nie tylko nie utrudniało paramafijnych praktyk pośrednikom monopolizującym za opłatą dostęp do polskich wiz pracowniczych. Przygotowywane przez Wawrzyka rozporządzenie wskazuje raczej, że próbowano rozszerzyć skalę procedury na kolejne kraje.

To m.in. ten właśnie projekt dokumentu spowodował falę oskarżeń o to, że PiS z jednej strony grzmi przeciwko imigracji z krajów muzułmańskich, a z drugiej ułatwia mieszkańcom takich państw dostęp do polskiego rynku.

CBA i prokuratura muszą teraz zbadać, czy działania urzędników MSZ, korelujące z interesami pośredników, wynikały z ich świadomej decyzji czy były jedynie konsekwencją wieloletniego lekceważenia problemu outsourcingu, który zainicjowany został jeszcze w czasach rządów PO.

ILU OBCOKRAJOWCÓW WPUSZCZONO?

Dziennikarze i politycy mówili w tej sprawie o kilkuset tysiącach imigrantów z Afryki i Azji. „Polski skrajnie prawicowy »antymigracyjny« rząd obwinia Europę o zmuszanie do przyjęcia migrantów. Ten sam rząd rozdawał zezwolenia na pracę w Azji i Afryce: w 2021 r. (przed wojną) więcej niż 790 tys., zostawiając w tyle resztę Unii Europejskiej, według donie-

Wbrew propagandzie opozycji w 2022 r. Polska przyznała 700 tys. różnego rodzaju wiz, z czego 549 tys. Ukraińcom i Białorusinom

sień dla zysku” – napisała w mediach społecznościowych Anne Applebaum, żona Radosława Sikorskiego.

Podobną nieprawdę podał Donald Tusk na konferencji 14 września. W konsekwencji te fałszywe dane powieliły m.in. media w Niemczech (zrobił to np. tabloid „Bild”).

Tymczasem w rzeczywistości w roku 2021 na 790 tys. wiz pobytowych – nie tylko pracowniczych, lecz także studenckich czy rodzinnych – 721 tys. przyznano Ukraińcom i Białorusinom.

Przy okazji afery wizowej kolportowano także narrację, że ze względów politycznych nie są udostępniane świeższe dane. Dziennikarze OKO.press podważyli prawdziwość tego przekazu. Opisali, że w roku 2022 Polska przyznała 700 tys. różnego rodzaju wiz, z czego 549 tys. przyznano Ukraińcom i Białorusinom.

„W śledztwie Wydziału Zamiejscowego Departamentu ds. Przestępczości Zorganizowanej i Korupcji Prokuratury Krajowej, dotyczącym nieprawidłowości przy wydawaniu wiz, chodzi dokładnie o 268 uwzględnionych wniosków o przyspieszenie wydania wizy” – poinformowała Prokuratura Krajowa. Jednocześnie zaapelowała o „niepowielanie nieprawdziwych informacji o skali tego procedury”.

Zatem prokuratorskie śledztwo obejmuje na razie kilkaset przypadków, być może wspartego korupcją, przyspieszania procedur wizowych. Ten wątek sprawy nie wyczerpuje całości problemu patologii związanych z polskim systemem wizowym. PiS, który przed kilkoma laty deklarował chęć ściągania do Polski pracowników tylko z krajów chrześcijańskich i z łatwo asymilującą się ludnością, tylko w latach 2022 i 2023 wydał blisko 100 tys. wiz pracowniczym osobom pochodzącym z krajów, w których dominującą religią jest islam.

RYSZARD GROMADZKI: Z jakim przesłaniem partia, której jest pan liderem, idzie do wyborów?

RAFAŁ PIECH: Głównym przesłaniem partii Polska Jest Jedna są słowa: „Prawda was wyzwoli”, czyli chcemy obnażyć wszystkie kłamstwa, o których od 30 lat nie mówi się w mediach głównego nurtu. Pomija się w nich najważniejsze, strategiczne sprawy dotyczące wielu obszarów naszego życia czy gospodarki. Żyjemy w rzeczywistości kłamstwa i manipulacji.

Taka diagnoza rzeczywistości jest typowa dla partii i ruchów antysystemowych. Czy Polska Jest Jedna sytuuje się wśród nich?

Tak to widzę. Ludzie czekali od dekad na prawdziwą prawicę, partię, która nie wstydzi się odwoływać do największych wartości, takich jak Bóg, rodzina i ojczyzna.

Czyli prawicę wolną od koniunkturalizmu i schlabiania wyborcom, która broni życia na serio...

Bezwzględnie. Obronę życia od poczęcia do naturalnej śmierci. Nie kalkulujemy, że to niepopularne w kampanii, więc o tym nie mówmy. Albo bronimy najwyższych wartości, albo nie wchodzimy w ogóle w politykę. Jeżeli chcemy stawać przed ludźmi w prawdzie, to nie możemy chować głów w piasek.

Taka bezkompromisowość nie jest standardem w polityce. Wręcz przeciwnie. Na czym pan ją opiera?

Wartości, o których mówię – Bóg, rodzina i ojczyzna – kształtowały mnie od dzieciństwa. Wdrożyłem je do praktyki rządzenia miastem, którego jestem prezydentem od 2014 r., czyli Siemianowic Śląskich. Od tego zacząłem. Nie chodzi tu o żadne skrajności czy religijny fanatyzm. Raczej o zdrowy środek. To moje przekonanie, które noszę w sercu. Nikomu nie narzucam wiary. Pan Bóg dał nam wolną wolę, więc szanuję wolną wolę każdego człowieka. Ale pamiętajmy, że żyjemy w państwie, którego chrzest miał miejsce ponad tysiąc lat temu. Chrześcijaństwo ukształtowało nasz naród. Każdy władca czy król rozpoczynał swoje panowanie od zawierzenia Bogu swojej misji, swojego królowania.

Powtarzam – nikomu nie chcę niczego narzucać, ale wiem jedno – zawierzyłem Siemianowice Śląskie Bogu przez ręce Matki Najświętszej i widziałem błogosławieństwo, cuda na przestrzeni tych wszystkich lat. Przebudowaliśmy miasto, tak że mieszkańcy byli zdumieni. W ciągu



Z Rafałem Piechem, liderem partii Polska Jest Jedna, kandydatem w wyborach do Sejmu RP, prezydentem Siemianowic Śląskich rozmawia Ryszard Gromadzki

Stawiamy na Boży porządek



FOT. NIKOLAJ KURKOWICZ/REPORTER

czterech lat udało się przeprowadzić 400 różnych inwestycji, a na początku nie było w miejskiej kasie nawet miliona, żeby podjąć jakąkolwiek inwestycję. To dowód na to, że maksyma „ora et labora” – módl się i pracuj – działa. To doświadczenie chciałbym teraz przełożyć ze swojego miasta na cały kraj.

W większości mediów z takim programem raczej się pan nie przebiję. A jak reagują na niego zwykli ludzie, wyborcy w trakcie spotkań, które ma pan w całej Polsce?

Jestem pozytywnie zaskoczony ich reakcją. Wcześniej na nasze spotkania przychodziło po kilkadziesiąt, góra 100 osób. Teraz po 300 i więcej. To nie są nasi działacze, tylko ludzie, którzy odpowiadają na zaproszenie. Spotkania są otwarte, niekontrolowane. Nie ustawiamy, kto i na jakie pytania ma odpowiadać. Jest pełna swoboda. Nie działamy tak jak PiS i nie zwozimy ludzi autokarami. Na nasze spotkania przychodzą ludzie, którym odpowiada nasz program, a przynajmniej z nim sympatyzują, mają ten sam system wartości. Oczywiście ludzie

utożsamiający się z lewicą, kiedy słyszą o naszych spotkaniach, dostają dreszczy, bo dla nich to całkowicie nie do zaakceptowania.

Trafiają się prowokatorzy?

Na szczęście rzadko. Chcemy wprowadzić nową jakość polityki. To, co dziś się dzieje na naszej scenie politycznej, sięgnęło dna. Chcemy przywrócić szacunek w polskiej polityce. Tak często mówimy o tolerancji, a w rzeczywistości, zwłaszcza politycznej, nie ma jej w ogóle. Mam w urzędzie miasta współpracowników, którzy deklarują się jako ateści. Ci ludzie mówią do mnie często: „Rafał, ty jesteś katolikiem, ale ja cię szanuję, bo dyskutujemy na argumenty”. Odpowiadam wtedy: „A ja szanuję ciebie za to, że masz takie, a nie inne zdanie”. Szanujemy się, pracujemy razem. W tym wszystkim chodzi o to, żeby nie skakać sobie do gardeł. Nikt tak nie podzielił Polski, jak obecny rząd. Matki kłóć się z córkami, ojcowie z synami, brat z bratem. Trzeba z tym skończyć. Potrzebujemy jak tlenu w naszym życiu publicznym wzajemnego szacunku i jedności.

Z tego, co pan mówi, wynika, że wasz ruch w jakimś stopniu zaistniał w świadomości społecznej, ale w badaniach opinii – w przedwyborczych sondażach – tego nie widać.

Jesteśmy dziś największym zagrożeniem dla systemu i tego rządu. Praktycznie dla całej klasy politycznej i mediów, które w zdecydowanej większości śpiewają w tym samym chórze. Informacje, które przekazujemy Polakom, choćby te dotyczące górnictwa, wywołują u ludzi szok. Demaskujemy to, co zrobiono z górnictwem w Polsce. Niemcy – lider Unii Europejskiej – które dysponują w porównaniu z Polską niewielkimi złożami, od 30 lat z roku na rok zwiększają wydobycie węgla, budują nowe kopalnie, chwalą się tym. A my, mając 85 proc. europejskich złóż węgla, będąc „szejkami węgla”, wytwarzając w 80 proc. prąd oparty na węglu, zabijamy nasze górnictwo. To jest zdrada stanu. To jedna rzecz. Druga dotyczy polskiej przedsiębiorczości. Obnażamy, jak się ją w sposób systemowy niszczy wskutek takich działań jak niesławny Nowy Ład. W ubiegłym roku upadło w Polsce pół miliona działalności gospodarczych, w tym roku już 300 tys.

Czy pan wie, że Polska jest obok jednego z krajów Afryki jednym z dwóch państw

na świecie o najwyższym poziomie wpływu gotówki z zysków? Stworzyliśmy warunki prawne, które masowo ściągają kapitał zagraniczny do Polski, który jest tu inwestowany, a zyski są w całości transferowane za granicę. Te podmioty nie płacą podatków, korzystają z różnych zwolnień, co 10 lat mogą zmieniać nazwy. Polskie firmy i sieci handlowe nie mają szans skutecznie konkurować z tak uprzywilejowaną grupą. Zostaliśmy gospodarczo całkowicie rozegrani. Ludzie tego nie wiedzą. Wielu Polakom wydaje się, że żyją w krainie płynącej mlekiem i miodem.

Rejestr tego szkodnictwa jest dużo szerszy. Weźmy polskie rolnictwo, które ma warunki do tego, żeby należeć do czołowych producentów żywności – nie tylko w Europie. Tymczasem kolejne rządy, a obecny w szczególności, rozkładają je na łopatki. Ogromną liczbę regulacji, która wiąże rolników ręce, zrzuca się na Unię. To kłamstwo, bo w Niemczech rolnicy mają pełną swobodę działania, a nam się wmawia, że za tą zabójczą dla polskiej wsi polityką stoi UE.

Pańskie larum nie może mocniej wybrzmieć wobec kordonu medialnego, którym objęta jest pańska partia.

Musimy obudzić nasze społeczeństwo. Na niedawnych prawyborach w Wieruszowie uzyskaliśmy prawie 4 proc. głosów, choć w mediach nie mówi się o nas nic. Gdybyśmy mieli taką rozpoznawalność jak Konfederacja czy Lewica, nasz wynik z pewnością byłby zdecydowanie wyższy. Z badań, którymi dysponuję, wynika, że nasz potencjalny elektorat można szacować między 9 a 13 proc.

A realistycznie na jaki wynik w wyborach pan liczy?

Nie walczymy o przekroczenie progu wyborczego. Walczymy o 9–11 proc. głosów. To realny cel. Wielu się po tych wyborach zdziwi.

Rozumiem, że projekt Polska jest jedna obliczony jest na dłuższą perspektywę niż pospolite ruszenie skrzyknięte na wybory?

Daję ludziom słowo podczas spotkań, że jeżeli będziemy mieli wpływ na bieg spraw, to w perspektywie niecałej dekady doprowadzimy do tego, iż Polska stanie się niezależna, w pełni suwerenna. W tym czasie jesteśmy w stanie odbudować polskie

górnictwo i inne gałęzie naszej gospodarki, które kolejne rządy wyłączały.

Dał się pan poznać w czasie covidowej paranoi jako obrońca wolności i zdrowego rozsądku. Nie sądzi pan, że w coraz większym stopniu doświadczamy pełzającej tyranii, która stopniowo kolonizuje kolejne obszary naszego życia i prywatności, zabierając nam wolność? Czy powstrzymanie tego już wkrótce nie stanie się największym wyzwaniem dla społeczeństw i ich prawdziwych liderów?

Wiele osób to odrzuca, kiedy mówię im, na jakim etapie historii żyjemy, że być może wkrótce będziemy mocno zniewoleni. Przykładem tych tendencji jest trwający proces wycofywania gotówki. W ciągu dwóch lat ma to objąć cały świat. Nastanie waluta cyfrowa, czyli pełna kontrola każdego z nas.

Kiedy tworzyliśmy Polska Jest Jedna, na początku nie chcieliśmy w ogóle wchodzić w politykę, tylko stać na straży wolności i zapisów konstytucyjnych, walczyć z segregacją sanitarną i wszelkimi przymusami w tym obszarze. Ale to Polacy skłonili nas do tego, żeby dla realizacji m.in. tych celów powołać organizację polityczną. Dlatego w tym kierunku idziemy.

Chcemy zawrócić ten nowy porządek świata ufundowany na kulturze śmierci, sianiu chaosu, niepokoju i zamętu. Zamienić go na Boży porządek, oparty na Dekalogu i prawdzie, pokoju, miłości, prawie do życia.

Wiele osób pyta mnie, czy jesteśmy partią tylko dla katolików. Odpowiadam, że jesteśmy otwarci na każdego człowieka. Na każdego, który stoi w prawdzie, który jest uczciwy, który jest patriotą, który chce walczyć o polskie prawa. Kiedy mówimy o Bożym porządku, mówimy o prawdziwej wolności, bo to Pan Bóg jest największym wolnościowcem. Jeżeli postawimy na Boży porządek, to oznacza pełną wolność. Nikt nie będzie nikogo do niczego zmuszał. Są prawa naturalne, których musimy przestrzegać, jak prawo do życia, prawo do powietrza, prawo do wody, prawo do surowców, w które polska ziemia jest tak zasobna. Musimy priorytetowo wprowadzić do konstytucji zapis, że nasze surowce są własnością narodu. Konieczny jest też zapis w konstytucji gwarantujący ludziom dostęp do gotówki. Mam nadzieję, że już 15 października przekonamy się, iż nasze hasła nie są Polakom obojętne.

Dzień dobry, San Kocoń. Kandyduję w Krakowie, w okręgu 13 z miejsca dziewiątego. Reprezentuję Ostrą Zielęń, jestem aktywistą LGBT i aktywistą ekologicznym – ta wypowiedź obiegła media w całym kraju. Nie dlatego, że program wyborczy Kocoń (lista KO) jest tak porywający, ale ze względu na niezrozumiałe neologizmy. Kocoń to nie tylko „aktywistyczne”, lecz także „rzecznicze prasowe Ostrej Zieleni” i „członkowie Zielonych”. W wywiadzie, którego „udzielił” (trzeba przyznać, że w temacie zaimków niekiedy ciężko się połapać) „Wysokim Obcasem”, mówi o sobie tak: „Skończyłem produkcję teatralną i organizację wydarzeń artystycznych, teraz studiuję marketing, a lada moment rozpoczynam teatrologię, w obu przypadkach to już studia magisterskie. Z racji zainteresowań, wykształcenia czy doświadczeń życiowych najbliższą mi do polityki oświatowej, kulturalnej i równościowej, samo jestem osobą LGBT+”. Co znamienne, dziennikarka prowadząca rozmowę bez wahania wchodzi w zaimkową grę i pyta: „O co chciałobyś walczyć w Sejmie w razie zostania osobą poselską?”. W odpowiedzi Kocoń wskazuje, że „chciałoby, by do podstawy programowej trafiła rzetelna edukacja klimatyczna, nauka o bioróżnorodności, o przyczynach i skutkach zmiany klimatycznej, o sposobach przeciwdziałaniu klimatycznej katastrofie. Marzę, by w szkole uczono edukacji obywatelskiej i rzetelnej edukacji seksualnej. Czas również zawalczyć o kulturę, bo środowisko artystyczne wystarczająco długo czeka na ustawę wprowadzającą zawód artysty”. Dodaje, że celem jest także sama obecność w Sejmie – „odpowiednie reprezentowanie niedoreprezentowanych, czyli właśnie osób ze środowiska LGBT+”.

„BYŁOM ZASKOCZONE”

Wśród postulatów Kocoń znaleźć można te tzw. równościowe, czyli możliwość zawierania „małżeństw jednopłciowych” oraz uproszczenie procesu uzgodnienia płci dla osób transpłciowych. Co ciekawe, „aktywistyczne” jest zaskoczone (lub to zaskoczenie udaje), że zaprezentowanie się opinii publicznej w ten konkretny sposób wywołało kontrowersje. „Muszę przyznać, że byłom zaskoczone, że kwestia moich zaimków wywołała aż takie zaskoczenie. Niektórzy mówili, że wystąpienie przed kamerami, przedstawienie



San Kocoń kandyduje z listy KO do Sejmu. Przedstawia się m.in. jako „członkowie” Zielonych FOT. OSTRA ZIELEŃ/FACEBOOK

Czego chcą „aktywistyczna”



Zuzanna Dąbrowska

„Aktywistyczne”, „rzecznicze”, „osoba poselska” – nowomowa spod znaku queer jest obecna w tej kampanii wyborczej znacznie silniej niż w poprzednich. Za ideologiczną grą słowem idą skrajne postulaty

się jako »rzecznicze« i »aktywistyczne« było z mojej strony zaplanowaną strategią, happeningiem, by przyciągnąć uwagę i zaistnieć, a to nieprawda. Mówię o sobie w sposób neutralny już od dwóch lat i po raz pierwszy wywołało to takie niezrozumienie, zostało wykorzystane przy okazji

kampanii wyborczej przeciwko mnie” – narzeka Kocoń. „Aktywistyczne” nie wzięło się znikąd. W grudniu osoba ta brała udział w kampanii „Gazety Wyborczej” pod hasłem „Czym są święta dla osób LGBTQ+?”. Promując swoją akcję, „GW” dodała San Kocoń jeszcze kilka określeń: „osoba

aromantyczna, biseksualna, queerowa, studencka i aktywistyczna”. I wyjaśniała siebie: „Jako osoba niebinarna nie potrafię utożsamić się wyłącznie z męską czy żeńską płcią. Postrzegam siebie przede wszystkim jako osobę, jestem, powiedzmy, gdzieś pośrodku tego spektrum płci. Długo nie znałam na to nazwy, bo, tak jak mówiłam, nikt w szkole o tym nie uczył, ale tak naprawdę od okresu dojrzewania czułam, że nie do końca komfortowo mi z przynależnością do grupy kobiet. Nie podobało mi się to dzielenie na kobiety i mężczyzn, bo w żadnej z tych grup nie czułam się na miejscu, nie podobały mi się podziały na zabawy dla dziewczyn i chłopaków, kolory przypisane do tych płci, sposób ubierania się i ekspresji”.

„HISTORYCZNE” WYBORY DLA QUEER

„Czołńce” Zielonych to jedna z czterech osób „niebinarnych”, których obecność na listach partyjnych na jesienne wybory odnotowuje skrajnie lewacki portal Zaimki.pl. „Wybory parlamentarne z 2023 r. przejdą do historii polskiego queerowego społeczeństwa – po raz pierwszy na listach wyborczych pojawiły się wyoutowane osoby niebinarne [...]. Z większą widocznością osób niebinarnych i transpłciowych w przestrzeni publicznej niestety nieodłącznie wiążą się skierowane przeciwko nim enbyfobiczne i transfobiczne ataki – czego osoby kandydujące już teraz doświadczyły na własnej skórze. Jednocześnie nikt równie skutecznie co osoby niebinarne i transpłciowe nie będzie walczył o nasze prawa i potrzeby, więc potrzebujemy reprezentacji – tu i teraz” – przekonuje serwis prowadzony przez osoby „queerowe”. Podkreślono, że czworo kandydatów wywalczyło swoje miejsce „w queerowej historii Polski”.

Kolejnym z nich jest Jan Gierzyński (lista Nowej Lewicy, Piotrków Trybunalski), osoba „trans”, posługująca się zaimkami „on/jego” i „he/they” (ciekawe, że gdy pojawia się wersja angielska, nagle pojawia się też liczba mnoga).

„Rzeczywiście, na stronie PKW figuruję pod deadname’em i tak będę również widniał na karcie do głosowania. Kampanię prowadzę jednak pod swoim prawdziwym imieniem. W przekazie w mediach społecznościowych zaznaczam, że jestem obecnie w trakcie sądowego procesu

Irys Barda pisze o sobie „on/onu”, kandyduje z listy Nowej Lewicy i prowadzi zbiórkę na tranzyję

uzgadniania płci i w związku z tym w dokumentach wciąż mam nieużywane przede mną dane. Chcę jakoś normalizować tę, w gruncie rzeczy, nienormalną sytuację, która w sumie dobrze pokazuje trudności, z którymi mierzą się w codziennym życiu osoby transpłciowe. Nie chcę, aby moja tożsamość mnie ograniczała” – przekonuje w ankiecie stworzonej przez Zaimki.pl.

Gierzyński (partia Razem) w spisie Państwowej Komisji Wyborczej figuruje jako Joanna Gierzyńska. Zaznacza, że wśród politycznych priorytetów ma poprawę jakości komunikacji zbiorowej, a jako osobiste marzenie wymienia to, by „móc pojechać koleją np. z Bełchatowa do Tomaszowa”. Jako psycholog kładzie nacisk na kwestię zdrowia psychicznego dzieci i młodzieży. „Jestem obywatelem tego kraju, posiadającym pełnię praw wyborczych, i zamierzam z tego korzystać. Nie zamierzam i nie chcę w swojej kampanii podkreślać swojej tożsamości płciowej. Wynika to z mojego podejścia do własnej transpłciowości, którą traktuję jedynie jako jedną ze swoich cech i która nie determinuje tego, kim jestem jako osoba. Może wynika to ze stresu mniejszościowego, ale zdecydowanie nie chcę być »tokenowym« transem” – deklaruje.

Środowisko „trans” w tych wyborach reprezentuje też Irys Barda (lista Nowej Lewicy, Koszalin). Barda prowadzi w sieci zbiórkę na tzw. tranzyję, czyli zmianę płci. „Jestem Irys (on/onu), jestem na HRT od lutego i czuję się z tym znakomicie. Chciałbym w następstwie dysforii płciowej przejść mastektomię w ramach koszyka świadczeń zdrowotnych, lecz aby zrobić to zgodnie z polskim prawem, potrzebne mi jest oznaczenie »M« w dowodzie osobistym. Zrzutka jest założona na pokrycie kosztów wystawienia opinii seksuologicznej potrzebnej w sądowym procesie ustalenia płci – co pozwoli mi na ww. zabieg” – opisuje na portalu Zrzutka.pl.

Mastektomia oznacza operacyjne usunięcie piersi, co wielokrotnie wiąże się

z niezwykle uciążliwymi powikłaniami, a przede wszystkim jest krokiem nieodwracalnym. Wśród wpływających na zbiórkę widnieje m.in. Paulina Matysiak. Nie ma pewności, że to na pewno poseł Lewicy, jednak śledząc inne akcje, które wsparła właścicielka tego profilu, można tak zakładać z bardzo dużym prawdopodobieństwem. Irys przekonuje, że trzeba uzdrowić polską ochronę zdrowia. I przyznaje się do licznych trudności: „Jako osoba w trakcie hormonalnej terapii zastępczej, leczenia depresji oraz ze zdiagnozowanym ADHD jestem tylko jednym z wielu przypadków osób skazanych na prywatną ochronę zdrowia w celu swobodnego funkcjonowania”. Nie brzmi to jak najlepsza autoreklama w kontekście chęci objęcia funkcji zaufania publicznego.

CHCIAŁBY „CHCIAŁBYŚ”

„Jestem jedynym queerowym kandydatem na liście, o ile nie w okręgu. Jestem też wieloletnim aktywistą na rzecz osób LGBTQIA+. Stawia mnie to w wyjątkowej pozycji przez moje osobiste podejście do sprawy równości” – tak z kolei promuje się Miłosz Rabus (lista Nowej Lewicy, Katowice). Rabus zaimkami nie szokuje – „on/jego”. „Uważam, że kandydat taki jak ja jest potrzebny polskiej polityce, by ją odmłodzić i uczynić ją dostępną dla osób LGBTQ+ – to bardzo ważne, szczególnie w Polsce, która nie odrobiła jeszcze swojego zadania domowego z polityki antydyskryminacyjnej” – stwierdza kandydat w ankiecie dla zaimki.pl. Podobnie jak San Kocoń chce wprowadzenia ślubów dla par jedнопłciowych (jako kolejny krok wskazuje adopcję dzieci przez takie pary) oraz ułatwienia zmiany płci. „Medyczna korekta powinna być również w 100 proc. refundowana. Ponadto markery »X« powinny znaleźć się w dokumentach!” – stwierdza Rabus. Chodzi o coraz powszechniejszą formę z „x” – „chciałxbyś” i „przyszłxś” – stosowaną przez postępowców wobec osób, których płci nie znają (a nie chcą ich obrazić, „narrując” ją poprzez tradycyjne zaimki).

Dość zabawnie, choć niezamierzenie, zaimkowo-queerowy spektakl podsumowała inna kandydatka Nowej Lewicy, Dorota Olko. Prezentując się podczas briefingu prasowego, powiedziała: – Tak jak prawie połowa osób mieszkających w Warszawie jestem słoikiem. A właściwie słoiczka.

Onaszej kurczącej się populacji napisano już wiele. To, że Polacy coraz mniej zainteresowani są posiadaniem potomstwa, jest problemem dość dobrze rozpoznany. I choć nikt jeszcze nie znalazł narzędzi do jego rozwiązania, to jest on przynajmniej obecny w debacie publicznej.

Nieco inaczej sprawa ma się z kolejnym zjawiskiem związanym z dziećmi – z tym, że wielu Polakom obecność dzieci po prostu przeszkadza i zaczynają się na to oficjalnie skarżyć a nawet walczyć sądownie z placówkami zajmującymi się najmłodszymi. To jakoś nam do tej pory w Polsce umyka. A niesłusznie, bo skoro społeczeństwo coraz częściej obraca się przeciw najmłodszym, to oznacza, że rodzice przeżywają w związku z tym coraz większy dyskomfort. Na pewno nie zachęca to młodych ludzi do tego, by dzieci mieć.

BOISKA SPORTOWE DO LIKWIDACJI

Jedno z największych niebezpieczeństw dla dzieci i młodzieży? Ekrany. Całe dnie zapatrzone w smartfony i komputery (ma to potem wpływ na mniejszą zdolność do koncentracji na trudnych zadaniach), odcinają się od kontaktów w realnym świecie. Poradniki dla rodziców i rozmowy w mediach z psychologami dziecięcymi pełne są przestróg przed spędzaniem zbyt dużej liczby godzin z urządzeniami elektronicznymi. Ponadto pokolenia 40-, 50-, 60-latków z nostalgią – w kontrze do obecnych czasów – wspominają dzieciństwo, które spędzali głównie z rówieśnikami na świeżym powietrzu.

Tymczasem to właśnie te miejsca, które mogą wyciągać młodych ludzi z domów, okazują się takimi, które drażnią dorosłych. Problemem stają się nawet sportowe boiska.

W Jawiszowicach, w małopolskiej gminie Brzeszcze, zbudowano boisko piłkarskie. Kosztowało ponad milion złotych. Okazało się strzałem w dziesiątkę. Grać w piłkę zaczęła masa dzieci i młodzieży (a także seniorzy). W sumie w tygodniu odbywają się tam aż 34 treningi.

W maju gmina odebrała pismo z sądu. Nakazał zamykanie obiektu sportowego o godz. 19. Powód? W okolicy boiska

To nie jest kraj dla małych ludzi



Łukasz Zboralski

Mamy problem nie tylko z tym, że młodzi Polacy nie chcą mieć dzieci, lecz także z tym, że rodakom przeszkadza dzieci w przestrzeni publicznej. Dlaczego?



FOT. ADRIAN STOLCK

jest kilka domów i ich mieszkańcom nie odpowiada hałas. Przeszkadzają zarówno treningi, jak i to, że młodzież przychodzi tam pograć sama. – Młodzież zaczęła przychodzić szczególnie w wakacje i wiosną. Pograli może pół godzinki, a głównie to młodzież sobie tu po prostu przesiadywała, słuchała głośno muzyki, spożywała alkohol, krzyczała, piszczala – opowiadała Polsatowi mieszkanka Jawiszowic.

To niedjedyny taki przypadek w kraju. Jednemu mieszkańcowi Łodzi przeszkadzał hałas boiska sportowego i placu zabaw na osiedlu Złotno. Walczył z boiskiem od 2018 r. I do 2021 r. wydał na proces blisko 25 tys. zł. Najpierw doprowadził do tego, że sąd nakazał otwieranie placu zabaw wyłącznie w godz. 8–18 w dni powszednie, a w weekendy w godz. 9–15. Tak zabezpieczył „interes powoda” do wydania wyroku. Sprawa rozstrzygnięta się ostatecznie w Sądzie Apelacyjnym w Łodzi. W czerwcu Onet poinformował, że sąd nakazał samorządowi likwidację boiska i otoczenie placu zabaw ekranami akustycznymi. Gmina oszacowała, że taniej będzie przenieść plac zabaw w inne miejsce.

Ostatnia taka decyzja sądu zapadła w sierpniu tego roku. Dotyczy boiska sportowego na poznańskim osiedlu Strzeszyn. Samorząd wybudował obiekt zgodnie z planem zagospodarowania przestrzennego, który przewidywał w tym miejscu „teren sportu i rekreacji”. Boisko powstało tam jako projekt z budżetu obywatelskiego, który zyskał poparcie 3 tys. osób. Jednak właściciele położonej obok nieruchomości uznali, że nie mogą znieść odgłosów dobiegających z obiektu. Poszli w tej sprawie do sądu. Ten – jak opisał „Głos Wielkopolski” – zdecydował, że ze względu na „przekroczone dopuszczalne poziomy hałasu” boisko ma zostać zlikwidowane. Uzasadnienia wyroku jeszcze nie opublikowano, ale radni osiedla poprosili prezydenta miasta, by odwołał się od tego orzeczenia.

„WRZĄSKI DZIATWY” ZE ŻŁOBKÓW I Z PRZEDSZKOLI

Nie tylko boiska sportowe, na których spotyka się młodzież, przeszkadzają dziś dorosłym. Nie chcą też w swoim sąsiedztwie przedszkoli czy żłobków.

Jednym z najgłośniejszych takich konfliktów była sprawa niepublicznego przedszkola Nutka w Nowej Iwicznej pod Warszawą. Dwie rodziny sąsiadujące z obiektem nie chciały się zgodzić na uruchomienie w budynku placówki dla dzieci.

Właściciel przedszkola musiał przejść w tej sprawie wiele postępowań administracyjnych i sądowych (zapadło ponad 40 wyroków). Wszystkie wygrał, bo okazywało się, że miał prawo do takiej działalności w tym miejscu. Jeden z ostatnich procesów – ciągnący się 13 lat – zakończył się dopiero cztery lata temu. Wyrok dotyczył trzech spraw zgłoszonych przez sąsiada przedszkola, w których jego zdaniem naruszono przepisy: zbiornika odpływowego na wody deszczowe, parkingu przed przedszkolem z kostki brukowej i pozwolenia na użytkowanie budynku. Naczelny Sąd Administracyjny w żadnej z tych kwestii

Mieszkaniec Łodzi na walkę z boiskiem i placem zabaw w sądach wydał 25 tys. zł. Boisko zamknęto

nie dopatrzył się uchybień, a przez przedszkole przez blisko 20 lat przewinęło się kilka pokoleń najmłodszych mieszkańców wsi.

Przykładów zwalczania placówek dla dzieci jest dużo więcej. Zwłaszcza że polskie prawo, dopuszczając tworzenie takich przybytków w mieszkaniach w blokach czy w kamienicach, niejako prowokuje konflikty (z drugiej strony – samorządy tak źle planują przestrzeń, wyprzedając grunty deweloperom, że na oddzielne obiekty czasem nie ma szans, a przecież gdzieś żłobki i przedszkola powstać muszą).

Jednym z najbardziej wstrząsających przykładów zwalczania przybytku dla dzieci była ubiegłoroczna sprawa punktu przedszkolnego umiejscowionego w jednym z bloków na wrocławskim osiedlu Kowale. Rodzice uczęszczających tam dzieci poskarżyli się w liście – upublicznionym na Facebooku – że ich maluchy są przez sąsiadów wyzywane, namawia-

ne do powtarzania brzydkich wyrazów. „Były również oblewane wodą z węża ogrodowego. Takie agresywne zachowanie w stosunku do dzieci (najmłodsze przedszkolaki mają tylko 2,5 roku) jest niedopuszczalne i karygodne, a dla naszych rodzin dodatkowo bardzo bolesne” – czytamy w liście. Według rodziców dialog z sąsiadami, którym przedszkole się w tym miejscu nie podoba, nie jest możliwy, a dzieci zostały tak zastraszone, że zaczynają się bać tego miejsca. Władze przedszkola informowały, że wynajęły kancelarię prawną, która ma bronić interesów placówki i dzieci.

We Wrocławiu mieszkańcy walczą też o likwidację publicznego przedszkola na Gądownie Małym. Trzydzieści siedem lat temu jedno z podwyższonych mieszkań zostało tam zaadoptowane na placówkę dla dzieci. Według preza zarządu spółdzielni mieszkaniowej Piast – cytowanego przez „Gazetę Wyborczą” – miało to być rozwiązanie tymczasowe, do momentu zbudowania placówek na osiedlu. A zostało tak na blisko pół wieku. Dlatego spółdzielnia zamierza wypowiedzieć przedszkolu umowę najmu.

Bitwę z jeszcze młodszymi dziećmi – bo ze żłobka – toczą z kolei mieszkańcy bloku na osiedlu w centrum Warszawy. Większość z nich – jak ujawniła „Gazeta Wyborcza” – to ludzie wolnych zawodów, freelancerzy, kreatywni. Większość stanowią single, czyli jak dawniej mówiono – osoby samotne.

Jednym z niezadowolonych z hałasów dobiegających ze żłobka jest znany muzyk metalowy Adam „Nergal” Darski. „Dzisiaj ZNOWU obudziły mnie wrzaski dziatwy. W załączniku zdjęcie siatki pełnej pampersów pełnych... gówna. Wszedłem na klatkę i na dzień dobry uderzyła mnie fala smrodu. Sąsiedzi, czy mamy zgodę na takie praktyki?” – pisał dwa lata temu o żłobku.

Darski wraz z sąsiadami wygrali z dziećmi – jest ich tam 16 – pierwszą bitwą. Wspólnota zagłosowała za likwidacją ogrodzenia tuż przed lokalem żłobka, które tworzy dla dzieci zamknięty plac zabaw. Ogrodzenie już zniknęło. Żłobek jednak wciąż działa w lokalu i jego właściciele w sprawie ogrodzenia zamierzają powalczyć w sądzie.



Jerzy Miziołek

Czesław Miłosz jest jednym z sześciu noblistów związanych z Uniwersytetem Warszawskim. W jego murach studiował prawo, a potem w czasie wojny był woźnym w Bibliotece (BUW). Jako wykładowca uniwersytetu w Berkeley napisał bezcenną „The History of Polish Literature”

Niewiele osób – poza polonistami – pamięta dziś, że wśród wielu wybitnych postaci kultury polskiej, które związane były z Uniwersytetem Warszawskim w czasie wojny, jest Czesław Miłosz. Przyszły noblista zetknął się z tą uczelnią już w roku akademickim 1932/1933, studiując na niej prawo; jego indeks przechowywany jest obecnie w Muzeum UW. Powrócił tu ponownie w zupełnie innej roli na początku wojny. W liście do rektora Piotra Węgłęńskiego z 17 lipca 2001 r. autor „Zniewolonego umysłu” pisał, przepraszając, że z powodów zdrowotnych nie może przyjąć zaproszenia, by wygłosić wykład w murach Uniwersytetu Warszawskiego: „[...] w latach II wojny światowej byłem zatrudniony przez Bibliotekę Uniwersytecką [BUW] jako woźny, dzięki czemu miałem dostęp do książek, ponieważ wtedy biblioteka była dla publiczności zamknięta”.

Jak wielu polskich intelektualistów Miłosz żył w ciężko doświadczanej przez okupanta stolicy, w jej samym sercu, aby na Uniwersytecie Warszawskim czytać i przygotowywać się do poetyckich lotów, które z czasem przyniosły mu laur noblisty. Opisał te lata wojennej nocy spędzone na ulicach bohaterskiego miasta i w BUW (do którego przewoził książki ze zbombardowanego w 1939 r. Instytutu Francuskiego) w „Rodzinnej Europie”. Takie m.in. odnajdujemy tam wspomnienia i przemyślenia: „Praca fizyczna, przeplatana chwilami lektury, nieźle mi służyła i prosperowałem na zakupach z kartofli i marchwi. Za to jedno: że zakończyła moją karierę biurokraty,



Miłosz w wojennej Warszawie

byłem wojnie wdzięczny. W zakamarkach magazynów żadna kontrola nie potrafiłaby wyszperać wydawnictw podziemnych wytłoczonych pomiędzy tomy, co było wygodne. Jeżdżąc z ładunkiem, wygrzewałem się na słońcu, rozciągnąwszy się na skrzyniach i czułem się wtopiony w fascynujące miasto-dżunglę, z jego falami popłochu i wybuchającą tu i ówdzie strzelaniną”.

DRAMAT „NAPISANY” PRZEZ WOJNĘ

Z „Rodzinnej Europy” dowiadujemy się nie tylko, czym się żywił i co robił jako woźny, lecz także, skąd dostawał zapomogi

i jak wykorzystał czas wojny na dokształcanie i poszukiwanie nowych perspektyw życiowych: „Stopniowo umacniało się państwo podziemne i jak wszyscy literaci dostawałem nieduże zasiłki z tajnych funduszy. Te pochodziły z wysokiego kursu dolara na czarnym rynku, a dolary przesyłano tajemniczymi drogami z Anglii [...]. Przełom, którym był dla mnie rok 1939, zmuszał mnie do rewizji wszystkich moich przyzwyczajzeń. Czas był cenny, nie użyć go jak należy, dryfować tylko jak przed wojną, równałoby się przekreśleniu najbardziej dla mnie ważnej powinności. Jeżeli uciekłem z państwa Stalina, to



Wypalony Pałac Kazimierzowski
w Warszawie FOT. ARCHIWUM UW

przecież po to, żeby móc samemu dojść do jakichś przemyśleń, zamiast podlegać narzuconemu z zewnątrz światopoglądowi. Tutaj wolność zupełna, właśnie dlatego, że intelektualnie nacjonal-socjalizm był zrem [...]. Książki w Bibliotece wyrobiły we mnie przekonanie, że mój polski, francuski, rosyjski nie wystarczają [...]. Zabrałem się do nauki angielskiego i kiedy mogłem już czytać, pomagając sobie słownikami, dalsze doskonalenie się szło szybko”.

O tym, jak głęboko przyszedł noblista przeżył dramat wojennej Warszawy, zaświadcza jego mało znany zapis losów świadka masowej egzekucji w ruinach Teatru Wielkiego 9 sierpnia 1944 r. Niemcy rozstrzelali tam, w miejscu po dawnej widowni i scenie, przeszło 350 osób. Miłosz przytacza opowieść jedyne go szczęśliwca – jakby identyfikując się z nim – ocalałego z tego zbiorowego mordu: „Stanąłem we framudze [drzwi] i przeżegnałem się. Niemiec się roześmiał. Był w okularach ochronnych, czarny od dymu. Krzyknął: »weiter!« Postąpiłem krok i wsparłem się łokciami we framugę. Poczułem lufę na plecach, która szła do karku. I wtedy skoczyłem w dół, na widownię. Nie wiem, dlaczego to zrobiłem. Nie myślałem nic. Spadłem na stos ciał, zerwałem się i zacząłem biec. Strzelali do mnie ze wszystkich

chyba karabinów i rozpylaczy. Natrafiłem na otwór i zeskokczyłem jeszcze raz – w jamę po dawnej scenie. Znow znalazłem się w ogniu i zdawało mi się, że jestem przeszyty kulami. To trwało sekundy. Znow jakiś otwór i byłem w ciemnym przejściu. Jak to się stało, że nie natrafiłem na nikogo, chociaż w gmachu roilo się od SS-ów – nie wiem. Wyskokczyłem na podwórza i na Trębacką. Tu zaczęli do mnie strzelać z pałacu Brühla. Skręciłem w Focha i próbowałem biec do powstańców, ale ulica była pod obstrzałem niemieckim, więc dopadłem bramy na Focha i podwórzami przedostałem się do domu przy Koziej 3. Tutaj panował spokój”.

Jerzy S. – tyle tylko wiemy od Miłosza o cudem uratowanym 19-letnim wówczas „aktorze”, który wystąpił w dramacie „napisanym” przez wojnę. Jak wyglądała scena tych tragicznych wydarzeń, a więc wnętrze zbombardowanego i spalonego już w 1939 r. Teatru Wielkiego, wiemy od aktora i reżysera, Edmunda Wiercińskiego. Oto fragment jego opisu: „Zeszedłem na widownię. Tutaj zniszczenie znacznie mniejsze. Ściany, łóże, balkony – ocalały. Ale na parterze nie ma ani jednego krzesła. Pusta spadzista podłoga. Na miejscu sufitu z płaskorzeźbami, kasetonami, malowidłami i olbrzymim żyrandolem prowizoryczny dach z surowych desek. Foyer z dekoracją ścienną Drabika bardzo zniszczone. Nie ocalała też palarnia na pierwszym piętrze. Kiedy otworzyłem drzwi wewnętrzne, prowadzące z bufetu przy palarni do Teatru Nowego, ujrzałem nagle pustkę pod nogami, a naokoło gołe, wypalone ściany. Sale Redutowe, scena, widownia i garderoby dawnej Reduty, a ostatnio Teatru Narodowego – wszystko to uległo pełnemu zniszczeniu. Cofnąłem się i po marmurowych schodach zeszedłem na dół. Szatnie nienaruszone (wraz z rzeźbami Lubelskiego). Ale już nad kasami teatralnymi sterczały tylko

odarte z tynku mury. Spojrzałem w górę. Na ośnieżonym szczycie ściany z surowych cegieł siedziała wrona, a nad nią widać było niebo mgliste i szare. Za każdym podmuchem wiatru sypały się ostre płatki śniegu i rozlegał się monotonny, zgrzytliwy brzęk kawałka zwisającej blachy. Pusto tu było i zimno”. Inny świadek tamtych okrutnych czasów – Bogdan Korzeniewski – nazwał ruiny Teatru Wielkiego „zakrzepłą grozą”.

BIBLIOTEKA MIŁOSZA

W takich oto okolicznościach i tak dramatycznej scenerii (dawna Biblioteka Uniwersytetu Warszawskiego, w której pracował Miłosz, znajduje się 400 m od Teatru Wielkiego) próbował przetrwać i doskonalić swój angielski przyszedł autor „Zniewolonego umysłu”. To doskonalenie osiągnęło tak wysoki poziom, że z czasem mógł zostać wykładowcą na uniwersytecie w Berkeley, będącym jedną z najlepszych uczelni wyższych w USA. Bezcennym owocem tych wykładów jest m.in. książka „The History of Polish Literature”, wydawana kilkakrotnie w USA i Wielkiej Brytanii od 1969 r. (od 1983 r. dostępna także po polsku), która odegrała ogromną rolę w upowszechnieniu na całym świecie wiedzy o literaturze polskiej. Miłosz pisze z wielkim znanstwem m.in. o recepcji antyku w literaturze polskiej, pomimo że ten wątek jest jednym z wielu podjętych na kartach jego obszernego dzieła. Wystarczy pobieżna lektura monumentalnego, dwutomowego słownika encyklopedii Jane Davidson Reid – „The Oxford Guide to Classical Mythology in the Arts, 1300–1990s” (Oxford 1993), by przekonać się, jak wielu polskich pisarzy, poetów i dramaturgów, a wśród nich m.in. Kazimierz Brandys, Zbigniew Herbert, Jan Jurkowski, Stanisław Przybyszewski, Juliusz Słowacki, Samuel Twardowski, Kazimierz Wierzyński, Stanisław Wyspiański, Emil Zegadłowicz, związanych zostało dzięki Miłoszowi na stałe z recepcją antyku grecko-rzymskiego w kontekście kultury ogólnoswiatowej.

Żałować należy, że ten wielki poeta, który poświęcił niezwykle dramatyczny w swym przekazie i jednocześnie piękny wiersz o ruinach katedry warszawskiej, niczego podobnego nie stworzył o Uniwersytecie i jego bibliotece; musi nam wystarczyć krótka opowieść zawarta na kartach „Rodzinnej Europy”. © Wszelkie prawa zastrzeżone

O tym, jak głęboko Miłosz przeżył dramat wojennej Warszawy, zaświadcza jego zapis losów świadka masowej egzekucji w ruinach Teatru Wielkiego



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGŁADANIE NA ŻĄDANIE

Jak zostałem gangsterem



★★★★★
REŻ. MACIEJ BOCHNIAK,
„FREESTYLE”
POLSKA 2023

wyst. Maciej Musiałowski,
 Michał Sikorski,
 Nel Kaczmarek

Freestyle” zakwalifikowano do konkursu gdyńskiego festiwalu polskich filmów fabularnych. Dlaczego? Chcę wierzyć, że z sympatii do Macieja Musiałowskiego, jednego z nielicznych polskich aktorów, który potrafi sprawić, że wierzymy mu, nawet gdy gra mało wiarygodną postać („Sala samobójców. Hejter”, „Kryptonim Polska”). To jego talent utrzymuje na powierzchni opowieść o Diego, krakowskim początkującym raperze, który marzy, by dokończyć nagranie płyty. Wszystko się przeciw niemu spryszyło, łącznie z kumplem od klejenia bitów, który buchnął mikrofon ze studia, żeby kasę wydać na dragi.

Uruchamia to ciąg zdarzeń, które wciągać będą Diego w kolejne kręgi piekła. Diego imponuje pomysłami wydostania się z tarapatów, tyle tylko, że każdy kolejny pakuje go

w coraz większe kłopoty. Słowacka mafia, kumpel, któremu przyprawił rogi, konkurencyjne grupy przestępcze, policja – wszyscy chcą dostać gagatka w swoje ręce. Diego tymczasem znajduje czas, by ze sceny wykrzyczeć swoje frustracje.

Tytuł sugeruje, że to opowieść o świecie polskiego hip-hopu, ale prawdziwego hip-hopu tu tyle, ile prawdziwego disco polo we wcześniejszym filmie Macieja Bochniaka „Disco polo”. Mamy do czynienia raczej z kryminałem zmieniającym się chwilami w pastisz kryminału, ze sprawną zabawą konwencją, a nie z próbą uchwycenia muzycznego fenomenu czy nakreślenia społecznego tła. Trochę szkoda, bo nawet kino zapatrzone w dokonania Guya Ritchiego czy Edwarda Wrighta może być niegłupie; tutaj blisko czegoś ciekawego jesteśmy, gdy Diego spotyka się z innym niż

zwykle rodzajem gangstera: nie z brutalnym troglodytą, ale gościem, który w loży stadionu snuje plany budowy sieci nocnych klubów.

To jednak za mało. Zostaje tempo, bo narracja toczy się gładko i szybko; zostaje Kraków filmowany, jakby był Los Angeles, docenić trzeba wspomnianego Musiałowskiego jako Diego oraz Michała Sikorskiego jako jego feralnego kumpla Mąkę. Zabawny jest Jakub Nosiadek w roli straszliwego słowackiego gangusa. I zostają puste kalorie, jak po lodowym deserze, bo to wszystko jednak jedynie sprawne kina klasy B. Powraca, jak co roku, pytanie: Czy Gdynia ma być przeglądem wszystkich odcieni polskiego kina czy pokazywać tylko crème de la crème? Wyprodukowany przez Netflix „Freestyle” kwalifikuje się tylko w pierwszym przypadku. ©



NOWE SERIALE: „WILK”

Sześcioczęściowa seria BBC to ekranizacja prozy cenionej brytyjskiej autorki kryminałów Mo Hayder (zmarła przedwcześnie w roku 2021). Megan Gallagher, znana z seriali „Obsesja” i „W dniu podejrzenia”, dokonała imponującej adaptacji opowieści o targanym traumami inspektorze

Jacku Cafferym. Ogląda się to jak „Luthera” pomieszanego z prozą Irvine’a Welsha i filmem „Human Traffic”. Nie na każdy gust, ale jedno jest pewne – to nie jest kryminał sztampowy. ©

• seria 1 „Wilk” („Wolf”),
 Wielka Brytania 2023

Piotr Gociek

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- sezon 1 „Codename: Annika”, Szwecja/Finlandia 2023
- sezon 1 „Nocne rozmowy” („Still Up”), USA 2023
- sezon 1 „Pokolenie V” („Gen V”), USA 2023

Uwierz w ducha

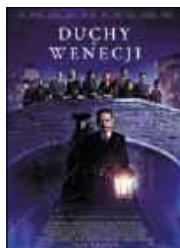
KINO

Do trzech razy sztuka. Po „Morderstwie w Orient Expressie” i „Śmierci na Nilu” Kenneth Branagh zaatakował widzów kolejnym retro-dreszczowcem. Ze skutkiem raczej mizernym, co cieszy nie tylko hejterów, lecz także Agathę Christie (gdziekolwiek się znajduje). Scenarzysta potraktował bowiem powieść „Wigilia Wszystkich Świętych” jak szwedzki stół. Wybrał z niej tylko najsmaczniejsze – jego zdaniem – kęsy, resztę dania komponując z produktów innego pochodzenia. Film jest z całej trylogii najbardziej staroświecki, lecz bliżej mu do twórczości Arthura Conana Doyle’a (znanego z umiłowania seansów spirytystycznych) czy Allana Edgara Poe’go niż królowej

kryminału. Przewidując, że publiczność może nie dopisać, akcję przeniesiono spod Londynu do miasta zombi, figurującego na każdej liście „miejsz, które MUSISZ odwiedzić przynajmniej raz w życiu”. Pomysł, by Poirot udał się na dobrowolne wygnanie do Wenecji (komputerowo

oczyszczonej z turystów, których już 100 lat temu było więcej niż powinno), zdaje się ciut kuriozalny. Któż jednak oprze się czarowi Serenissimi skąpanej w deszczu? W takim otoczeniu nawet wąsaty detektyw złagodził – choć trudno mu uwierzyć w legendę o nawiedzonym palazzo i „dziecięcej vendecie”. Amerykanie też nie uwierzyli: wolą oglądać sequel horroru o demonicznej zakonnicy. ©©

Wiesław Chelminiak



★★★★★
REŻ. KENNETH BRANAGH
„DUCHY
W WENECCJI”
USA 2023

wyst. Kenneth Branagh, Kelly Reilly, Jamie Dornan



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

OH, BOY...

skySHOWTIME



★★★★★
TWÓRCA: DONALD P. BELLISARIO
„ZAGUBIONY
W CZASIE”
(„QUANTUM
LEAP”)
USA 1989

wyst. Scott Bakula, Dean Stockwell, Dennis Wolfberg

Lepiej już było – twierdzą miłośnicy amerykańskich taśmiemców. Może więc, zamiast katować się feministyczną kontynuacją „Zagubionego w czasie”, wróćmy do korzeni? SkyShowtime udostępnił tylko dziewięć z 97 odcinków, lecz to wystarczy, by docenić zalety wyklinanego niegdyś przez krytykę postmodernizmu. W roku 1989 Donald P. Bellisario pod płaszczykiem SF kpił z hollywoodzkich szablonów, wysyłając w bój bohatera o zmiennej tożsamości. Sam Beckett raz jest wojskowym pilotem, raz bejsbolistą, bokserem, weterynarzem, przyszczałym nastolatkiem, mafijnym zabójcą, prywatnym detektywem, czarnoskórym szoferem albo wykładowcą w żeńskim college’u. We wszystkich wcieleniach próbuje czynić dobro. Sekunduje mu kolega mogący podróżować w czasie jedynie w formie hologramu. Dziś seksistowskie dowcipy są passé (bo mogą złać karierę), obsadą rządzi parytet rasowo-płciowy, rutyna zaś – wyobraźnią scenarzystów.

MAMMA ROMA

FILM CLASSIC



★★★★★
REŻ. ROBERTO ROSSELLINI
„RZYM – MIASTO
OTWARTE”
(„ROMA – CITTA
APERTA”)
WŁOCHY 1945

wyst. Aldo Fabrizi, Marcello Pagliero, Anna Magnani

Pięćdziesiąt lat temu Italia pogrążyła się w żalobie: zmarła Anna Magnani. Jej kariera zaczęła się od naiwnie szlachetnego filmu „Rzym – miasto otwarte”. Magnani zagrała zwykłą Włoszkę: ani młodą, ani piękną, lecz zaradną i z sercem gorącym bardziej niż Piazza del Popolo w środku lata. Opiewany przez krytyków (neo)realizm wymusiły okoliczności: w 1945 r. można było kręcić jedynie w naturalnych plenerach i w prawdziwych wnętrzach, z udziałem natury. Na ekranie walka z okupantem jednoczy wszystkich: od księży do komunistów. Kolaborują jednostki moralnie upadłe. Pod koniec wojny, którą Duce rozpętał razem z Hitlerem, Rzymianie mieli okazję poznać prawdziwe oblicze niemieckiego sojusznika. Jeśli wierzyć Rosselliniemu, to nie stracili jednak poczucia humoru. Będąc w potrzebie, konspiratorzy używają hasła: „Przysłał mnie człowiek w ciasnych butach”. ©©

Wiesław Chelminiak

GRA TYGODNIA: „CYBERPUNK 2077” (WERSJA 2.0)

Na recenzję dodatku „Widmo wolności” jeszcze tutaj przyjdzie czas, dziś o aktualizacji, którą dostają za darmo wszyscy właściciele podstawki. To doprawdy imponujące, ile energii wkładają Redzi w dopieszczanie tej gry, zamazując fatalne wrażenie

spowodowane jej stanem w dniu premiery. Łatka 2.0 wprowadza wiele nowości w tym (wreszcie) sensowny system działania policji, walki w trakcie jazdy czy głębokie zmiany w drzewku umiejętności. To już chyba czas, by postawić przy „Cyberpunku 2077”



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

sześć gwiazdek. Nie było lepszego momentu, by wjechać do Night City. ©©

Radosław Wojtas

• Gatunek: FPS/RPG
• Platforma: XSX, PS5, PC
• Producent, dystrybutor: CD Projekt RED, Cenega S.A.

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Największe **zło**

Za „Ciszę w Pogranie” Marcin Pilis otrzymał w zeszłym roku Nagrodę im. Józefa Mackiewicza. Jego najnowsza powieść nawiązuje do wyróżnionej książki, w odniesieniach do ludobójstwa na Wołyniu, w istocie jednak opowiada o obecnej wojnie na Ukrainie. Tej, dziejącej się za naszą wschodnią granicą, a właściwie tu i teraz, bo to do Polski wraz z tysiącami uchodźców z Ukrainy przyjeżdża bohaterka „Granice wojny”, żeby upowszechnić materiał o wymordowaniu przez rosyjskich żołnierzy jej rodziny. I o gwałcie, który przeżyła.

„Wkraczali w chwałę. Czuć to było, widać było po ich twarzach. Szli – jak to wojskowi w obcym kraju – z poczuciem nieograniczonej władzy w rękach, które trzymały broń, rozdawczyńie łask. Czy wkraczających przypominały złodowaciele wzrok antycznych bogów, ale potem okazywało się, że był to tylko wzrok współczesnych pijaków”.

Wmówiono im, że Ukraina znalazła się w rękach faszystów, że rządzą w niej naziści. Rzeczywistość weryfikowała te słowa: „Już na terenie Ukrainy stwierdził, że nie potrafi odróżnić prawdziwego nazisty od zwykłego mieszkańca; nawet w prostym chłopie mógł tkwić podstępny wróg Rosji i dobrego społecznego ładu. Bywał w dużych ośrodkach miejskich, w miasteczkach, wsiach biednych i bogatych – i nigdy nie miał pełnej pewności, z kim ma do czynienia. Rozmawiał z młodymi, z uczniami, ze starymi kobietami, które uciekły ze swoich mieszkań na wysokich piętrach, z jeńcami, z pojmanymi przedstawicielami władz i ostatecznie musiał przyznać przed sobą samym, że rozpoznanie nazisty jest zadaniem karkołom-

nym”. Zresztą, co to jest ten nazizm? Ten sam rosyjski żołdat spytany o to przez dziewczynę radzi: „Pomyśl, że nazizm to największe zło, jakie możesz sobie wyobrazić, i o nic więcej nie pytaj. I zaraz się uspokoisz, poczujesz, że tak naprawdę, w sobie samej wiesz już, co to jest nazizm”. No tak, skądś to znamy.

Autor wprowadza do swej powieści wątek Putina, skądinąd najbardziej chyba dyskusyjny. Psychologia zbrodniarza jest z pewnością interesującym zagadnieniem, ale dla specjalistów. Większość czytelników podziela pewnie zdanie poety, że najlepszym dla niego „byłby świt zimowy. I sznur, i gałąź pod ciężarem zgięta”. Tyle w temacie Putina, choć wielu Rosjan mówi, że to „jego wojna, że tylko on jest winny, on odpowiada za wszystko. Bardzo to wygodne tłumaczenie. Ale już po parunastu dniach było widać, że to nieprawda. Z dnia na dzień rosło poparcie dla satrapy, sondaże były jak czyste złoto. Wielomilionowa warstwa aparatu to przecież nie sam Putin. Stały za tym zebrane, skumulowane wielkomocarstwowe ambicje rosyjskiego społeczeństwa, myślenie w kategoriach XIX-wiecznych, wedle których bardziej od losu ludzi liczą się abstrakcyjne wyobrażenia o wielkości, mocarstwie. Co za brednie! A za tym jeszcze to rozkoszne poczucie dumy, że jest się członkiem państwa wielkiego, a nie jakiejś Szwajcarii na przykład czy innej Austrii. To po prostu czysty, mocny nacjonalizm z poczuciem wyższości wobec mniejszych narodów, tych Małorusów, Białorusów czy Polaków”.

My, Polacy, mamy swoje z Ukraincami porachunki, całą traumę Wołynia powracającą we wspomnieniach staruszki mieszkającej na ukraińskiej wsi. To było, zdawałoby

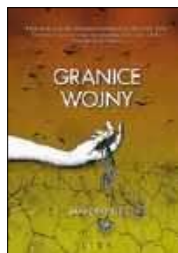
się, tak dawno, 80 lat temu. Może więc uzasadniona jest tłąca się nadzieja, że teraz, w obliczu nowej wojny, „między Polakami a Ukraincami zaistniało coś o wymiarze ponadludzkim, rozlało się to pośród całych grup społecznych, niektórym zamknęło usta, u innych podniosło agresję, ale bez wątpienia nadszedł ważny dziejowy moment, wyjątkowa szansa. Granica, która dzieliła, stała się granicą, która łączy [...]”.

Tak też myślę, choć do końca nie wiem, nie mogę wiedzieć, czy to doświadczenie nas połączyło, a jeśli nawet, to co z tego wynika. To, co dzieje się obecnie, kiedyś będzie taką samą przeszłością, jaką dziś jest rzeź”.

Sasha Marczenko upubliczniła swój wstrząsający materiał. Szybko został zakwestionowany, pewne społeczności internetowe podważyły realność dziewczyny; „w ich mniemaniu nawet oryginalne nagranie było deepfakiem stworzonym przez ukraińskie służby, a sama rodzina nigdy nie istniała”. „Dziś w naszym świecie nikt nie wierzy w nic. A wygenerowana treść nie ma wartości. Każdy może z nią zrobić, co tylko chce”.

Tylko Sasha nie mogła już żyć dalej ze świadomością tego, co się stało, z obrazem zabijanych przez Rosjan jej rodziców, babci i brata, z gwałtem dokonany na niej. Choć po tym wszystkim, co przeszła, skłonna była stwierdzić: „Człowiek jest zły, człowiek, a nie narody, nie taki czy inny naród”.

Wojna na Ukrainie trwa, tyle że jesteśmy nią zmęczeni, „obrazki z Irpienia czy Mariupola już się opatrzyły”. Bardzo nam zależy, by ta wojna jak najszybciej się skończyła. A wtedy pewnie wybuchnie następna. Jak to śpiewał Okudżawa? „Wy słyszyte, grochoczut sapagi...”. ©



★★★★★

MARCIN PILIS
„GRANICE
WOJNY”
LIRA,
WARSZAWA 2023



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Zjeść po królewsku

Nie ma rzeczy ważniejszej od jedzenia, chyba że dobry napitek – wszak wielcy tego świata też błędzą fatalnie, gdy głodni. Całkiem jak my, małuczy. Jakże więc nie miałbym powitać z radością „Sztuki kulinarnej w średniowieczu”, zwłaszcza że wraca w ramach jednej z moich ulubionych serii, jaką jest reaktywowana po latach „Nowa Marianna”.

Mowa o czasach, gdy „sztuka kulinarna wysubtelniała, podobnie jak zbroje czy wystrój szlacheckich domów” – pisze we wstępie Georges Duby, ten od „Czasów katedr”, znaczy wybitny francuski mediewista. Oczywiście mowa o potrawach jadanych przez najbogatszych, ale cóż to szkodzi. Gdy współcześnie wskrzeszono muzykę barokową, nikt się nie zastanawiał, czy na to zasługuje ze względu na to, że nie rozbrzmiewała w lepiankach. Autorów książki – są nimi Odile Redon, Francoise Sabban i Silvano Serventi – reklamuje Duby jako naukowców, znakomitych historyków, a zarazem wykwiintnych smakoszy.

Rzecz jest obszernym wyborem (150 przepisów z Francji i Włoch) z traktatów kulinarnych popularnych w owym czasie wśród arystokracji, ale autorzy sięgają i po przepisy, które znaleźli w kolekcjach

dokumentów prywatnych. Dziwna i piękna to podróż, do czasów, w których nie znano jeszcze w Europie pomidora, ziemniaka, papryki, kawy; zaskakuje czytelnika mnogość sposobów wykorzystania mąki i mleka. O nadmiernej skłonności do egzotycznych przypraw wiemy, od dawna wspominają o tym i zawodowcy, i amatorzy, odtwarzający wygląd stołów czy to francuskich władców, czy to naszych Sarmatów. Ale kiedy trzeba, w cenie jest prostota. Stek powinien składać się z antrykotu i z pieprzu, koniec, kropka!

Byłaby to książka znakomita jako kolejna lektura o epoce, która pasjonuje tak wielu. Ale jest jeszcze lepiej! Troje autorów nie poprzestaje na starannej selekcji i przekładzie wybranych przepisów oraz na dodatkowych informacjach (dlaczego, kto, od kiedy, po co). Każdy przepis ma także swoją drugą część, z której dowiadujemy się, jak daną potrawę przygotować współcześnie, w naszych kuchniach, pozbawionych co prawda worków szafranu i kuchcików. A że autorzy piszą z własnego doświadczenia, bo owe potrawy sami przygotowywali i z doborem składników eksperymentowali, łatwo zrozumiemy, dlaczego pisanie tej książki zajęło wiele lat. ©



★★★★★
AUTORZY RÓŻNI
„SZTUKA KULINARNA W ŚREDNIOWIECZU”
OFICyna WYDAWNICZA VOLUMEN 2023

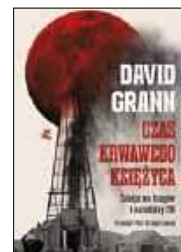
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Pierwsza drukowana (rok 1519) kronika dziejów Polski. Napisana po łacinie, teraz ukazuje się w pełnej wersji w polskim przekładzie ks. Michała K. Cichonia, ze wstępem ks. prof. Janusza Królikowskiego.



MACIEJ MIECHOWITA
„KRONIKA POLAKÓW”
BIAŁY KRUK

Głośny reportaż, który stał się podstawą filmu Martina Scorsese „Killers of the Flower Moon” z Leonardo DiCaprio. Lata 20. XX w., tajemnicze zgony Indian Osage i walka o złoża ropy naftowej.



DAVID GRANN
„CZAS KRWAWEJ KSIĘŻYCY”
W.A.B.

Biografia polityczna Marka Kuchcińskiego, a w niej m.in. kilkadziesiąt zdjęć i obszerne kalendarium. Szczególnie godna uwagi jest część o podziemiu w PRL i pierwszej dekadzie III RP.



JAN DRAUS, DARIUSZ IWANECZKO
„Z PRZEMYSŁA DO WIELKIEJ POLITYKI”
INSTYTUT STUDIÓW WSCHODNICH

Alternatywny Kijów roku 1913, magiczne istoty żyjące obok ludzi szykują się do buntu. Kto zdradzą, a kto chce pokoju? Śledztwo prowadzi nietypowy – to znaczy martwy – detektyw. Barwny kryminał skrzyżowany z fantasy.



SVITLANA TARATORINA
„LAZARUS”
STALKER BOOKS

KOMIKS TYGODNIA:

„TYTUS, ROMEK I A'TOMEK JAKO RYCERZE...”

A dokładnie „Tytus, Romek i A'Tomek jako rycerze Bolesława Krzywoustego z wyobraźni Papcia Chmiela narysowani”. W ostatnich latach życia znakomity polski rysownik poświęcił się tworzeniu nietypowych albumów komiksowych, które zachowując humor serii, miały przede wszystkim funkcję edukacyjną, opowiadając o ważnych chwilach z historii; były to m.in. Powstanie Warszawskie, rok 1920, chrzest Polski czy bitwa pod Grunwaldem. Wznowienie albumu z roku 2014.

Piotr Gociek



HENRYK J. CHMIELEWSKI
„TYTUS, ROMEK I A'TOMEK JAKO RYCERZE BOLESŁAWA KRZYWOUSTEGO”
PRÓSZYŃSKI I S-KA 2023



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Rymkiewicz. Kilka szczegółów

Wystawa „Rymkiewicz. Encyklopedia”, sama w sobie będąca wydarzeniem szczególnym, chyba pierwszą tak obszerną prezentacją dorobku Jarosława Marka Rymkiewicza, jest w istocie dopiero preludium do tego, co ma nadejść 2 listopada – Festiwalu Rymkiewiczowskiego „Dziady, upiory, przodkowie”.

Ekspozycja jest opowieścią o strukturze encyklopedycznej; w 40 hasłach dotyka najważniejszych dla Rymkiewicza tematów, miejsc, osób („A” jak – nie mogło być inaczej! – Adam Mickiewicz). Jest opowieścią kilkupoziomową – o Mistrzu z Milanówka, o tym,

co ważne dla niego, wreszcie – poprzez wiersze, cytaty, nagrania – opowieścią samego Rymkiewicza. Osobną narrację tworzą przedmioty – odwieszona kratowana marynarka, okulary, rękopisy, długopis (zwykły żółty plastik, a nie przynajmniej Montblanc 149?!), maszyna do pisania na biurku, a przy nim krzesło, na którym jakby jeszcze przed chwilą ktoś zasiadał. Obok maszyny kartka z Rymkiewiczowskimi „Radami dla młodego pisarza”. Punkt ostatni: „Jesteś pisarzem, a więc jesteś umarły”. ©©

GDZIE? Muzeum Literatury
w Warszawie
KIEDY? do 12 listopada



FOT. MUZEUM LITERATURY W WARSZAWIE



FOT. MUZEUM OKRĘGOWE W TORUNIU

KOPERNIK, SYN RENESANSU

Będąca częścią międzynarodowego projektu i przygotowana na 550-lecie urodzin Mikołaja Kopernika wystawa „Misterium Słońca. Kopernik, syn Renesansu” skupia się na młodzieńczych latach przyszłego astronoma. Jaki wpływ na jego późniejsze dokonania miały jego podróże do Italii i studia na uniwersytetach Bolońskim i Padewskim? Jak kształtowała go kultura włoskiego renesansu? Próba pokazania ducha czasów, w których wykuwały się zrzeby teorii heliocentrycznej. ©©

GDZIE? Ratusz Staromiejski w Toruniu
KIEDY? do 12 listopada



GRZEGORZ
BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Ach, te kobiety!

Amerykanka Chrissie Hynde przeniosła się w 1973 r. w wieku 22 lat do Londynu. Pisała dla tygodnika „New Musical Express”, dorabiała w legendarnym butikach Sex Vivienne Westwood i Malcolma McLaren’a i kumpłowała się z Sex Pistolsami. W końcu założyła Pretenders. Wydany w 1980 r. pierwszy album grupy został uznany za jeden z najlepszych debiutów wszechczasów.

Czterdzieści trzy lata później Hynde odnowiła skład swojego zespołu i po wielu latach posuchy wydała solidny album rockowy. Piosenki rozciągają się od surowych rockandrollowych killerów („Vainglorious”, „Let the Sun Come in”) przez popowe klejnoty („A Love”) i folk-rockowy „Merry Widow” do

zabarwionej americaną „Just Let It Go”. Są też typowe dla Pretenders ballady. Można powiedzieć, że „Relentless” jest klasycznym albumem zespołu rozsmakowanego w nowofalowych brzmieniach, które dawno wyszły z mody. I może właśnie dlatego wysłuchałem go z przyjemnością, szczególnie że od pierwszego nagrania grupy jestem rozkochany w wokalu Chrissie. Mimo że płyta jest przewidywalna, to kończy ją zaskakujące nagranie „I Think about You Daily”. Jest to bolesna, sześciominutowa ballada fortepianowa, do której niebiańska aranżację smyczkową stworzył Jonny Greenwood z Radiohead. Chrissie Hynde szepcze w tym utworze: „Nigdy nie potrafiłam słuchać dobrych rad”. ©©



★★★★★
PRETENDERS
„RELENTLESS”
PARLOPHONE



★★★★★
OLIVIA RODRIGO
„GUTS”
Geffen

Jest najmłodszą wokalistką, której piosenka była numerem jeden w Ameryce. Na drugim albumie udowadnia, że z telewizyjnej laleczki wyrosła na pewną siebie artystkę i ma wiele do powiedzenia. „Chcę poznać jego mamę, żeby powiedzieć jej, że jej syn jest do bani”.



★★★★★
MITSKI
„THE LAND IS
INHOSPITABLE AND
SO ARE WE”
DEAD OCEANS

Mitski Miyawaki była głosem wyalienowanych i nieszczęśliwych. Przed rokiem nagrał synth-popową płytę. Teraz skręca w stronę quasi-country. Album nagrany z zespołem, orkiestrą i 17-osobowym chórem oczarowuje muzyczną wyobraźnię.

DODATEK SPECJALNY

WEJDŹ DO HISTORII!

Otwarcie Muzeum Historii Polski w Warszawie



Muzeum Historii Polski będzie w przyszłym roku obchodzić 18. urodziny. Tymczasem pierwsi goście odwiedzą was w nowej siedzibie dopiero w końcu września 2023 r. Dlaczego tyle na to czekaliśmy?

ROBERT KOSTRO, DYREKTOR MUZEUM

HISTORII POLSKI: Początkowo planowaliśmy wybudować gmach nad Trasą Łazienkowską, koło Zamku Ujazdowskiego. W 2009 r. w międzynarodowym konkursie wybraliśmy nawet projekt architektoniczny, ale ówczesny minister kultury Bogdan Zdrojewski wstrzymał jego realizację. Muzeum znalazło się w stanie zawieszenia – a w pewnym momencie przygotowałem „Białą Księgę”, szykując się do rezygnacji. Promyk nadziei zaświecił, kiedy pojawił się pomysł, by Muzeum umieścić na warszawskiej Cytdeli. Zasadnicze znaczenie miały dla nas decyzje wicepremiera Piotra Glińskiego o zapewnieniu finansowania inwestycji. W lutym 2016 r. podpisaliśmy umowę z pracownią architektoniczną WXCA, a jesienią zaakceptowaliśmy projekt budynku. W lipcu 2018 r. symbolicznie wbiliśmy pierwszą łopatę pod jej budowę. Nie obyło się bez problemów. Nasze prace przedłużyły pandemia COVID-19 i gospodarcze skutki rosyjskiej inwazji na Ukrainę. Na szczęście dzięki determinacji zespołu i silnemu wsparciu ministerstwa w najbliższych tygodniach nowy gmach MHP będzie mógł przyjąć pierwszych gości.

Sam gmach jest zresztą imponujący: sześć kondygnacji, powierzchnia kilku boisk piłkarskich.

Przedstawienie ponadtysiącletniej historii Polski wymaga przestrzeni. Nasza przyszła wystawa stała zajmie 7,3 tys. mkw.. Dla porównania: Niemieckie Muzeum Historyczne ma ok. 8 tys., a Muzeum II Wojny Światowej ok. 6 tys. mkw.. Nowy gmach inaugurujemy wystawą „Wielkie i małe historie. Tworzenie kolekcji Muzeum Historii Polski”, prezentowanej w liczącej 1,4 tys. mkw. sali ekspozycji czasowych. Do chwili otwarcia w 2026 r. wystawy stałej ta przestrzeń będzie sercem wystawienniczej działalności MHP.

Czy wystawa na otwarcie MHP zaprezentuje to, co najlepsze ze zbiorów Muzeum?

Ekspozycję tworzy ok. 500 z około 60 tys. obiektów z kolekcji MHP. Uni-

MHP: wejdź do historii!



Robert Kostro, dyrektor Muzeum Historii Polski

FOT. MHP/MARIUSZ BODNAR

katowe obrazy Bractwa św. Łukasza, detale architektoniczne pałacu Villa Regia wybudowanego przez Władysława IV wydobyte przez archeologów z Wisły czy kopie konserwatorskie aktu unii lubelskiej i konfederacji warszawskiej – to tylko niektóre z wyjątkowych obiektów prezentowanych na wystawie. Obok dzieł sztuki i rzemiosła, zabytków o kluczowym znaczeniu dla historii państwa i narodu jest miejsce dla przedmiotów pozornie zwyczajnych, które były świadkami poruszających losów ich właścicieli. Wystawa na otwarcie będzie swego rodzaju zapowiedzią wystawy stałej. Oczywiście będzie inaczej skonstruowana, ale te eksponaty – i jeszcze więcej! – znajdą się właśnie na przyszłej ekspozycji stałej naszego Muzeum. Będzie to przedsmak tego, co zobaczymy w bliskiej przyszłości.

Jednak współczesne Muzeum to nie tylko wystawy.

Naturalnie, to także szeroka działalność kulturalna i edukacyjna. W nowym gmachu mamy audytorium o niezwykłych walorach akustycznych oraz salę kinową, a także przestrzenie edukacyjne i konferencyjne. Będziemy miejscem przyjaznym rodzinie i zamierzamy rozwijać współpracę ze szkołami – tak w przestrzeniach budynku, jak na specjalnie zaprojektowanym Parku Edukacyjnym MHP. To przede wszystkim wielka szansa. Z pewnością trafi do nas wielu turystów z Polski i z zagranicy. Dzięki tej znakomitej infrastrukturze będziemy mogli barwniej i bardziej przekonująco opowiadać o dziejach naszego państwa i narodu.

Czym Muzeum Historii Polski będzie się różniło od podobnych instytucji w naszym kraju?

Muzea historii narodowej istnieją w wielu krajach świata, w tym w Niemczech, USA, Rosji, w Czechach i na Węgrzech. Takiego muzeum w naszym kraju po prostu dotąd nie było. Są w Polsce muzea narodowe, zajmujące się głównie sztuką, są muzea tematyczne: powstania warszawskiego, drugiej wojny światowej, historii Żydów polskich... Wiele tematów jednak nie stało się obiektem zainteresowania muzealników. Bywało tak, że ważne pamiątki historii naszego państwa i narodu nie znajdowały dla siebie do-



Siedziba Muzeum Historii Polski (elewacja od strony wschodniej)

FOT. MHP/RAFAŁ CHMIELEWSKI

brego miejsca – my jesteśmy instytucją, która stanie się dla nich domem.

Na przykład?

Na przykład tzw. polska Enigma, maszyna szyfrująca zbudowana przez polskich kryptologów, świadectwo ogromnego wkładu polskiego w zwycięstwo aliantów w drugiej wojnie światowej. Do niedawna znajdowała się w zbiorach Instytutu Piłsudskiego w Londynie, placówki niezwykle zasłużonej, lecz nieposiadającej większych możliwości ekspozycyjnych. Tymczasem na przyszłej wystawie stałej Muzeum Historii Polski taki obiekt będą mogły zobaczyć setki

tysięcy zwiedzających rocznie. Nieprzypadkowo zresztą również on znajdzie się na wystawie czasowej inaugurującej naszą działalność na warszawskiej Cytadeli.

Spodziewa się pan, że Muzeum zajmie wyjątkowe miejsce wśród muzeów historycznych w naszym kraju?

Żyjemy w kulturze obrazkowej, toteż muzea jako instytucje przechowujące i przedstawiające obiekty i ikonografię są dobrze dopasowane do współczesnej wrażliwości. Tym samym mamy szczególną misję, by zainteresować młodych ludzi historią. Sądzę, że stąd bierze się popularność muzeów historycznych. A czy zajmiemy wyjątkowe miejsce? Na pewno mamy szczególny potencjał, ponieważ jako jedyna placówka przedstawiamy pełny przekrój historii Polski.

Czy to muzeum dla przyszłych pokoleń?

Ambicja tworzenia takiego muzeum jak nasze bierze się z przekonania, że w każdym pokoleniu trzeba na nowo opowiedzieć historię i znaleźć nowe środki, które skutecznie dotrą do młodej generacji. Współczesne muzeum pozostaje wyjątkowo atrakcyjnym narzędziem opowiadania o historii. Równocześnie trzeba mieć świadomość, że kolejne pokolenia nie będą myślały idealnie tak samo jak my. Wybiorą pewne elementy tradycji, a inne odrzucą. Pokolenie moich córek w swoim czasie opowie historię Polski na swój własny sposób. Kiedyś opowiadał Gall Anonim, potem w jego ślady poszli historycy, pisarze, muzealnicy, filmowcy. W tym łańcuchu pokoleń jest miejsce i dla nas.



Elewacja siedziby Muzeum Historii Polski

FOT. MHP/MACIEJ CIOCH

Warszawska Cytadela:

krótka historia



Koszary Gwardii Pieszej Koronnej w XVIII w.,
widok z placu musztry FOT. MNW DOMENA PUBLICZNA

Była twierdzą, więzieniem i miejscem straceń. To stąd w listopadzie 1918 r. wyszła depesza, w której Józef Piłsudski poinformował świat o odrodzeniu państwa polskiego. Od września 2023 r. na warszawskiej Cytadeli będzie funkcjonowało Muzeum Historii Polski

Teren, na którym obecnie znajduje się Muzeum Historii Polski, stanowi część skarpy wiślanej biegnącej przez Żoliborz. Wyjątkowo urokliwe warunki naturalne wykorzystał zakon pijarów, który przybył do Warszawy jeszcze w XVII w. i tu założył swoją letnią siedzibę. W 1725 r. miejsce to wydzierżawiono Gwardii Pieszej Koronnej. Powstało wówczas siedem podłużnych pawilonów koszarowych, a naprzeciw nich plac musztry. Plac ten z trzech stron otoczyły pałacyki oficerskie z ogrodami warzywnymi. Wytyczono Aleję Gwardii, która umożliwiała komunikację z miastem. W czasach króla Stanisława Augusta powiększono regiment i jego siedzibę. W latach 80. XVIII w. w miejscu zburzonych pałacyków oficerskich wzniesiono dwa wielkie boczne pawilony, flankujące

plac musztry – do tego układu nawiązują współcześnie budynki Muzeum Wojska Polskiego oraz Muzeum Historii Polski.

BUDOWA CYTADELI

7 września 1831 r. armia rosyjska zdobyła Warszawę. Powstanie listopadowe zbliżało się do upadku. Do miasta wkroczyło 70 tys. żołnierzy, którzy zajęli obiekty wojskowe i publiczne. Obawiano się, by nie powtórzyły się wydarzenia nocy listopadowej – atak ludności Warszawy na rozrzucone jednostki rosyjskie. Dlatego też car Mikołaj I polecił wybudowanie stałych fortyfikacji, które zabezpieczyłyby wojska okupacyjne w Warszawie i osłaniałyby zachodnią granicę Imperium Rosyjskiego. Pod budowę wybrano tereny leżące na północnym skraju Warszawy, ale na tyle blisko Starego i Nowego Miasta, by można je było razić ogniem artyleryjskim. Rdzeniem były tereny wojskowe i wywłaszczone zabudowania konwiktów pijarów, co zmniejszało koszty związane z wykupem gruntów. Wiśla zapewniała ochronę od wschodu i była idealną drogą dla transportu materiałów i wojska, w tym do największej i najważniejszej twierdzy w Królestwie Polskim – Modlina.

Budowę warszawskiej Cytadeli rozpoczęto w 1832 r. Zajęto grunty o powierzchni 35 ha, ale dwa razy większą powierzchnię przeznaczono na stworzenie esplanady,

czyli pustej przestrzeni na przedpolu twierdzy. Do prac ziemnych zaangażowano 2 tys. robotników. W 1836 r. obiekt zyskał zdolność obronną. Po drugiej stronie Wisły wzniesiono Fort Śliwickiego, który zabezpieczał (rozstawiany zimą) most łyżwowy i zapewniał całkowitą kontrolę nad żegluga wiślaną. Koszt budowy Cytadeli, wynoszący ponad 10 mln rubli w srebrze, stanowił kontrybucję nałożoną na Warszawę, która zresztą fatalnie odbiła się na jej budżecie w kolejnych latach.

WIĘZIENIE

Na Cytadeli szybko powstało więzienie dla podejrzanych o działalność niepodległościową. W lipcu 1833 r. przygotowano osiem cel w budynku X pawilonu, w których jednorazowo mogło pomieścić się do 40 więźniów.



Stacja Radiotelegraficzna na Cytadeli

FOT. NAC DOMENA PUBLICZNA

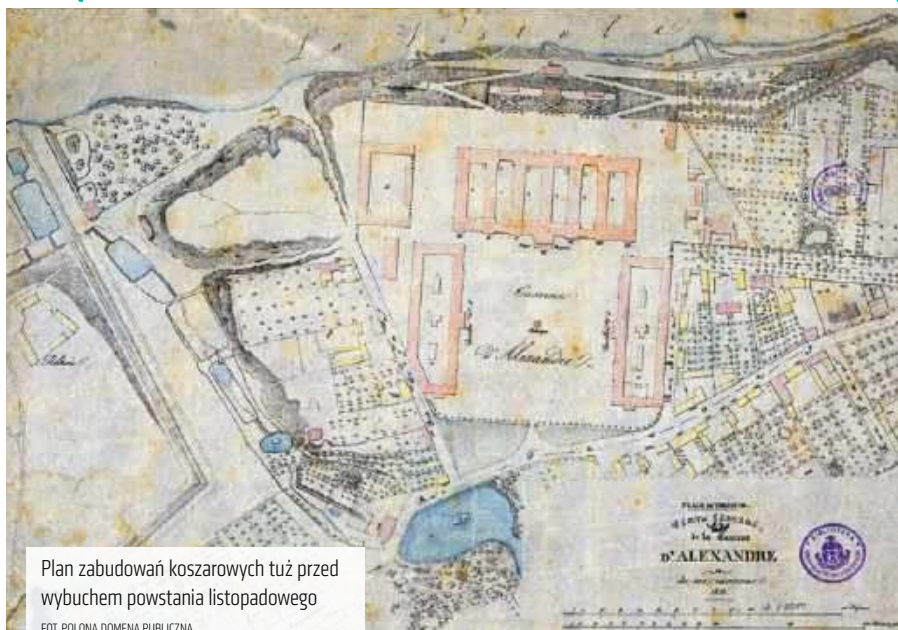
Tak powstała siedziba Komisji Śledczej przy Naczelnym Dowódcy Armii Czynnej i Naczelniku Królestwa Polskiego. Szybko okazało się, że ruch niepodległościowy w Królestwie wcale nie wygasł. W latach 40. i 50. XIX w. powstawały liczne tajne stowarzyszenia, stawiające sobie za cel wywołanie kolejnego powstania. Toteż jeszcze kilkakrotnie przebudowywano gmach, by zwiększyć liczbę cel. W czasie powstania styczniowego urządzono łącznie 88 pomieszczeń, w których mogło pomieścić się ok. 200 ludzi. W okresie manifestacji patriotycznych, w początku lat 60. XIX w., w Cytadeli więziono jeszcze więcej osób. Jesienią 1861 r. Rosjanie aresztowali 3 tys. warszawiaków, z czego aż 1,5 tys. uwięziono na Cytadeli.

Do 1915 r., kiedy Rosjan zmuszono do ucieczki z Warszawy, przez mury Cytadeli miało przejść ok. 40 tys. więźniów. Byli wśród nich: Karol Levittoux, spiskowiec który 7 lipca 1841 r. popełnił samobójstwo, podpalając więzienny siennik; ks. Piotr Ściegienny, organizator stłumionego w zarodku powstania w 1844 r.; poeta Adam Asnyk; bł. Honorat Koźmiński, uwięziony za udział w antyrosyjskiej konspiracji; przywódca powstania styczniowego z dyktatorem Romualdem Trauguttem; członkowie I Proletariatu z Ludwikiem Waryńskim; kierownictwo PPS z Józefem Piłsudskim; przedstawiciele ruchu narodowego, a wśród nich Roman Dmowski.

Cytadela była też miejscem kaźni. Na jej stokach stracono ok. 500 osób, z czego połowa egzekucji przypada na okres rewolucji 1905 r. Szczególnie złą sławą okryły się prowadzące na brzeg Wisły Wrota Iwanowskie, zwane Bramą Straceń. Od 1886 r. było to stałe miejsce wykonywania wyroków śmierci. Najstraszniejsza w dziejach Cytadeli była egzekucja z 5 sierpnia 1864 r., kiedy w obecności 30 tys. mieszkańców Warszawy, na stokach Fortu Włodzimierza (dzisiaj Fort Legionów) w przerażającej ciszy, stracono pięciu członków Rządu Narodowego z dyktatorem powstania, Romualdem Trauguttem, na czele.

OBIEKT WOJSKOWY

W historii Cytadeli były też jaśniejsze karty. Stąd w listopadzie 1918 r. za pomocą przejętej od Niemców radiostacji wojskowej Józef Piłsudski poinformował



świat o odrodzeniu państwa polskiego. W połowie sierpnia 1920 r. radiostacja w Cytadeli przewyższała mocą nadajnika wszystkie aparaty polowe oddziałów Armii Czerwonej, zbliżające się do linii Wisły. W dniach 15–16 sierpnia, kiedy rozwijała się Polska kontrofensywa znad Wieprza, radiotelegrafici nadawali nieustannie, przez 36 godzin, komunikaty w alfabecie Morse'a, przez co oddziały sowieckie nie mogły otrzymać nowych rozkazów i zostały rozbite.

Po odzyskaniu niepodległości Cytadela została przejęta przez Wojsko Polskie i jako obiekt wojskowy funkcjonowała aż do czasów współczesnych. Teraz wresz-

cie, dzięki inwestycji sfinalizowanej przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, stanie się domem dla Muzeum Historii Polski. Po blisko dwóch wiekach warszawska Cytadela staje się częścią otwartej przestrzeni publicznej. W ten sposób przekształcając się w dostępny dla wszystkich park kultury, codziennego odpoczynku, łączący przestrzeń na rozrywkę z miejscem refleksji. Od końca września Muzeum Historii Polski zaprasza na Cytadelę, wspólnie z bliskimi sąsiadami: Muzeum Wojska Polskiego, Muzeum X Pawilonu oraz Muzeum Katyńskim.

Michał Bąk, Łukasz Sobechowicz

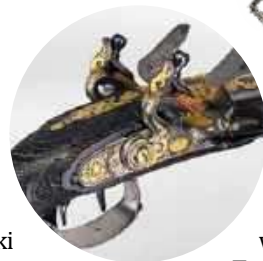
„Wielkie i małe historie. Tworzenie kolekcji Muzeum Historii Polski”

To tytuł inauguracyjnej wystawy czasowej, czekającej na pierwszych gości Muzeum. Ekspozycję tworzy 500 z liczącej blisko 60 tys. obiektów kolekcji Muzeum Historii Polski. Pokazuje ona wiele interesujących zabytków, a także tłumaczy, skąd biorą się eksponaty prezentowane w muzealnych salach: jak się je pozyskuje i odzyskuje, jak ważna jest współpraca z innymi instytucjami kultury, z konserwatorami zabytków i Ministerstwem Kultury i Dziedzictwa Narodowego, a wreszcie jak wielkie znaczenie ma ofiarność prywatnych darczyńców. Wystawa to możliwość przyjrzenia się historiom różnych zwykłych i niezwykłych przedmiotów z ponad tysiąca lat polskich dziejów. Dobrym



Kurtka mundurowa gen. Stanisława Maczka, ok. 1940 r., dar rodziny Maczek-Skillen

przykładem jest strzelba hrabiego Wincentego Krasieńskiego, dzieło sztuki z epoki Napoleona: została zagrabiona przez Niemców w czasie drugiej wojny światowej i powróciła do Polski dzięki wytrwałym staraniom Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Dziś pokazuje zarówno historię ścisłych więzów polsko-francuskich, jak i mozolne odzyskiwanie zagrabionych przez niemieckiego okupanta zabytków. Ekspozycje prezentowane na wystawie były świadkami poruszających losów ich właścicieli. Tak jest w przypadku munduru Stanisława Maczka, podarowanego



Strzelba myśliwska hr. Wincentego Krasieńskiego z pracowni Jeana Lepage'a, pocz. XIX w.

Muzeum Historii Polski przez wnuczkę generała.

Ten eksponat przypomina bohaterstwo polskich żołnierzy, a także najbardziej osobisty wymiar ich losów związany z emigracyjną tułaczką. Obiekty na wystawie opowiadają o dziejach dawnych i tych zupełnie nam bliskich. Będzie tu miejsce i na archeologiczne odkrycia w rodzaju pozostałości pałacu Villa Regia, wzniesionego w czasach Władysława IV, i na eksponaty związane z agresją rosyjską na Ukrainę oraz pomocą udzieloną narodowi ukraińskiemu przez Polaków. To przykład na to, że każdy z nas tworzy historię i że historia każdego człowieka ma znaczenie. Kolekcję Muzeum Historii Polski po prostu trzeba zobaczyć. Po to, by wiedzieć więcej o dziejach Polski i aby poznać fascynującą pracę muzealników.

Przyszła wystawa stała MHP

Opowieść o historii Polski będzie rozwijana w sześciu galeriach poświęconych kolejnym epokom. Pierwsza doprowadza historię średniowiecznej Polski od chrztu i budowania zrębów państwowości aż do końca panowania Jagiellonów i podpisania aktu unii lubelskiej. Druga jest poświęcona dawnej Rzeczypospolitej – jej szlachcie, narodom, kryzysowi i odrodzeniu, aż do chwili rozbiorów, trzecia okresowi zaborów, a czwarta łączy przedstawienie zmagania Polaków o niepodległość w czasie pierwszej wojny światowej oraz budowę niepodległego państwa po 1918 r. Dwie ostatnie części opowiadają o drugiej wojnie światowej i o najnowszych dziejach Polski, w tym zwłaszcza o zmaganiu z dwoma totalitaryzmami. Niemal dokładnie połowa przestrzeni wystawien-

niczej dotyczy XX w. Dzieje minionego stulecia wciąż pozostają podstawowym punktem odniesienia w historycznych debatach i wywierają wpływ na naszą teraźniejszość. Jaką historię będzie opowiadać MHP? Kluczową ideą jest przedstawienie dziejów Polski przez pryzmat historii wolności. Wokół tej wartości zbudowana jest



Fotografia obrazu autorstwa Bractwa św. Łukasza pt. „Konfederacja Warszawska”

narracja o państwie i narodzie. Mieszczą się w tym historia parlamentarna i konstytucyjna, ruchy obywatelskie i swobody republikańskie. Niepodległość i wytrwała walka o jej odzyskanie jest dla twórców wystawy istotnym wyróżnikiem polskiej historii. Drugim z wiodących wątków tematycznych jest powstawanie i ewolucja polskiej tożsamości od Polski Piastów do Polski Jagiellonów, a potem ukształtowanie się nowoczesnego narodu. Jest tu też miejsce na dzieje kultury, stanowiące proces powstawania wspólnego kodu kulturowego. Trzeci z głównych tematów to przemiany społeczno-gospodarcze, widziane przez pryzmat przełomowych momentów w dziejach cywilizacji. Wszystko to razem tworzy opowieść o historii Polski, której dotąd nie było.

Festiwal Otwarcia Muzeum Historii Polski

Muzeum Historii Polski zaprasza na warszawską Cytadelę, do swojego nowego gmachu. W programie: kuratorskie oprowadzanie po wystawie, debaty, warsztaty dla najmłodszych, wizyta na tarasie widokowym, spektakle, koncerty, pokazy filmowe. To znakomity pomysł na rodzinny weekend, nie tylko dla miłośników historii!

Od 29 września będzie można zwiedzać wystawę czasową prezentującą unikatowe zbiory, a także obejrzeć jedyny w swoim rodzaju gmach. 30 września i 1 października będzie można ponadto wziąć udział w zajęciach edukacyjnych, debatach i atrakcjach niespodziankach. To propozycja dla tych wszystkich, którzy chcą poznać nowe miejsce na mapie polskich instytucji kultury, malowniczo ulokowane na warszawskim Żoliborzu, na wysokim brzegu Wisły, blisko Nowego Miasta. Szczegółowe informacje na stronie: www.muzhp.pl.

Investycja sfinansowana przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego wieńczy proces przekształcania warszawskiej Cytadeli w przestrzeń publiczną. Zbudowana blisko dwa wieki temu jako budząca grozę carska twierdza stanie się dostępnym dla wszystkich parkiem kultury, codziennego odpoczynku. Będzie to miejsce refleksji nad historią i działalności kulturalnej, a także rozrywki i relaksu. Czterdzieści cztery tysiące mkw., cztery kondygnacje nadziemne i dwie podziemne – nowa siedziba MHP to budynek, który będzie świetnie służył działaniom kulturalnym, naukowym i edukacyjnym, atrakcyjnemu prezentowaniu dziejów naszego państwa i narodu.

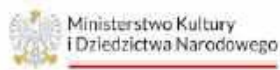
GMACH MUZEUM HISTORII POLSKI

Zaprojektowany przez pracownię WXCA to jeden z najnowocześniejszych budynków, które powstały w ostatnich latach w naszym kraju. Będzie tu miejsce na organizację wystaw, a także audytorium z doskonałą akustyką sali koncertowej, sala kinowa, sale edukacyjne i efektowny taras widokowy na dachu. Jednocześnie gmach to gratka dla pasjonatów historii i uważnych obserwatorów. Efektowna marmurowa elewacja nawiązuje do kolejnych okresów-warstw naszej historii: od czasów najdawniejszych do współczesności. Można w tym dostrzec metaforę historii jako procesu: nakładanie się kolejnych warstw wydarzeń, ciągłość i nieciągłość procesów historycznych. Kamienne płyty fasady są zdobione reliefami nawiązującymi do detali polskiej architektury, od Drzwi Gnieźnieńskich, przez ornamenty romańskie i gotyckie, renesansowe, inspirowane architekturą Wawelu, barokowe, aż do XX-wiecznego modernizmu. Warto w ich poszukiwaniu uważnie studiować elewację budynku ze wszystkich czterech stron świata!



FOT. MHP/ALEXANDER MALACHOWSKI

PARTNERZY
DODATKU:





WEJDŹ DO HISTORII!

MUZEUM HISTORII POLSKI

Otwarte od 29 września 2023

📍 Cytadela Warszawska



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego



Krzysztof Masłoń

Sen mara, Bóg wiara

Miałem sen. Z zadziwiającą dokładnością przyśniły mi się telewizyjne ramówki z jakiejś listopadowej niedzieli. W TVP1 tak to miało lecieć:

5.05 Naga prawda o PiS. Program Tomasza Piątki
6.00 Tak to leciało.... Migawki z wojny polsko-polskiej prezentuje Beata Tadla
6.25 Jeszcze dzień, wyjdę stąd – pacyfistyczny magazyn wojskowy
6.55 Słowo na niedzielę – ks. Kazimierz Sowa
7.00 Msza Święta. Transmisja z kościoła seminaryjnego pw. Wniebowzięcia NMP i św. Józefa w Warszawie
7.30 Już jest przepięknie, już jest normalnie. Retransmisja koncertu powyborczego
8.00 Tydzień. Magazyn rolniczy Michała Kołodziejczaka
8.30 Europa da się kochać – edukacyjny program rozrywkowy
9.00 Recital Kayah
9.40 Godzina z Agnieszką Holland
12.00 Anioł Pański. Modlitwa Ojca Świętego
12.00 Pitaval polski. Ze wspomnień Romana Giertycha
15.00 W starym kinie. Wszystkie role Krystyny Jandy
16.10 Tablica hańby. Pisiory na cenzurowanym – publicystyka kulturalna
17.00 Teleexpress Macieja Orłosa
17.20 Jaka to melodia. Prowadzenie: Gabriel Janowski
18.00 Kuba Wojewódzki – talk-show
19.00 Kaczor pod sąd! Materiał interwencyjny
19.30 Wiadomości prawdziwe
20.00 Cotygodniowe orędzie marszałka Senatu
20.15 Belfer 3 (1), serial (2023)

21.00 Wielkie Kino! – Zielona granica, film Agnieszki Holland (2023)
23.30 Prawda czasu, prawda ekranu – debata ekspercka
0.10 Nie zapomnimy! Pokłosie, reż. Władysław Pasikowski (2012)
2.00 Rozmowy nocą – Maciej Stuhr
3.20 Cotygodniowe orędzie marszałka Senatu. Powtórzenie.
 Miałem sen... W TVP2 wyglądać to miało mniej więcej tak:
5.25 Barwy szczęścia, serial obyczajowy, odc. 2850, 2851 (2023)
6.35 M jak miłość, serial obyczajowy, odc. 1760 (2023)
7.25 Pytania? Nie widzę – magazyn śniadaniowy
11.00 The Voice of Europe – widowisko
12.10 Filmy na czasie: Śmierć prezydenta, reż. Jerzy Kawalerowicz (1977)
15.15 Szansa na sukces. Prowadzenie: Wojciech Mann
16.20 Matki, żony i kochanki – magazyn kobiecy. Gość specjalny: Marta Lempart
17.15 Gala Piosenki Słusznej
18.00 Superpanorama
18.20 Gwiazdociąg – Maciej Stuhr
18.55 Faszyzm nie przejdzie! – impreza plenerowa
20.00 Wydarzenie! Ekskluzywny wywiad z Olgą Tokarczuk
21.05 Pokot, reż. Agnieszka Holland, Kasia Adamik (2016)
22.50 Mistrzowie polskiego kabaretu: Neo-Nówka
0.45 Przypominamy: Tylko nie mów nikomu, reż. Tomasz Sekielski (2019)

3.05 W siną dal – ośmiogwiazdkowy program humorystyczny.
 Śniłem dalej. Także o nowej ramówce TVP Historia:
8.55 Podziemny front, serial, odc. 3, 4 (1965)
9.20 Kto naprawdę rozpętał drugą wojnę światową? – dyskusja
10.15 Seans na życzenie: Nasze matki, nasi ojcowie, serial, odc. 3 (2013)
11.40 Ludową historię Polski przedstawia Adam Leszczyński
13.00 Galeria potworów: Antoni Macierewicz
14.20 Jak Jan Grzyb wywalczył wolną Polskę. Rozmowa z Władysławem Frasyniukiem
15.15 Sensacje XXI w. Program Bogusława Wołoszańskiego
16.00 Bohaterowie naszych czasów – Lech Wałęsa
17.00 Leksykon Polskiej Muzyki Rozrywkowej: Kayah
17.50 Mój Gombrowicz, program literacki Klementyny Suchanow
19.00 Noc październikowa. Kulisy udaremnionej prowokacji PiS (dok.)
20.05 Życie i śmierć Henryka Hollanda
20.30 Gorzkie żniwa, reż. Agnieszka Holland (1985)
22.20 Polityczna mapa Polski: strefy bezpisowskie – Wolne Miasto Gdańsk
23.00 Ludzie polskiej nauki: Zygmunt Bauman
23.40 Ekipa, serial, odc. 13 (2007)

0.15 Bohaterowie naszych czasów – Henryka Krzywonos.
 Aż w końcu przyszedł czas na TVP Info:
6.00 Rzetelny serwis informacyjny. Prognoza dobrej pogody
7.15 W pisarskich szufladach: Krzysztof Varga
7.30 Rzetelny serwis informacyjny. Prognoza dobrej pogody
9.00 Niech prawo zawsze prawo znaczy. Porady sędziego Igora Tulei
9.40 Studio Bruksela. Prowadzenie: Piotr Kraśko
10.45 Kawa na ławę
11.30 Łoża prasowa – publ.
12.00 Maciej Maleńczuk, artysta niepokorny
12.30 Portrety Europejczyków: Donald Tusk
14.00 Rzetelny serwis informacyjny. Prognoza dobrej pogody
15.00 Szczaw i mirabelki – program kulinarny Stefana Niesiołowskiego
15.40 Świat na tęczowo. Prowadzenie: Piotr Jachoń
17.30 Keine Grenzen, reportaż z ziemi niczyjej
18.00 Rzetelny serwis informacyjny. Prognoza dobrej pogody
18.35 Z ks. Kazimierzem Sową o problemach współczesnego katolicyzmu
19.00 Nasi ulubieńcy: Basia Kurdej-Szatan
19.30 Wiadomości prawdziwe
20.00 Kropka nad i
20.45 Rzetelny serwis informacyjny. Prognoza dobrej pogody
22.00 Szkło kontaktowe
23.00 Wszyscy ludzie Kaczyńskiego. O takich, co rozkradli Polskę – program Tomasza Lisa
23.40 Za kierownicą. Magazyn samochodowy Jarosława Kuźniara
 Miałem sen... © ©



Mariusz Dzierżawski

Polskie elity nie biorą pod uwagę scenariusza, w którym USA będą chciały poprawiać swoje relacje z Rosją

Rosja jako zło

Wojna na Ukrainie postawiła w centrum uwagi kwestie polityki zagranicznej w kontekście suwerenności państwa polskiego. Kiedy czyta się wypowiedzi polskich polityków lub publicystów, odnoszących się do spraw międzynarodowych, można odnieść wrażenie, że głównym zagrożeniem dla państwa polskiego jest imperialna Rosja. Inne zagrożenia wprowadzić też istnieją, ale w porównaniu z zagrożeniem moskiewskim nie mają istotnego znaczenia. Można powiedzieć, że dla prawie wszystkich polskich komentatorów i polityków Rosja to zło absolutne. Publicyści chętnie odwołują się do historii, aby uzasadnić tezę, że celem Rosji zawsze było zniszczenie Polski i polskości.

Przyjrzyjmy się najpierw historii, aby zweryfikować tę tezę. Kiedy jarzmo mongolskie nad Rusią zelżało, pojawiły się dwa ośrodki jednoczące ziemie ruskie: Moskwa i Litwa. Ojciec Władysława Jagiełły, Olgierd, dwukrotnie oblegał Moskwę, ale ostatecznie miasta nie udało mu się zdobyć. Włączył jednak do Wielkiego Księstwa Litewskiego Kijów i wielkie obszary ziem ruskich. Tereny te stały się później częścią Rzeczypospolitej. Rywalizacja Litwy, a później Rzeczypospolitej z Moskwą o zjednoczenie Rusi zakończyła się naszą porażką. Hegemonem stała się Moskwa.

Począwszy od XVIII w., Moskwa wyraźnie góruje potencjałem nad Rzeczpospolitą, ale nie dąży do jej zniszczenia.

Piotr I i jego następcy zadowalają się kontrolowaniem Polski przez uległych władców oraz utrzymywaniem słabości państwa polskiego. W drugiej połowie XVIII w. Polska była faktycznym protektorem rosyjskim. Katarzyna Wielka nie była zainteresowana uszczuplaniem protektoratu. Pojawiały się nawet szanse na wzmocnienie państwa polskiego przy okazji wojny rosyjsko-tureckiej. Nie zostały niestety wykorzystane. Osłabieniem i uszczupleniem Rzeczypospolitej zainteresowane były Prusy. Prusacy aktywnie działali przez swoich agentów, aby utrwalić stan anarchii w Polsce i wspierać wszelkie ruchy opozycyjne wobec reform królewskich. Zorganizowana pod patriotycznymi



FOT. ANDRZEJ STOK

absolutne

hasłami konfederacja barska była wielkim sukcesem Prus, ponieważ skłoniła Rosję do zaakceptowania I rozbioru, do którego wcześniej dążyli Prusacy. Katarzyna uznała, że Stanisław August nie jest w stanie zagwarantować interesów rosyjskich. Gwoździem do trumny państwowości polskiej było przymierze zaoferowane Polsce przez Prusy przeciw Rosji. Skończyło się na tym, że Prusacy w wojnie polsko-rosyjskiej opowiedzieli się przeciw Polsce i wzięli udział w likwidacji państwa polskiego.

W czasie wojen napoleońskich Polacy entuzjastycznie poparli Napoleona, który wprowadził wojsko polskie doceniał, ale wdzięczności nie okazywał. Wojny zakończyły się klęską Napoleona,

Od początków XVIII w. aż do roku 1989 r., z krótką przerwą na II RP, Polska była faktycznie zależna od Rosji

a zwycięski car Aleksander I ustanowił Królestwo Polskie, którego królem sam został. Królestwo było zależne od Rosji, nie mogło prowadzić polityki zagranicznej, ale miało własną armię, skarb i Sejm, a językiem urzędowym był język polski. Autonomia została radykalnie ograniczona po powstaniu listopadowym. Analogiczna sytuacja miała miejsce po powsta-

niu styczniowym. Bezpośrednie skutki powstań dla życia narodowego były katastrofalne, ale carski ukaz uwłaszczający chłopów stał się ekonomiczną podstawą odbudowy narodowej w przyszłości. W następnych pokoleniach to polski lud, wierny Kościołowi katolickiemu, stał się fundamentem odbudowy Polski.

Niepodległa Polska odrodziła się po pierwszej wojnie światowej. Pierwszym zagrożeniem dla istnienia odrodzonego państwa była wojna z bolszewikami, a ostatecznie kres istnieniu II Rzeczypospolitej położył pakt Ribbentrop-Mołotow. Mordy na polskich oficerach i prześladowania Polaków mieszkających w Związku Sowieckim przedstawiane są jako kontynuacja antypolskich działań wcześniejszych władców Rosji. Warto zwrócić uwagę, że nie tylko idea komunistyczna wywodziła się z Niemiec, lecz także cała logistyka rewolucyjna została przygotowana w niemieckim Sztabie Generalnym, a przetransportowanie Lenina do Rosji było tylko jednym z elementów planu. Przywódcy bolszewików rekrutowali się głównie z mniejszości narodowych, a miliony ofiar głównie spośród Rosjan. Obarczanie Rosjan winą za zbrodnie komunizmu jest w takiej sytuacji co najmniej nadużyciem intelektualnym. Trzeba przy tym dodać, że Feliks Dzierżyński, główny organizator sowieckiego terroru, i Andrzej Wyszyński, najbardziej krwawy prokurator w historii ZSRS, byli Polakami.

Po drugiej wojnie światowej zwycięski Stalin, któremu alianci oddali Europę Środkową, bynajmniej nie zlikwidował Polski. Przesunął granice, postarał się, aby rządy sprawowali ludzie zależni od niego, i narzucił absurdalny system gospodarczy. Polska po raz kolejny stała się rosyjskim protektoratem i była nim do roku 1989.

Od czasów wojny północnej, czyli od początków XVIII w., aż do roku 1989, z krótką przerwą na czasy II Rzeczypospolitej, Polska była faktycznie zależna od Rosji. Gdyby priorytetem Rosjan było zniszczenie Polski, mieli aż nadto okazji i czasu, aby cel ten zrealizować. Zbrojne wystąpienia przeciw Rosji spotykały się na ogół z krwawym odwetem, ale po nich następowały okresy, w których naród polski dźwigał się z upadku. Krótki przegląd ostatnich trzech wieków historii

■ przeczy tezie, że Rosja jest egzystencjalnym zagrożeniem dla Polski i polskości. Niestety, jest to pogląd powszechnie obowiązujący w polskiej debacie publicznej ostatnich lat, choć jeszcze 10 lat temu sytuacja była zdecydowanie odmienna, co przypomniał Łukasz Warzecha w tekście „Mądrość etapu w sprawie Rosji” („Do Rzeczy” nr 33/2023).

Obowiązująca narracja ma pewną zasadniczą wadę. Sprzyja mianowicie maskowaniu poważnych zagrożeń dla Polski, innych niż zagrożenie rosyjskie. Warto więc je zidentyfikować i sprawdzić, czy rzeczywiście są nieistotne.

ZAMACH NA SUWERENNOŚĆ

Zacznijmy od sprawy fundamentalnej, a mianowicie suwerenności państwa. W minionych trzech wiekach, z wyjątkiem II Rzeczypospolitej, albo w ogóle jej nie było, albo była to suwerenność ograniczona. Po roku 1989 sytuacja się zmieniła. To rząd polski decydował, jaki system społeczno-polityczny chce budować i z kim chce wchodzić w sojusze. Władze polskie doprowadziły do wycofania wojsk sowieckich z Polski na początku lat 90., a następnie wprowadziły Polskę do NATO i Unii Europejskiej. Decyzje te były bez wątpienia decyzjami suwerennymi i cieszyły się poparciem społecznym.

Jak dzisiaj wygląda kwestia suwerenności Polski? Przystępując do Unii Europejskiej, Polacy wyobrażali sobie, że wchodzi do organizacji, której celem jest ułatwianie handlu i budowa dobrobytu. Wkrótce okazało się, że rzeczywistym celem jest budowa superpaństwa, którego fundamentem jest ideologia neomarksiowska. Suwerenność państw narodowych jest oczywiście zawadą w budowie federacji europejskiej. Od lat obserwujemy więc próby ograniczania tej suwerenności. Młotem na opornych jest koncepcja „państwa prawa”. O tym, który kraj może być uznany za państwo prawa, decydują elity brukselskie. W przypadku Polski brukselczycy chcieliby decydować o trybie wyboru sędziów w naszym kraju, a zaakceptowani przez Brukselę sędziowie orzekaliby, które akty władz politycznych są legalne, a które nie. Jest to oczywisty zamach na suwerenność, oficjalnie wspierany przez największą partię opozycyjną. Dodatkowym środ-

kiem nacisku są fundusze kontrolowane przez Komisję Europejską, która może je odebrać opornym krajom i praktykuje to w odniesieniu do Polski.

Polska jest też przymuszana przez Brukselę do szkodliwych decyzji gospodarczych, w ramach obłędnej „polityki klimatycznej”. Jeżeli wytyczne Brukseli zostaną zrealizowane, to czeka nas katastrofa energetyczna i społeczna, przejawiająca się w wywłaszczeniu obywateli. Skoro mowa o katastrofach społecznych, to trzeba przypomnieć o brukselskich naciskach na przyjmowanie imigrantów. Polityka imigracyjna wielu państw Zachodu doprowadziła do dezintegracji społecznej, fali gwałtów i przemocy, na którą państwo reaguje przemocą policyjną. Podejrzanie, że chodzi o odebranie wolności obywatelom, nie wydaje się dalekie od prawdy.

AGRESJA IDEOLOGICZNA

Najgorszą rzeczą, którą serwują nam nadzorcy z Brukseli, jest agresja ideologiczna. Oczywiście jej celem jest destrukcja małżeństwa i rodziny, promocja zbrodni i zniszczenie chrześcijaństwa. Mordowanie dzieci w fazie prenatalnej jest według eurokratów „prawem człowieka”, podobnie zresztą jak realizowanie wszelkich zachcianek seksualnych.

Najgorszą rzeczą, którą serwują nam nadzorcy z Brukseli, jest agresja ideologiczna

Małżeństwo ma być związkiem, który może zawrzeć każdy z każdym. W wielu krajach dzieci są molestowane w szkołach państwowych na obowiązkowych lekcjach tzw. edukacji seksualnej. Klasyczne wychowanie, którego celem jest człowiek potrafiący panować nad swoimi namiętnościami, może stać się powodem pozbawienia władzy rodzicielskiej. Na chrześcijan wywierana jest presja, aby porzucili tradycyjne nauczanie moralne, ponieważ jest ono rzekomo przejawem nienawiści. Bandyckie napady na kościoły, księży i wiernych stają się coraz częstsze, również w Polsce.

Niektórym wydawało się, że remedium na rewolucyjne pomysły brukselczyków będą specjalne stosunki ze Stanami Zjednoczonymi, gdzie chrześcijaństwo jeszcze żyje, a w niektórych stanach większość opowiada się za przestrzeganiem norm moralnych. Prezydentura Joe Bidena powinna te złudzenia rozwiązać, ale wielu woli je kultywować.

Związek ideologicznej agresji z wojną na Wschodzie doskonale pokazuje tekst Macieja Pieczyńskiego „Na tęczęwój Ukrainie” („Do Rzeczy” nr 33/2023). Wojna jest doskonałą okazją dla hunwejbów tęczęwój rewolucji, aby wprowadzać swoje porządki w kraju, który bynajmniej entuzjazmem do zbrodni nie pałał. Ale skoro władza Najważniejszego Sojusznika rewolucję seksualną popiera, to trzeba amerykańskiego transseksualistę zrobić rzecznikiem obrony terytorialnej.

Polska znajduje się dziś w sytuacji gorszej niż w XVIII w. Brukselskie elity dążą wprost do pozbawienia nas suwerenności, współpracuje z nimi główna partia opozycyjna. Temu atakowi na suwerenność polityczną towarzyszy atak na fundamenty moralne i tożsamość narodu, również ze strony USA. U naszych granic toczy się wojna, która może za chwilę rozlać się na terytorium Polski. Armia polska jest praktycznie rozbrojona na skutek przekazania olbrzymich ilości sprzętu Ukrainie. Wydaje się, że cała koncepcja polskiej polityki zagranicznej opiera się na trwałym konflikcie między USA a Rosją. Historia poucza, że wrogość między państwami nie trwa wiecznie. Jak mawiali politycy brytyjscy: Wielka Brytania nie ma wiecznych sojuszników ani wiecznych wrogów; wieczne są tylko interesy Wielkiej Brytanii i obowiązek ich ochrony. Przekonał się o tym boleśnie podczas drugiej wojny światowej.

Sentencja ta jest ciągle aktualna i odnosi się również do Stanów Zjednoczonych. Jeżeli konflikt amerykańsko-chiński będzie się nasilał, to Waszyngton będzie skłonny poprawić swoje stosunki z Rosją. Interesy Ukrainy czy Polski nie będą wówczas dla Amerykanów priorytetem. Wydaje się, że polskie elity nie biorą pod uwagę takiego scenariusza. Wrogość wobec Rosji dla niektórych jest dziś walorem naszej polityki. Jutro może okazać się poważnym obciążeniem.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

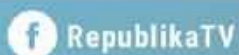
POLITYCZNA

kawa



Tomasz Sakiewicz wspólnie
z zaproszonymi do studia
dziennikarzami i politykami
podsumowuje najważniejsze
wydarzenia minionego tygodnia.

niedziela
w samo południe
12:00



Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną, przez sieci kablowe oraz przez dostępną telewizję naziemną z lokalnych nadajników MUX w Katowicach, Warszawie, Gdańsku i Wrocławiu, a także w Internecie na stronie www.tvrepublika.pl.

Wagnerowcy w Warszawie?



Dariusz Wieromiejczyk

Straszeniem ludzi można wygrać kampanię wyborczą, ale nie wygrywa się kampanii wojennych

Przełomowych odkryć dokonuje w dziedzinie wojskowości minister Mariusz Błaszczak. Stoją one w jaskrawej sprzeczności nie tylko z obowiązującą od ponad wieku doktryną wojny manewrowej, lecz także z wojenną doktryną stojącą u podstawy sukcesów marszałka Józefa Piłsudskiego. Jak wiemy, w trakcie zwycięskiej wojny z bolszewikami w roku 1920 armia polska, rozlokowana na wschodnich rubieżach państwa, cofnęła się pod naporem sowieckich armii aż na linię Wisły, dopuszczając Tuchaczewskiego na przedpola Radzimina i Płocka. Po nieudanej próbie przejścia inicjatywy na froncie południowym i uprzedzenia w ten sposób sowieckiego ataku polskie dowództwo zdecydowało się na kontrolowany odwrót, następnie zaś uderzenie w odstępnięte lewe skrzydło wyczerpanego natarciem przeciwnika. Kontrofensywa znad Wieprza zapoczątkowała pogrom najeźdźczej armii, najpierw w bitwie warszawskiej, a następnie niemieńskiej.

KULT ODBITEJ ZIEMI

Taktyka ta nie była jednak odkryciem marszałka Piłsudskiego. W pierwszej wojnie światowej opracowali ją wykrwawieni wojną pozycyjną Niemcy. Początkowo, pod dowództwem gen. Ericha von Falkenhayna, byli oni zwolennikami kurczowej obrony zajętych i ufortyfikowanych pozycji. Obrona każdego metra zajmowanego terytorium doprowadziła do przerażających rzezi i straty milionów żołnierzy w krwawych młynach Sommy, Isonzo, Verdun i Ypres. Nieustępliwą walkę o każdy kilometr bronionego przez siebie terytorium definiowano maksymą „Halten, was zu halten ist” („Broń wszystkiego, co jesteś w stanie obronić”).

Podobnie postępowali w pierwszych latach wielkiej wojny także Anglicy i Francuzi. Ci drudzy gotowi byli poświęcić życie setek tysięcy żołnierzy w obro-



Najemnicy Grupy Wagnera w Rostowie nad Donem w Rosji, czerwiec 2023 r.

FOT. IMAGO/SERGEY PIVOVAROV/SPUTNIK/EAST NEWS

nie niemających żadnego znaczenia strategicznego miasteczek i wsi, uzasadniając stałe wykrwawianie swojej armii górnolotnymi frazesami o galijskim honorze i świętości każdego metra francuskiej ziemi. Nawet pozbawione jakiegokolwiek wartości mieściny odbijane były kosztem setek tysięcy żołnierzy. Kulminacją takiego „kultu odbitej ziemi” były całkowicie bezowocne ofensywy gen. Nivelle’a, które doprowadziły w końcu do fali żołnierskich buntów. O mało nie spowodowały one rozpadu armii francuskiej.

Niemieckie i austro-węgierskie doświadczenie wojenne w znacznie większym stopniu faworyzowało zaskoczenie i manewr. Na rozległych terenach frontu wschodniego płacenie za kilometry ziemi tysiącami poległych żołnierzy było po prostu niewykonalne. Na manewrze i koncentracji sił opierały się zwycięskie bitwy pod Tannenbergiem, Limanową i Gorlicami. Umiejętne wciągnięcie przeciwnika w głąb zajmowanego terytorium, a następnie wykrwawienie go kontratakami na skrzydła utopiło we krwi rosyjską ofensywę Brusilowa w roku 1916 oraz ofensywę Kiereńskiego w lecie roku 1917. Przejęcie naczelnego dowództwa armii niemieckiej przez Paula von Hindenburga i Ericha Ludendorffa w roku 1916 przypieczętowało zmianę w niemieckiej taktyce, również na froncie zachodnim. Także tu nauczono się wybierać miejsca sprzyjające obronie, odstępować i „skracać” front. Nowi dowódcy opracowali model tzw. obrony elastycznej (zwanej też obroną głęboką). Zamiast uporczywego i przynoszącego nieuniknione straty trwania na rozpoznanych przez wroga pozycjach należało wycofać się, wykrwawić przeciwnika, a następnie zniszczyć go niespodziewanym kontratakiem.

Taktyka obrony elastycznej i wojny manewrowej przyniosła walczącym stronom od dawna wyczekiwanie sukcesy, głównie na froncie wschodnim. Polscy dowódcy Legionów i służący w armii austriackiej Polacy na bieżąco uczyli się tej sztuki. W walce z bolszewikami zastosował ją z powodzeniem marszałek Piłsudski. Podczas drugiej wojny światowej pozorowany odwrót i zaskakujące uderzenia na wybranych odcinkach frontu (Niemcy nazywali je „schwerpunktami”) stały się stałymi elementami sztuki wojennej. Od tego czasu utrwalił

się wśród sztabowców i teoretyków wojny pogląd, że nie trzymane kurczowo kilometry kwadratowe terytorium, a zniszczenie sił nieprzyjaciela i odcięcie go od zaopatrzenia szybkim, zaskakującym manewrem rozstrzyga o powodzeniu operacji wojskowych.

Taktykę opisaną powyżej polski minister wyrzucił najwidoczniej do kosza. W ostatnim wystąpieniu wyborczym zadeklarował on obronę „każdego skrawka Polski”. Jak oświadczył, nowa doktryna obronna zakłada „obronę na granicach”. W wyniku innej taktyki Lublin, Rzeszów i Łomża mogłyby być polską Buczą – przepowiedział minister Błaszczak.

Pamiętajmy, że w wojnie z bolszewikami w roku 1920 marszałek Józef Piłsudski oddał im, na krótko wprawdzie,

podobieństwo tej, która dotknęła mieszkańców ukraińskiego Irpienia i Buczy, nie służy z pewnością uspokojeniu ludności cywilnej. Przeciwnie, wzbudzić może nastroje panikarskie i skłonić do spontanicznej ewakuacji. Czy budowana na naszych oczach „najsilniejsza armia w Europie” da się logicznie pogodzić ze straszeniem mieszkańców położonych na wschodzie Polski miast rzeziarni, które „szukowali im”, zdaniem ministra, Rosjanie i polskie partie opozycyjne? W zagrożonych konfliktem krajach budowano dawniej, wszelkimi sposobami, poczucie jedności obywateli i klasy politycznej, a także wiarę we własne siły. Czyżby i tę zasadę powinniśmy odłożyć do lamusa?

Równie niepokojące wydają mi się wypowiedzi premiera Morawieckiego, który

Szef MON w ostatnim wystąpieniu wyborczym zaproponował obronę „każdego skrawka Polski”. Jak oświadczył, nowa doktryna zakłada „obronę na granicach”

nie tylko Białystok i Grodno, lecz także Łomżę, Ostrołękę i Wyszaków. Pomimo tymczasowego odwrotu wojna zakończyła się wspaniałym zwycięstwem Polaków. Niestety, 20 lat później nie udało się go powtórzyć. Wysunięcie wielkich polskich jednostek wzdłuż trudnych do obrony, pozbawionych naturalnych przeszkód granic uważane jest przez historyków wojskowości za największy błąd popełniony przez polskie dowództwo w wojnie roku 1939.

Rezygnacja z manewru na rzecz uporczywej obrony każdego kilometra granicy nie pozwala obrońcom na koncentrację sił i uzyskanie przewagi tam, gdzie kontruderzenie może być dla przeciwnika szczególnie bolesne. Tylko na propagandowych plakatach broniąca się armia może być silna, gotowa i zwarta wszędzie. W rzeczywistości oddaje inicjatywę wybierającemu miejsca natarcia przeciwnikowi.

NIEKONWENCJONALNE PODEJŚCIE

Polski minister obrony podchodzi niekonwencjonalnie nie tylko do kwestii taktycznych. Uprowadzanie mieszkańców Lublina, Rzeszowa i Łomży, że w razie wojny z Rosją mogłaby czekać ich rzeź na

przed kilkoma tygodniami zapewnił, że „gdyby nie PiS, mielibyśmy grupę Wagnera w dwie godziny w Warszawie”. Polska nie jest z pewnością afrykańską republiką bananową, której stolicę w tak krótkim czasie odwiedzić może kilka tysięcy pozbawionych lotnictwa i kompleksowego zaplecza logistycznego najemników.

Czy powinniśmy uwierzyć, że przed nastaniem „dobrej zmiany” państwo nasze było jedynie domkiem z kart, a „wyjątkowo niebezpieczni, bezlitośni i bezwzględni” wagnerowcy dotarliby do stolicy w dwie godziny? Czy dywagacje takie nie osłabiają zaufania obywateli do państwa? Co sądzić powinniśmy o naszej nieprzerwanie modernizującej się armii, która jeszcze osiem lat temu nie umiałaby, zdaniem premiera, wagnerowców przed Warszawą zatrzymać? Jaką wartość miały wobec tego nasze sojusze i czy zawarliśmy ostatnio jakieś nowe, nieporównanie skuteczniejsze?

Straszenie wyborców ewentualnymi rzeziarni i „bezlitosnymi” hordami najemników może być dobrym sposobem na wygranie kampanii wyborczej. Innym niż wyborcze kampanii strachem się nie wygrywa.



Paweł Chmielewski

Trwa bezprecedensowy atak na św. Jana Pawła II – ale tym razem Kościół katolicki w Polsce w ogóle go nie broni. Dziedzictwo papieża Wojtyły znalazło się bowiem na celowniku już nie dużych lewicowych mediów, ale hierarchów kościelnych – w tym najwyższych rangą urzędników Kurii Rzymskiej

17 lipca 2023 r. kard. Victor Manuel Fernández udzielał portalowi The Pillar jednego z pierwszych wywiadów w swojej nowej roli – prefekta Dykasterii Nauki Wiary. Ujawnił, że jedną ze spraw, którą chce się zająć, jest... encyklika „Veritatis splendor” św. Jana Pawła II. Według Fernández’a jej tekst ma wprowadzić dużą wartość, ale w praktyce zablokował „rozwoj teologii”. Tymczasem – mówił Fernández – otrzymał on od papieża zadanie krzewienia „różnych prądów myśli w filozofii, teologii i praktyce pastoralnej”, o czym Franciszek napisał do niego w bezprecedensowym liście opublikowanym na stronach Watykanu. „Veritatis splendor” – powiedział prefekt Dykasterii – miałaby zostać w efekcie zastąpiona przez nowy tekst, który z jednej strony wybierze „wszystko, co wartościowe” z Jana Pawła II, a z drugiej zaprezentuje „inny ton”, już w zgodzie z nauczaniem papieża Franciszka.

Czy „Veritatis splendor” jest za mało „Franciszkowa”? W 2016 r. obecny papież opublikował adhortację apostolską „Amoris laetitia”. W kilku punktach (zwłaszcza 303 i 304) przedstawił swoją naukę o sumieniu. Zgodnie z nią człowiek może rozpoznać, że jego aktualna sytuacja „nie odpowiada obiektywnie ogólnym postanowieniom Ewangelii”; następnie może „odkryć z jakąś pewnością moralną”, że pomimo tych niedoskonałości tego właśnie „wymaga Bóg”. Powinno się w efekcie odejść od rozważania wyłącznie tego, czy „działanie danej osoby odpowiada czy też nie jakiemuś prawu czy normie ogólnej”,

Kardynał Victor Manuel Fernández, prefekt Dykasterii Nauki Wiary

FOT. NATACHA PISARENKO/AP/EAST NEWS



Poprawianie Wojtyły

zamiast tego patrząc na „konkret” jej życia. Brzmi dziwnie i niejasno. Dlatego o dokładne wyjaśnienie znaczenia tych słów jeszcze w samym 2016 r. poprosili papieża czterech kardynałowie (Raymond Burke, Walter Brandmüller, Carlo Caffarra, Joachim Meisner). Wysłali mu zapytanie w formie tzw. dubiów. Podejrzewali, że wskazanych wyżej oraz kilku innych passusów „Amoris laetitia” tak naprawdę... nie da się uzgodnić z nauką Kościoła. Franciszek nigdy im nie odpowiedział.

„OCHRZCIĆ” KANTA

Właśnie w encyklice „Veritatis splendor” św. Jan Paweł II pisał krytycznie o błędnych koncepcjach zadziwiająco podobnych do tego, co widnieje w tekście Franciszka. Papież Wojtyła potępił pogląd, zgodnie z którym można przeciwstawić sobie płaszczyznę doktryny oraz płasz-

czynną konkretnego życia, w ten sposób, by tym konkretem uzasadniać wyjątki od reguły ogólnej. Jan Paweł II potępił takie rozwiązania duszpasterskie, które prowadziłyby do dokonywania z czystym sumieniem czynów, które zgodnie z nauką Kościoła są „wewnętrznie złe” – czyli złe zawsze i wszędzie, niezależnie od okoliczności. Według papieża Polaka takie tezy „podważają samą tożsamość sumienia”. Mówimy zatem o błędach jasno i wprost niezgodnych z katolicyzmem. Czy rzeczywiście są obecne w „Amoris laetitia”? A jeżeli tak, to jakie mają implikacje?

Zanim odpowiem na to pytanie, przyjrze się krótko źródłu całego problemu. Pod koniec XVIII w. Immanuel Kant w kilku swoich dziełach przedstawił koncepcję tzw. autonomii moralnej. Chodziło o ustanowienie człowieka jedynym sędzią dobra i zła, tak by niemożliwe

stało się przyjmowanie jakiegokolwiek prawa, które pochodzi spoza niego. Kto byłby posłuszny prawu Bożemu, ten przyjmowałby heteronomię – „prawo innego”. Tymczasem słuszną jest tylko „autonomia” – własne prawo moralne. Kantowską koncepcję, podobnie jak inne wykwyty myśli oświeceniowej, Kościół oczywiście odrzucił. Jednak zwłaszcza w przestrzeni niemieckojęzycznej trwały próby „ochrzczenia” Kanta, tak żeby przekształconą i pozornie schryzjanizowaną koncepcję autonomii moralnej przeszczepić na grunt katolicki. Swoją ostateczną wyraz teoretyczny znalazło to w książce Alfonsa Auera z 1971 r. wydanej pod tytułem „Autonome Moral und christlicher Glaube” („Autonomia moralna i wiara chrześcijańska”). Praca Auera stała się kanoniczną dla współczesnej progresywnej teologii moralnej. Jednym z najwybitniejszych uczniów Auera jest Walter Kasper, niemiecki kardynał i doradca Franciszka. Do niego jeszcze wrócimy.

W praktyce autonomia moralna była w Kościele głoszona już nieco wcześniej. Znalazło to odzwierciedlenie w sporach toczonych po opublikowaniu w 1968 r. encykliki „Humanae vitae” św. Pawła VI. Papież Montini przypominał katolikom, że stosowanie środków antykoncepcyjnych jest zawsze i bez wyjątku zakazane jako czyn wewnętrznie zły. W odpowiedzi na encyklikę oświadczenia z komentarzami do jej treści wydały liczne episkopaty na świecie. Niemcy w swojej „Deklaracji z Königstein” niby zgodzili się z Pawłem VI, ale zarazem przyznali wiernym prawo do samodzielnego decydowania, czy w ich wypadku norma ogólna zaprezentowana przez papieża aby na pewno obowiązuje. To samo zrobili Austriacy w „Deklaracji z Mariatrost”, zachęcając wiernych do przyjmowania Komunii Świętej bez spowiedzi (sic!), nawet jeżeli stosowaliby antykoncepcję, o ile tylko w sumieniu uznają, że... mogą. Kanadyjczycy w „Oświadczeniu z Winnipeg” wprost napisali, że „w zgodzie z przyjętymi zasadami teologii moralnej” jeżeli komuś nie udaje się zrealizować normy ogólnej, chociaż się starał – to ma się tym nie przejmować i mieć czyste sumienie. U źródeł tej kontestacji „Humanae vitae” stoi właśnie Kantowsko-Auerowska koncepcja autonomii moralnej.

W kolejnych latach i dziesięcioleciach koncepcja ta stała się przyczyną jeszcze

większej liczby buntów. Widząc spustoszenie siane przez ten błąd, św. Jan Paweł II w 1993 r. ogłosił encyklikę „Veritatis splendor”. O autonomii moralnej pisał tam wprost, oskarżając ją – obok innych kierunków myślowych – o doprowadzenie „do negacji prawdy – zawartej w Piśmie Świętym i w niezmiennym nauczaniu Kościoła – iż naturalne prawo moralne ma Boga za twórcę i że człowiek przez swój rozum uczestniczy w odwiecznym prawie, którego sam nie ustanawia”.

PRZEMYŚLEĆ WSZYSTKO

Stara zasada głosi: „Roma locuta, causa finita”. Co jednak, kiedy Roma w 1993 r. powie „nie”, a w 2013 r. „tak”? Wybrany na biskupa Rzymu Jorge Mario Bergoglio uczynił jednym ze swoich najbliższych doradców teologicznych auerianistę, kard. Kaspera. Kasper w 2012 r. opublikował w Niemczech książkę pt. „Barmherzigkeit: Grundbegriff des Evangeliums”, po polsku wydaną dwa lata później pod tytułem „Miłosierdzie. Klucz do chrześcijańskiego życia”. W „Miłosierdziu” Kasper zastosował pryncypia autonomii moralnej, by uzasadnić możliwość przystępowania do Komunii Świętej przez rozwodników w powtórnych związkach, nawet jeżeli żyją „jak mąż z żoną”, rezygnując z czystości. Kasper miał później decydujący wpływ na kształt adhortacji „Amoris laetitia”, która w powszechnym odbiorze stała się adhortacją „od rozwodników”.

W istocie jednak rewolucja, którą oferuje dokument, dotyka nigdy niekończącej się listy ludzkich działań. Komentując publikację adhortacji Franciszka, austriacki filozof Josef Seifert stwierdził, że to swoista „moralno-teologiczna bomba”, bo jeżeli zgodzimy się na odejście od normy ogólnej w takiej kwestii jak rozwody, to wkrótce uczynimy to samo wobec „homoseksualizmu, cudzołóstwa, antykoncepcji, aborcji, krwawej zemsty, kłamstw, oszustw”... To logiczne. Dlaczego naruszenie normy w jednym przypadku miałoby być uzasadnione „konkretem życia”, a w innym już nie? To właśnie Auerowska autonomia moralna.

Krótko po publikacji „Amoris laetitia” na całym świecie zaczęły mnożyć się propozycje zmian w nauce Kościoła. Najpierw dotyczyło to tylko rozwodni-

ków, dopuszczonych do Komunii Świętej przez kilka episkopatów. Jednak już w 2018 r. biskupi z Niemiec zaproponowali dopuszczanie do Komunii Świętej niektórych protestantów. Uzasadnienie? Normy dotyczące sumienia wyłożone w „Amoris laetitia”. W 2022 r. dokument legalizujący błogosławienie związków homoseksualnych wydali biskupi z belgijskiej Flandrii.

Na jakiej podstawie? „Amoris laetitia”. W sierpniu 2023 r. list zezwalający na to samo ogłosił metropolita Berlina abp Heiner Koch, powołując się niemal wyłącznie na... „Amoris laetitia”. Wcześniej książkę sugerującą zgodę na stosowanie antykoncepcji wydała Papieska Akademia Życia; jak mówił ks. Maurizio Chiodi, jeden z czołowych teologów zaangażowanych w jej powstanie, zmiany domaga się teologia zgodna z „Amoris laetitia”. Innymi słowy, potępiona przez św. Jana Pawła II autonomia moralna nagle stała się jakoby obowiązującą doktryną Kościoła. Więcej nawet – stała się całościowym paradygmatem, w którego świetle należy ponownie przemyśleć dosłownie wszystko. A przecież chodzi tu nie o jakiś partykularny pomysł Wojtyły, ale o koncepcję, której istotę Kościół odrzucał zawsze: ostatecznie rzecz dotyczy rzekomego uprawnienia człowieka do „separacji” swojego sumienia od Boga. „Amoris laetitia” rzeczywiście nie da się pogodzić z „Veritatis splendor”, dlatego watykańscy stratedzy „rewolucji duszpasterskiej” doszli do wniosku, że dokument św. Jana Pawła II trzeba po prostu napisać na nowo. W nowym pojawi się na pewno wiele cytatów z papieża Polaka, a usłudze komentatorów wskażą na „niesamowitą ciągłość i kontynuację”. Diabeł – diabeł właśnie – będzie tkwić w szczegółach; w pominięciu jednego, a dodaniu drugiego zdania.

Tak, żeby Niemcy mogli dopuścić do Komunii Świętej swoich protestantów, Papieska Akademia Życia będzie rozdáwać wszystkim prezerwatywy, a Belgowie błogosławić pary gejowskie. Tak Kościół może wyglądać już wkrótce – chyba że ktoś skutecznie upomni się o prawdę, o prymat prawa Bożego nad wolą człowieka. Na taki głos upomnienia – wciąż czekamy.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Author jest dziennikarzem i publicystą portalu PCh24.pl.



Jacek Komuda

Król Polski zgromadził flotę mogącą śmiało zostać nazwaną Bałtycką Armadą. Została rozproszona w sztormach, zniszczona w potyczkach i bitwach, podobnie jak 10 lat wcześniej hiszpańska Wielka Armada wysłana na podbój Anglii

Kiedy w listopadzie 1592 r. w Sztokholmie zmarł król Szwecji Jan III Waza, jego następcą został Zygmunt, król Polski i wielki książę litewski, który do dziś spogląda na nas z kolumny na warszawskim placu Zamkowym. Po rodzicu odziedziczył korony dwóch królestw – elekcyjnego i dziedzicznego. Chciał rządzić oboma, ale niebawem okazało się to niemożliwe; unia Rzeczypospolitej i Szwecji miała trwać niespełna osiem lat.

Zygmunt potrzebował zgody Sejmu, aby wyruszyć na pogrzeb ojca i koronację. Po uporządkowaniu spraw w Rzeczypospolitej przybył do Szwecji prawie rok później – w październiku 1593 r. Na początku poddani zgotowali władcy miłe powitanie, nawet Karol Waza, książę Sudermański, młodszy brat ojca, który sam myślał o koronie, wyszedł na powitanie bratanka. Niebawem jednak nastroje mocno się zepsuły. Przybyli z królem polscy dworzanie wzniesli bójki i pojedynki, okazało się też, że podczas nieobecności Zygmunta zapadły uchwały synodu w Uppsali, który zabraniał innowiercom przebywającym w Szwecji publicznego wyznawania swych kultów. Był to cios w katolickiego króla i jego otoczenie.

W MATNI

Interesy obu królestw okazywały się nie do pogodzenia. Nie chodziło nawet o spory terytorialne czy polityczne, ale o to, że każde państwo wymagało stałej obecności władcy na jego terenie, aby rozsądzał spory i wydawał decyzje. W dodatku Zygmunt był katolikiem, podobnie jak część jego dworzan i dorad-

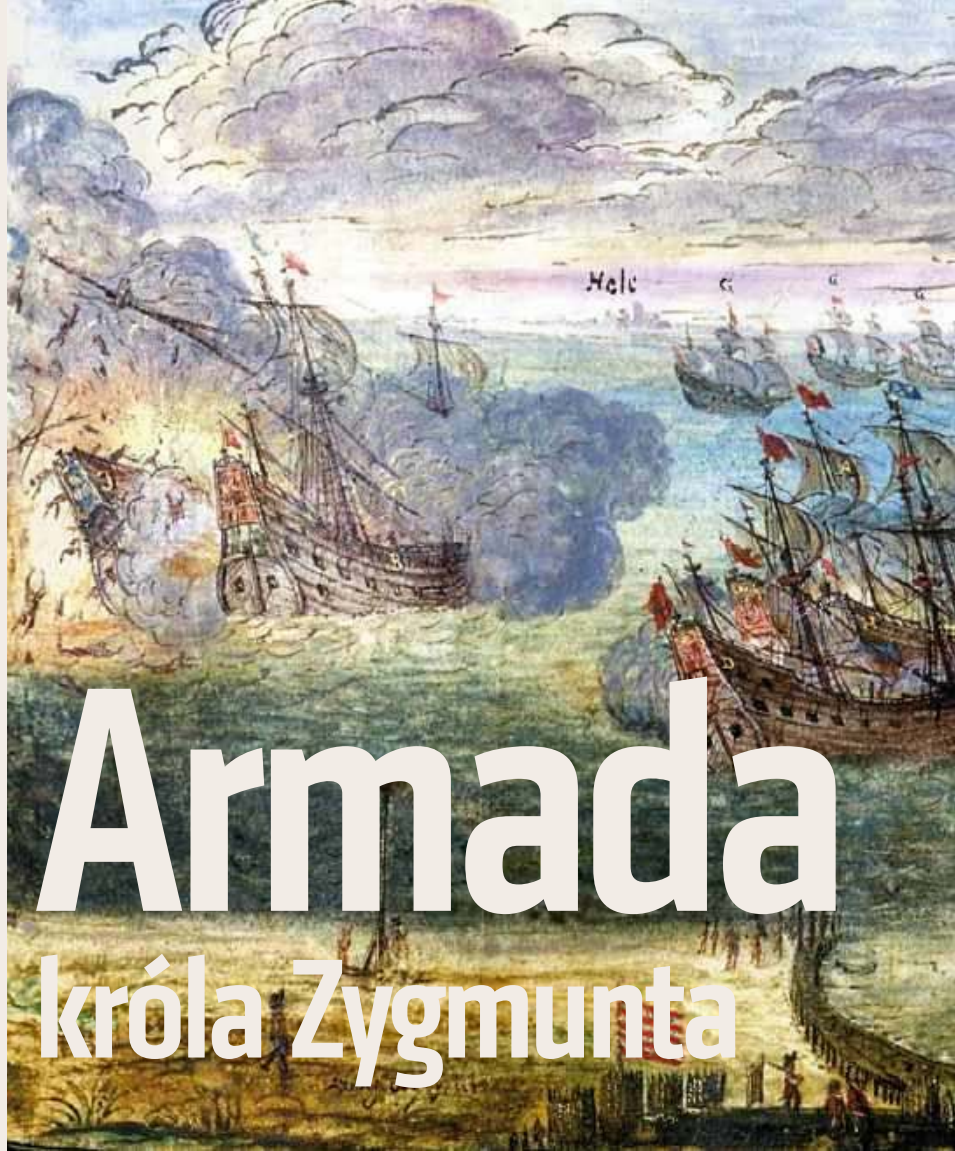
ców. Tymczasem senatorowie i szlachta w Rzeczypospolitej już w 1594 r. bez przerwy wzywali Zygmunta do powrotu z powodu zagrożenia tureckiego i niezadowolonych spraw moskiewskich.

Nie mogąc usiedzieć na dwóch tronach, Zygmunt przekazał zatem regencję w Szwecji stryjowi Karolowi, który odtąd zaczął podkopywać pozycję króla i 20 sierpnia wrócił do Rzeczypospolitej. Sam jednak nie przestrzegał umów ze szwedzkimi poddanymi, faworyzując katolików i nadając im wiele urzędów. To wszystko sprawiło, że Karol książę Sudermański podjął wiele działań przeciwko bratankowi i został przywódcą opozycji. Zrećennie podjudzał Szwedów, posługiwał się propagandą, rozpuszczał plotki jakoby w protestanckim królestwie miał zostać zaprowadzony katolicyzm. „Karol za ostatnim byciem Jego Królewskiej Mości w Szwecji udawał to głupiemu ludowi, że

hajduacy małe dzieci jedzą” – pisał o jego działaniach Janusz Radziwiłł.

W 1595 r. na parlamencie w Soderköping wystąpił przeciwko katolikom, którymi Zygmunt wbrew ustaleniom z Riksdagiem obsadzał urzędy. Uchwalono usunięcie ze Szwecji wszystkich papieżników, zamknięto klasztor Brygidek w Vadstena. Ostatnia przeorysza Karin Olofsdotter i siostry szukały wówczas schronienia w klasztorach w Gdańsku i w Lublinie.

Z kolei król Zygmunt był jak w matni – nie mógł opuścić Rzeczypospolitej ze względu na jej trudną sytuację polityczną i uporządkować szwedzkich spraw na miejscu. Wysłał więc poselstwo, które jednak nie załatwiło niczego. Kolejny Riksdag obradujący w Arboga w 1597 r. wezwał króla do powrotu do kraju, w którym książę regent, kreujący się na obrońcę protestantów przed katolickim królem z Polski,



Armada króla Zygmunta

Bitwa pod Oliwą (1627 r.)
ze sztambucha Heinricha Böhme
(1638 r.) FOT. PAN/BIBLIOTEKA KÓRNICKA



coraz bardziej stawał się suwerennym władcą i kolejnymi intrygami podkopywał i tak słabą pozycję Zygmunta Wazy.

BAŁTYCKA ARMADA

Zygmunt zaniepokojony objawami buntu postanowił zorganizować wielką ekspedycję do Szwecji. Udało mu się to dopiero w 1598 r. Wzięło w niej udział 85 statków, co w porównaniu z liczebnością hiszpańskiej Wielkiej Armady liczącej 130 jednostek morskich sprawiało wrażenie dużej siły. Pamiętajmy, że cała flota polska, która wzięła udział w bitwie pod Oliwą w 1627 r., liczyła zaledwie 10 jednostek, z czego tylko cztery galeony wojenne, szwedzka zaś sześć okrętów. Niestety, podobnie jak w przypadku sił Filipa II, armada Zygmunta III Wazy składała się tylko z sześciu okrętów wojennych. Pozostałe jednostki były statkami handlowymi, wynajętymi lub

zarekwirowanymi i przerobionymi na potrzeby wojenne.

Jakie to były jednostki? Dziś możemy się tego tylko domyslać. Przede wszystkim na pewno wojenne galeony, które pojawiły się pod koniec I połowy XVI w. i były budowane w całej Europie, od Portugalii do Szwecji. Trzymasztowe okręty, z wysoką, zwężającą się nadbudówką na rufie. W drugiej połowie stulecia pojawiły się zarówno małe, ale zwrotne jednostki w rodzaju angielskiego „Golden Hind” Francis Drake’a, o 1,5 tys. tonach wyporności, jak i wielkie królewskie galeony wojenne. Na przykład „Adler von Lubeck”, okręt flagowy hanzeatyckiej Lubeki, mający aż 1,5 tys. t wyporności, 64 m długości; obsługiwany przez 1 tys. marynarzy i żołnierzy piechoty morskiej.

Wydaje się jednak, że we flocie Zygmunta trafiały się raczej mniejsze galeony o wyporności od 150 do 300 t. Dobrym

przykładem takiego był „Smok”, zamówiony przez Zygmunta Augusta w Elblągu, nigdy niedokończony, ale zwodowany w 1571 r., którego model znajduje się dziś w Muzeum Morskim w Gdańsku.

Jeśli chodzi o zarekwirowane lub wynajęte jednostki handlowe, to większość z nich stanowiły zapewne fluty – statki handlowe o wyporności ok. 300 t, o charakterystycznej, obłej rufie i zwężającym się ku górze kadłubie, z wąskim górnym pokładem. Był to okręt wymyślony pod koniec wieku przez Holendrów i budowany z myślą o północnych morzach Europy, przede wszystkim handlowy, jednak uzbrojony w kilka lub kilkanaście dział; bez trudu towarzyszył potężniejszym galeonom na polach morskich bitew.

Kolejnym typem statku handlowego, który był powszechnie stosowany jako wojenny i być może wchodził w skład armady Zygmunta, była pinasa zwana w Polsce pinką. Mniejsza od fluty, o wyporności od 100 do 200 t, zwykle dwumasztowa, szybka i zwrotna. Pinki były używane w handlu aż do początku XVIII w. Co do ich wymiarów i daty budowy pierwszych statków tego typu panują wśród historyków różnice zdań, jednak niemal na pewno wchodziły w skład floty Zygmunta. Wprawdzie pierwsza angielska pinasa została zwodowana dopiero w 1586 r., ale statki tego typu wchodziły w skład hiszpańskiej Wielkiej Armady dwa lata później, musiały być więc budowane co najmniej od lat 80. tego stulecia.

Na wyprawę do Szwecji Zygmunt zaciągnął ok. 4 tys. żołnierzy zaciężnych – głównie piechoty niemieckiej, Szkotów i węgierskich hajduków, którymi dowodził Kasper Bekiesz. Do tego dochodziły jeszcze artyleria i zaciężna jazda królewska pod dowództwem Jana Weyhera, prawdopodobnie husaria lub konnica kozacka. Komendę nad tymi siłami sprawował Jerzy Farensbach, protestant, wybitny i doświadczony dowódca wojskowy.

Admirałem wielkiej floty król mianował Stena Axelssona Banéra, wiernego stronnika jeszcze jego ojca Jana, który po buncie księcia Karola przybył wraz z bratem Gustawem do Polski, stając się jednym z najważniejszych doradców Zygmunta.

Nowy dowódca z energią zabrał się do organizowania wyprawy i już 3 sierpnia 1598 r. ogromna jak na Bałtyk flota

ruszyła z Gdańska do Szwecji. Niestety, podobnie jak Wielka Armada hiszpańska, od razu jeszcze pod Helem napotkała fatalne warunki pogodowe i musiała schronić się przed sztormem. Dwa dni oczekiwano na poprawę pogody, dopiero 5 sierpnia adm. Banér obrał kurs na Bornholm, a stamtąd popłynął do zatoki Hano. Trzy dni później flota ostatecznie zgromadziła się w Cieśninie Kalmarskiej i stanęła pod twierdzą. Garnizon poddał się bez walki, 10 sierpnia Zygmunt wkroczył do miasta. Wkrótce bez walki opanowany został Sztokholm – Jan Łaski dokonał tam bowiem śmiałego desantu, niespodziewanie wpływając do portu i zajmując bez oporu zamek.

W ciągu kilku dni zatem poddała się i stanęła po stronie Zygmunta cała prowincja Smaland. Mieszkańcy zwołali pospolitę ruszenie i ruszyli z królem na Sztokholm. Tym samym armia królewska wzrosła do ok. 6–8 tys. żołnierzy, gdyż dołączyły do nich nie tylko chorągwie jazdy szlacheckiej z prowincji Smaland, lecz także posiłki z Östergötlandu i piechota przyprowadzona przez nielicznych stronników Zygmunta.

Droga okazała się trudna, bo spowalniana przez oddziały księcia Karola, które niszczyły mosty i pozostawiały zasięki ze ściętych drzew. Wówczas król – jak podaje Edmund Kosiarz – skierował flotę pod Stegeborg, zamek pomiędzy Kalmar a Sztokholmem. Sam przeniósł się na pokład jednego z okrętów.

I znów największą przeszkodą okazała się natura. Był koniec sierpnia, kolejne sztormy spowodowały straty i rozproszenie floty. 2 września przybyło tutaj tylko 28 statków z Zygmuntem, a dalsze 22 – pod Banérem – przypływały przez cały tydzień.

Stegeborg obsadzony przez stronników księcia Karola nie poddał się, a sam książę Sudermański wkrótce nadszedł z odsieczą. 8 września 1598 r. doszło do bitwy pod Stegeborgiem, gdzie najemnicy Zygmunta i jego jazda z łatwością rozproszyli wojska Karola. Jednak król zakazał ścigać przeciwników; nie chcąc rozpalać wojny domowej, pozwolił stryjowi ująć z matni.

Był to poważny błąd, gdyż Karol, książę Sudermański, błyskawicznie zgromadził jeszcze większe siły. Najpierw ściągnął pod twierdę 17 galeonów wojennych. 29 września zablokowały one



Gustaf Banér w noc poprzedzającą egzekucję, 19 marca 1600 r.

FOT. STIFTELSEN NORDISKA MUSEET

flotę Zygmunta w Stegeborgu. Ponieważ były to przede wszystkim dobrze uzbrojone okręty wojenne, Zygmunt zrezygnował z oblężenia i rozkazał przedrzeć się ostatkom swojej wielkiej floty na pełne morze. To przypiecztowało jej los. Liczne jednostki wpadły na skały, inne zostały rozproszone. Załogi angielskich żaglowców, zarekwirowanych w Gdańsku i zmuszonych do służby, zdradziły, pozostając na redzie i pozwalając, by przejęli je szwedzcy buntownicy. Tak wyglądał kres Bałtyckiej Armady Zygmunta III.

KLĘSKA POD LINKÖPING

4 października książę Karol zaatakował osłabione wojska bratanka pod Linköping. Bitwa miała specyficzny przebieg, bo rozegrała się w pobliżu dwóch mostów na rzece Stangan obsadzonych przez wojska królewskie. Na początku walki, o świcie, Węgrzy i Polacy schwytali szwedzkiego trębacza, który zdradził, że książę zamierza zawrzeć pokój. To uspiło czujność armii; tymczasem niespodziewanie buntownicy podeszli pod pozycje żołnierzy Zygmunta i ruszyli do szturm. Na początku Węgrzy i Niemcy odpierali kolejne ataki, już jednak w drugiej fazie bitwy doszło do zdrady – szwedzka jazda Zygmunta przeszła na stronę księcia Karola. Dodatkowo jeden ze zdrajców wysadził także zapasy prochu. Jednocześnie został ranny dowodzący królewską jazdą Jan Weyher, a Szwedzi przypuścili kolejny atak na mosty. Wówczas niemiecka piechota wycofała się na drugi brzeg, niszcząc przeprawę, pozostawiając po drugiej stronie rzeki węgierskich hajduków, Szkotów i artylerię. Armia Zygmunta poniosła ciężkie straty, została osaczona; sytuacja oddziałów była tak zła, że Zygmunt zdecydował się na rokowania.

9 października zawarty został układ w Linköping, który choć nie był zupełnie niekorzystny dla króla, to był jego największą klęską. Władca zadeklarował łaskę dla buntowników, zgodził się na rozpuszczenie żołnierzy; podobnie miał zresztą postąpić książę Karol, a wszystkie spory miał rozstrzygnąć Riksdag zwołany w następnym roku w Sztokholmie. Porażką Zygmunta okazało się jednak to, że musiał wydać i pozostawić w Szwecji na łasce księcia regenta swoich najważniejszych osobistych doradców i stronników: Gustafa Banéra, jego brata, adm. Stena Banéra, Ture Bielke, Erika Sparre oraz Jorana Knutsona Posse. Bez ich wsparcia nie mógł nawet myśleć o odzyskaniu pełni władzy. Po zaprzysiężeniu układu Zygmunta, jak podaje Henryk Wisner, wyznał towarzyszącym mu duchownym katolickim – Henrykowi Firlejowi i Eustachemu Wołłowiczowi – że przysięgając, „uczynił w myślach zastrzeżenie nieważności”, aby łatwiej było mu go w przyszłości zerwać.

Zdając sobie sprawę, że pozbawiony stronników i wojska nie ma szans na utrzymanie tronu, Zygmunt zdecydował się wrócić do Rzeczypospolitej po posiłki. Jednocześnie jednak obsadził Sztokholm i Kalmar wiernymi mu oddziałami zaciężnymi. Pod koniec października wyruszył do Gdańska z ostatnimi 24 statkami, które pozostały z jego wielkiej floty.

Tymczasem Szwedzi oblegli Kalmar, w którym bronił się Hans Sparre, oczekując na posiłki. Zygmunt desperacko próbował organizować pomoc. W listopadzie wysłał z Gdańska sześć okrętów pod wodzą Władysława Bekiesza. Po dwóch tygodniach przedzierania się przez sztormy tylko cztery z nich dotarły pod twierdę. Naprzeciwko siebie mieli Polacy trzy szwedzkie galeony wojenne i siedem pinas, jednak Bekiesz z prawdziwą węgierską fantazją nakazał atakować. Szwedzi odstąpili zaskoczeni i przerażeni, mała eskadra zaś przedarła się do portu, wzmacniając siły obrońców 100 hajdukami, zapasem prochu i żywności. Niestety, było to tylko przedłużenie agonii twierdzy. Cała Szwecja była już nastawiona wrogo przeciwko katolickiemu królowi, a arystokracja obawiała się wystąpić przeciwko księciu Sudermańskiemu, który dał się poznać jako niebezpieczny i podstępny władca.

W maju 1599 r. Zygmunt podjął jeszcze jedną próbę odsieczy – zgroma-

dził z trudem eskadrę liczącą dziewięć okrętów, jednak Szwedzi wystawili przeciwko niej o wiele liczniejszą flotę. Polacy wycofali się, pozostawiając bez wsparcia garnizon, który kapitulował 12 maja 1599 r.

Riksdag zwołany do Jönköping dał królowi cztery miesiące na powrót do Szwecji i zwołanie kolejnego zjazdu. Zygmunt jednak nie wrócił. Ostatecznie 24 lipca zgromadzenie pozbawiło go korony, ofiarowując ją jego małemu synowi Władysławowi, pod warunkiem wszakże, że ojciec przywiezie go do Szwecji i wychowa w wierze luteran-skiej.

Tymczasem klęską skończyła się ostatnia desperacka wyprawa Zygmunta pod koniec września, gdy król liczył na wybuch powstania. Osiem okrętów wojennych pod wodzą Nilssona Gyllenstierna za zgodą Danii przeszło przez Sund i zaatakowało Alfsborg, niestety, w Szwecji nikt nie stanął po stronie króla. Eskadra wycofała się zatem do Lubeki, gdzie została internowana i rozbrojona; okręt admirański wcześniej rozbił się na skałach.

Ostatecznie rok później Szwecja pozbawiła praw do tronu całą linię polskich Wazów. Królem został później regent Karol IX Sudermański, dając początek nowej linii Wazów. W marcu 1600 r. Zygmunt ogłosił inkorporację do Rzeczypospolitej Estonii, co spowodowało wybuch kolejnej wojny inflanckiej.

KRWAWA ŁAŻNIA

Wówczas dopełnił się los królewskich doradców i zauszników. 3 marca 1600 r. książę Karol powołał trybunał dla osądzenia i ostatecznej rozprawy z osobistymi wrogami. Sam wystąpił w roli prokuratora, oskarżając ich o zdradę i formułując oskarżenie składające się z 25 zarzutów – przede wszystkim zdrady państwa i sprowadzenia obcych wojsk.

Niektórzy z oskarżonych upadli na kolana, przyznali się do winy i zostali ułaskawieni. Pozostałych Riksdag skazał na śmierć. Doszło wówczas do wydarzeń, które w historii Szwecji zostały nazwane „Krwawą łaźnią w Linköping”, choć ostatecznie ścięto tylko czterech członków

szwedzkiej Rady Królestwa oraz jednego z wodzów wyprawy.

Egzekucję przeprowadzono w Wielki Czwartek 20 marca 1600 r. Gustaf Axelsson Banér i Erik Larsson Sparre zostali pozbawieni głów jako pierwsi. Sten Banér, który był świadkiem egzekucji obu, za każdym razem, kiedy kat opuszczał miecz, wykrzykiwał: „Niech spoczywa w pokoju dusza twoja!”. Następnie sam wystąpił naprzód, ukląkł i poprosił Boga o przebaczenie grzechów. Gdy zdjął ubranie, powiedział donośnym i wyraźnym głosem: „W Tobie pokładam nadzieję, Panie! Nie dopuść, abym był zawstydzony na wieki!”. Chwilę później spadła i jego głowa.

Później stracono jeszcze Ture Bielke oraz dowódcę posiłków wojskowych z Finlandii Bengta Falka. Krew skazańców oznaczała ostateczne załamanie prób Zygmunta III Wazy odzyskania korony, choć do końca życia on i jego synowie tytułowali się królami Szwecji, co stało się jedną z przyczyn potopu szwedzkiego w połowie XVII stulecia.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

KIEDY KOŚCIÓŁ NISZCZY KŁAMSTWA, NIE MOŻEMY MILCZEĆ

~~54,90 zł~~
41,90 zł

Czy papież Franciszek abdykuje?
Czy w Niemczech dojdzie do schizmy?
Co wydarzy się po synodzie i czy nasz Kościół nadal będzie katolicki?

NAJNOWSZA KSIĄŻKA TRZECH KATOLICKICH PUBLICYSTÓW DAJE OPARCIE W CZASIE ZAMĘTU

Zamów książkę na www.esprit.com.pl lub pod numerem telefonu 12 267 05 69.



LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

„Pedagogika wstydu” w PRL

Przez prawie pięć dekad komuniści w Polsce (mając całkowity monopol na wszelkie informacje) lansowali tezę, że tylko oni byli „postępowi”, a głoszona przez nich radykalna rewolucja miała być korzystna dla Polaków. Polscy niepodległościowcy pokazywani byli jako „reakcjonisci”, zaprzęży, zdrajcy, antysemita i winni rozpętania „wojny domowej w podziemiu” (a tego nie było), czyli podczas okupacji.

Jednak poza oficjalną sferą propagandową, na użytek ludu pracującego miast i wsi (tak to się onegdaj nazywało...) była też płaszczyzna wewnętrzna, gdzie można było trafić na szczere wynurzenia towarzyszy i towarzyszek, przeznaczone tylko na potrzeby partii. Przez porównanie tych sfer widać było jak na dłoni zakłamanie propagandy komunistycznej. Niestety, bardzo wiele roczników Polaków po 1945 r. zostało przepuszczonych przez takie młyny, które kruszyły fundamenty naszej narodowej tożsamości. Pojęcie „pedagogiki wstydu” (obecnie tak bardzo modne w ideologii lewicowej wszelkich odmian) wcale nie było obce komunistom, co więcej – to oni jako pierwsi wcielali je w życie, w dodatku skutecznie.

W takim ujęciu Polskie Państwo Podziemne i organizacje je tworzące (wojskowe i cywilne) miały przestać być powodem do dumy. Deprecjonowanie konspiracji

antyniemieckiej i jej osiągnięć miało na celu wytworzenie poczucia wstydu. Na placu boju miała zostać tylko szlachetna, nieskazitelna, bezkompromisowa orientacja komunistyczna. Wyrażało się to zarówno w dziedzinie „naukowej”, publicystycznej, jak i filmowej, literackiej – wszystko było podporządkowane jednemu celowi. To nic, że rozbieżność między ideologią i praktyką komunistyczną była ogromna, nie było bowiem gdzie wyrażać sprzeciwu i protestować.

Dlatego warto przypominać np. tużpowojenne słowa jednego z PPR-owskich i AL-owskich prominentów, który – nie mając się czym pochwalić – napisał, jak było naprawdę: „Zastanawialiśmy się nad tym, że byłem w organizacji, która miała walczyć z Niemcami, a mordowaliśmy Polaków i Żydów, ale mówiono nam, że walka z reakcją [AK] i NSZ jest ważniejsza niż walka z Niemcami, była to taka opinia partii [PPR], ale cicha” („kpt. AL.” Andrzej Flis „Maksym”, dowódca „kadrowego oddziału im. T. Kościuszki”, następnie szef sztabu i dowódca „I Brygady AL im. Ziemi Lubelskiej”).

Niech nas nie myli nomenklatura – to nie był polski oficer w stopniu kapitana, brygada była w istocie bandą, a nie wojskiem (choćby komunistycznym). A jej działalność? No właśnie, wystarczy się dokładnie wczytać w słowa tego watażki. ©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Popioły i nie tylko

Każdy poważny reżyser na pewnym etapie kariery dochodzi do momentu, w którym chce ekranizować klasykę literatury. Podobnie było z Andrzejem Wajdą – po sukcesach filmów opartych na współczesnych utworach („Pokolenie”, „Popiół i diament”) wziął na warsztat „Popioły” Żeromskiego.

Film wzbudzał niezdrowe emocje jeszcze przed premierą (25 września 1965 r.). Według „patriotów” spod znaku Mieczysława Moczara miał to być pamflet na „wartości narodowe”, natomiast według innych – filmowa metafora powojennego, oszukanego pokolenia. W prasie ukazywały się listy protestacyjne, głos zabierali politycy, inteligenci i robotnicy. I chyba o taką dyskusję właśnie Wajdzie chodziło.

„Nie wybieram do ekranizacji Sienkiewicza, tylko Żeromskiego – mówił w wywiadzie – bo nie interesuje mnie literatura zgody narodowej, literatura pogodzenia wszystkich ze wszystkimi [...]. Naszymi bohaterami są ludzie młodzi, niedojrzali, ludzie takiego »niedojrzałego« kraju, jaki odziedziczyliśmy i po pierwszej wojnie, i po pierwszej niepodległości. Ten młodzieniec jest bohaterem i »Ferdynand« i powstania warszawskiego. On jeszcze ciągle za nami idzie”.

Po „Popiołach” zekranizował jeszcze „Wesele” i „Brzezinę”, ale dopiero „Ziemia obiecana” przyniosła mu światowy rozgłos. Film ten, jako

pierwsza produkcja Wajdy, dostał nominację do Oscara, ale statuetki nie zdobył.

„Niechęć części Amerykańskiej Akademii Filmowej wywoływał rzekomy antysemityzm filmu – wspominał Daniel Olbrychski. – Co im tam, że Polak przedstawiony jest jak szuja. Zobaczyli tylko kilku skarykaturowanych Żydów, choć takich samych Żydów można dziś spotkać na Manhattanie przy którejś tam avenue. Członkowie Akademii jakoś nie spostrzegli, że najsympatyczniejszą postacią całego filmu jest Moryc Welt, Żyd grany kongenialnie przez Pszoniaka. Nie spostrzegli ubogich mieszkanców żydowskich slumsów, krzywdzonych przez zachłannego Polaka”.

Sukcesy w kraju zrekomensowały jednak niepowodzenie w Hollywood. Wprawdzie władze sugerowały, że należy „chwalić dzieło, nie twórcę”, ale Wajda nie mógł narzekać na brak naleśnów splendoru.

Cztery lata później przyszła kolejna nominacja do Oscara, którą tym razem uhonorowano „Panny z Wilka”. W Polsce pozostała ona jednak niemal zupełnie niezauważona, kończyła się bowiem „zima stulecia”, a kraj był pogrążony w ciężkim kryzysie gospodarczym. Wajda stracił zresztą poparcie władz, gdy w 1976 r. zrealizował „Człowieka z marmuru”. Do klasyki polskiej literatury powrócił z „Panem Tadeuszem”, a Oscara dostał ostatecznie w 2000 r. za całokształt twórczości. ©

HISTORIA
DORZECZY

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!



WSCHODNIA GRANICA POLSKI W OGNIU!

Jak II RP poradziła sobie
z sowieckimi atakami
hybrydowymi

Lekcja Korpusu Ochrony Pogranicza – zdecydowane działania Warszawy ośłodziły zapędy Moskwy

Malarska zemsta Zamoyskiego – obraz zamówiony u Jana Matejki miał być rewanżem po trzech wiekach...

Atomowa gorączka '83 – NATO-owskie ćwiczenia „Able Archer” zelektryzowały ZSRR

Krzyż i półksiężyc na Lewancie – wspomnienia Usamy ibn Munkiza idą w poprzek popularnym wyobrażeniom o pograniczu islamsko-chrześcijańskim

Książęce tajemnice – Zamek Książ w Wałbrzychu ma długą i fascynującą historię usianą skandalami

„Prigożyn” Lenina – Paweł Dybienko zrobił zawrotną karierę w partii bolszewickiej, mimo że zorganizował bunt przeciw... Leninowi

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



Koniec Europy bliski?



Witold Repetowicz

Najazd 10 tys. afrykańskich migrantów na włoską wyspę Lampedusa w ciągu dwóch dni to klasyczny przykład użycia broni demograficznej. Tunezja zareagowała w ten sposób na „troskę” Parlamentu Europejskiego o stan demokracji w tym północnoafrykańskim kraju. Jednak kryzys ten jest przede wszystkim rezultatem polityki multi-kulti i „refugee welcome”

Rosnąca dramatycznie presja migracyjna na Europę jest efektem nakładających się na siebie przyczyn naturalnych oraz sztucznej stymulacji. Z jednej strony Afrykańczyków jest po prostu coraz więcej, a zasobów wody i jedzenia – coraz mniej. W połowie XX w. w Afryce Subsaharyjskiej mieszkało mniej niż 200 mln osób, podczas gdy obecnie liczba ta przekroczyła już 1,2 mld. Tylko od 2015 r., gdy wybuchł największy dotąd kryzys migracyjny, populacja Afryki Subsaharyjskiej zwiększyła się o 230 mln osób. To więcej, niż wynosiła

liczba ludności tego regionu 70 lat temu i ponad połowa obecnej populacji UE. Afrykański walec demograficzny nie ma jednak zamiaru zwalniać i za 25 lat przybędzie kolejny miliard mieszkańców terenów na południe od Sahary.

Z drugiej jednak strony różne autorytarne reżimy wykorzystują rosnący potencjał demograficzno-migracyjny do stymulowania strumieni migracyjnych po to, by wymuszać na Europie (UE lub poszczególnych państwach) ustępstwa polityczne i finansowe. Jest to klasyczny schemat weaponizacji migracji, który można było zaobserwować w 2015 r.,

gdy Turcja uderzyła migrantami na Europę, by wymusić na niej przyznanie pomocy na zbrodnicze metody użyte w ramach pacyfikacji trwającego wówczas kurdyjskiego powstania, a także wyłudzić z Brukseli 6 mld euro, rzekomo na „pomoc dla uchodźców”. Pieniądze i ustępstwa polityczne były też motywem, choć nie jedynym, białorusko-rosyjskiej operacji „Śluza”, czyli skierowania przez reżim Łukaszenki sztucznie sformowanego strumienia migracyjnego przeciwko Polsce.

Tymczasem w połowie lipca br. Komisja Europejska zawarła umowę z rządem Tunezji dotyczącą powstrzymywania przez służby tego kraju migracji z Afryki Subsaharyjskiej, w zamian za wsparcie finansowe (czytaj: haracz) w postaci 250 mln euro. Deal ten wpisywał się w filozofię słynnego Paktu Migracyjnego, który wywołuje tyle kontrowersji w Polsce ze względu na tzw. mechanizm solidarnościowy, czyli wybór między „nieprzymusową” relokacją a finansową karą (okupem). Pakt ten zakłada współpracę z krajami trzecimi w powstrzymywaniu migracji pod warunkiem, że



Migranci na włoskiej wyspie Lampedusa, 17 września 2023 r.

FOT. ZAKARIA ABDELKAFI/AFP/EAST NEWS

względem na metodę. Tunezyjska forma push-backów polega na wypychaniu ich z powrotem na pustynię, co raczej przesądza ich los, i to w dość okrutny sposób. Kilka miesięcy temu hitem Internetu było nagranie sondy ulicznej w tunezyjskiej telewizji. Jeden z pytaných, starszy, elegancko ubrany Tunezyjczyk, stwierdził, że migranci z Afryki Subsaharyjskiej są „obcy kulturowo” i on ich zna, bo jego dziadek „nimi handlował”. Sam tunezyjski prezydent w kwietniu 2023 r. mówił o „hordach nielegalnych imigrantów”, będących źródłem przemocy, nieakceptowalnych praktyk i przestępstw, a także o „kryminalnym planie zmiany kompozycji krajobrazu demograficznego Tunezji”.

UE oczywiście doskonale wiedziała o tym wszystkim, gdy zawierała umowę z tunezyjskim prezydentem Kaisem Saiedem, a Ursula von der Leyen wraz z premierem Niderlandów Markiem Rutte i premier Włoch Giorgią Meloni pozwali z nim do zdjęcia. To właśnie Meloni najbardziej naciskała na ten deal i był to jeden z głównych warunków zgody Włoch na pakiet migracyjny. Problem w tym, że gdy tylko UE się na ten układ zgodziła, od razu postanowiła go storpedować. Konkretnie zrobiły to Parlament Europejski oraz unijny ombudsman Emily O'Reilly. Jeszcze przed podpisaniem porozumienia migracyjnego miała miejsce debata na temat ograniczeń demokracji i praw człowieka przez rządzącego Tunezją od 2019 r. Kaisa Saieda, a w kwietniu zorganizowana została misja badawcza Parlamentu Europejskiego, która potwierdziła pogarszającą się sytuację pod tym względem w Tunezji. Jest to oczywiście fakt. W lipcu 2021 r. prezydent dokonał zamachu stanu, rozwiązując parlament, a następnie zmienił system polityczny, konsolidując władzę i prześladowując przeciwników. O tym UE też doskonale wiedziała, podpisując z nim deal. Ale nim jeszcze atrament zdążył wyschnąć na papierze, na porozumienie rzucili się z krytyką eurodeputowani z frakcji lewicy, zielonych, socjaldemokratów i liberałów.

We wtorek 12 września odbyła się kolejna debata w Parlamencie Europejskim, w czasie której eurodeputowani twierdzili, że porozumienie nie działa, a jedynie wzmacnia dyktatorskie rządy Saieda. Postanowiono też wysłać kolejną

misję badawczą, złożoną z eurodeputowanych Europejskiej Partii Ludowej, socjaldemokratów i lewicy, by zbadała stan demokracji w Tunezji. Jednocześnie O'Reilly zażądała od Komisji Europejskiej informacji, jak zamierza zagwarantować przestrzeganie praw człowieka wobec migrantów w Tunezji w związku z zawartym dealem. Jednak władze Tunezji nie wpuściły europejskiej delegacji, a zamiast tego wyruszyła stamtąd flotyła złożona z 200 łódek, które przetransportowały ok. 10 tys. nielegalnych imigrantów na włoską wyspę Lampedusa. Warto dodać, że potencjał tego strumienia jest znacznie większy, bo według doniesień z sierpnia na wybrzeżu tunezyjskim koczowało 80 tys. osób. Ale to jest zaledwie niewielki ułamek tego, co może się stać, jeśli kanał przez Tunezję zostanie udrożniony, migrantami nie są bowiem Tunezyjczycy, lecz mieszkańcy Afryki Subsaharyjskiej. W połowie roku komisarz Johansson informowała, że na 45 tys. nielegalnych migrantów, którzy wypłynęli z Tunezji do Włoch w tym roku, tylko 5 tys. miało tunezyjskie obywatelstwo.

EUROPEJSKA SCHIZOFRENIA

Migranci subsaharyjscy przybywają do Tunezji przez Libię i Algierię, ale nie pochodzą z tych państw, lecz z krajów położonych dalej na południe. Bezpośrednim południowym sąsiedztwem Afryki Północnej jest przy tym Sahel, czyli region, który w ostatnich latach znajduje się coraz bardziej pod wpływem Rosji. Po puczach w Mali, Burkina Faso i Nigerze pojawili się tam wagnerowcy, czyli rosyjscy najemnicy. Są oni zresztą obecni również w Sudanie oraz Libii, które w koncepcjach UE mają blokować napływ migrantów z Etiopii, Erytrei, Somalii i innych państw Afryki Wschodniej. Również Algieria ma bardzo bliskie relacje z Rosją i podobnie jak sąsiednie Maroko nie wahała się w ostatnich czasach szantażować Europy migrantami. Żądania Maroka i Algierii są przy tym sprzeczne, bo te państwa się nie lubią, w szczególności ze względu na spór o Saharę Zachodnią. Ale co to może obchodzić Europejczyków? Niestety, może. Gdy w maju 2021 r. Hiszpania przyjęła na leczenie lidera sahrauijskiego Frontu Polisario (uznawanego przez Maroko

są one „bezpieczne”. To zastrzeżenie jest jednak oczywistą fikcją. Już wcześniej UE zawierała umowy z takimi krajami jak Sudan czy Niger i wiadomo było, że metody stosowane przez te państwa są często zbrodnicze. W Sudanie część środków trafiała zresztą do słynnego bandyty, tj. „generała” Mohameda Hamdana Degało, odpowiedzialnego za liczne zbrodnie w Darfurze i Chartumie oraz wspierane przez rosyjskich wagnerowców.

CO Z POROZUMIENIEM?

Nie jest żadną tajemnicą, że arabska Afryka Północna ma do czarnoskórej ludności Afryki Subsaharyjskiej stosunek rasistowski. Jest to konsekwencja wielowiekowej tradycji polowania na niewolników. W Libii, w której powiązane z rządem w Trypolisie dżihadystyczne milicje również dostają wsparcie UE na powstrzymywanie migracji, migranci po prostu trafiają na targ niewolników, są torturowani i zabijani. Tunezja jest bardziej cywilizowana, ale i tam nikt nie zwraca uwagi na prawa człowieka, jeśli chodzi o migrantów, a większość społeczeństwa chce się ich pozbyć bez

■ za separatystyczny i terrorystyczny), niemalże natychmiast nastąpiła inwazja migrantów na Ceutę i Melillę, hiszpańskie enklawy w Afryce Północnej. Natomiast gdy Hiszpania zerwała wszelkie kontakty z Frontem Polisario, to służby marokańskie z niezwykłą brutalnością spacyfikowały migrantów próbujących sforsować ogrodzenie graniczne Ceuty.

Problem w tym, że reakcją na interwencję służb marokańskich była masowa krytyka, która pojawiła się w mediach europejskich. Podobnie jak obecnie w przypadku Tunezji dała o sobie znać europejska schizofrenia, polegająca na tym, że gdy kraje północnoafrykańskie nie powstrzymują migrantów, to jest źle, a gdy to robią, to jeszcze gorzej. Zapewne brukselscy urzędnicy chcieliby, aby wszystko to odbywało się w białych rękawiczkach, wszyscy byli uśmiechnięci i nie dochodziło do żadnych aktów przemocy, tyle że taka utopijna wizja jest po prostu całkowicie oderwana od realiów. Im dalej od Europy dochodzi do powstrzymywania migracji, tym odbywa się to za pomocą metod brutalniejszych. Ale daleko, daleko, za siedmioma wydmami, gdzie nikt nie widzi, to niech zdychają gdzieś na pustyni, wyprowadzeni tam przez opłaconych przez Brukselę powstrzymywaczy migracji. Żadna Agnieszka Holland nie pojedzie tam przeciw z kamerą. Potem spokojnie ci sami ludzie będą mogli pójść na seans „Zielonej granicy” i uronić łezkę nad losem Ibrahima, płynącego w lodowatej wodzie rzeki Bug, oskarżyć polską Straż Graniczną o zbrodnie, a następnie hejtować Polskę i jej „rasistowskie władze”.

Podobnie zresztą jest z Włochami i próbami zwalczania tzw. ekip ratunkowych na Morzu Śródziemnym. Grupy te, które pod płaszczykiem akcji ratunkowych de facto prowadzą przerzut migrantów na masową skalę, w większości są z Niemiec. Gdy tylko podejmowane są jakiekolwiek działania przeciwko nim, np. blokady portów dla ich statków z wylowionymi migrantami, podnoszą się głosy oburzenia, oskarżające krytyków tych organizacji o nieludzkie podejście i chęć doprowadzenia do masowych utonień. Tyle że dane pokazują, że im więcej akcji ratunkowych na Morzu Śródziemnym, tym więcej utonień, bo więcej osób wypływa na lichszych łódkach, wręcz tratwach, antycypując „ratunek” jeszcze na

wodach terytorialnych państw, z których wyruszyli. Oczywiście w takich wypadkach „organizacje ratunkowe” nie odwożą ich do najbliższego portu, ale do Włoch.

Później Niemcy, które nie tylko nie ściągają tych organizacji, lecz także oburzają się na ich zwalczanie, wymyślają relokację jako najlepszy sposób na rozwiązanie problemu. Teraz nazywać się to ma „mechanizmem solidarnościowym” i polegać ma na zmuszaniu innych państw do płacenia

230 mln osób

O TYLE ZWIĘKSZYŁA SIĘ POPULACJA AFRYKI SUBSAHARYJSKIEJ OD 2015 R.

okupu za nieprzyjęcie migrantów. Tyle że statystyki pokazują, że nie będą oni relokowani do Niemiec czy Francji i kraje te nie będą też płacić wspomnianego okupu. O ile bowiem do Włoch dopłynęło w tym roku ok. 120 tys. migrantów, o tyle w Niemczech w pierwszym półroczu złożonych zostało 162 tys. wniosków o ochronę międzynarodową, a na koniec roku oczekuje się, że liczba ta przekroczy 300 tys. Oczywiście Niemcy nie są z tego zadowoleni, ale nie przeszkadza im to w krytykowaniu Polski za zdecydowaną obronę zewnętrznej granicy UE i zachwycaniu się filmem Holland. Warto przy tym podkreślić, że uciekający przed wojną Ukraińcy formalnie nie mają statusu uchodźców, lecz podlegają ochronie czasowej i na tej podstawie mają pozwolenia pobytu. To powoduje, że, wbrew szerzonej często narracji, nie jest wcale oczywiste, że ich przyjmowanie zwalniać będzie od „mechanizmu solidarnościowego”.

ZAPOBIEC KOLEJNYM INWAZJOM

W tym kontekście nie bez znaczenia jest to, że Giorgia Meloni nie jest z jednej z mainstreamowych grup politycznych, lecz z Europejskich Konserwatystów i Reformatorów, czyli tej samej frakcji co PiS. Jej wybór nie spotkał się, delikatnie mówiąc, z entuzjazmem Brukseli, a jej upadek wielu eurokratom sprawiłby wiele radości. Również doprowadzenie do napięć między Włochami a Polską na

tle relokacji byłoby na rękę Brukseli. Przy czym Meloni wcale nie chce „mechanizmu solidarnościowego” w postaci okupu, gdyż problemem Włoch nie są pieniądze, tylko migranci. Warto jeszcze wspomnieć o jednej kwestii. Choć od lat wiadomo, że bieda i konflikty w Afryce prowadzą do gigantycznego przyrostu naturalnego i jeszcze większej biedy oraz konfliktów, to Europa nie wpadła na żaden pomysł, jak to rozwiązać, poza znanym z 2015 r. hasłem „refugee welcome”, wmawianiem, że nielegalni migranci to „uchodźcy”, oraz próbami stworzenia nowych konstrukcji prawnych typu „uchodźcy klimatyczni”, by zalegalizować jeszcze większe strumienie migracyjne z Afryki.

Najazd 10 tys. migrantów na zamieszkaną przez 6 tys. Włochów Lampedusę to jest po prostu inwazja, która uniemożliwia mieszkańcom tej wyspy normalne życie. Włochy oczywiście muszą przenieść tych migrantów w głąb kraju, ale to udroźni kanał i zachęci do dalszej migracji. Tymczasem pojawiają się już sugestie, że „rozwiązaniem” może być udzielenie większego wsparcia organizacjom pozarządowym, ratującym migrantów na Morzu Śródziemnym, co jest absurdalnym gaszeniem pożaru benzyną.

W tej sytuacji możliwe są tylko trzy opcje. Pierwsza to blokada morską przy użyciu marynarki wojennej i wskazane byłoby, gdyby była to operacja międzynarodowa. Wątpliwe jednak, by UE to wsparła, bo gdy tylko pierwsza łódź zatoni, to pojawi się żądanie, by siły uczestniczące w tej operacji ratowały migrantów. A potem, jak już dotrą do Europy, to większość z nich w niej zostanie. Jeśli Włochy same użyją siły przeciwko migrantom na morzu, to będzie taka nagonka na Meloni, że zrobią z niej potwora. Drugą opcją jest zamknięcie ust krytykom dealu z Saiedem i kontynuowanie opłacania haraczy autorytarnym reżimom, tyle że wiąże się to z coraz większymi żądaniem. Europa zostanie po prostu zakładnikiem. Trzecia możliwość to natomiast zwinienie interesu pod nazwą Europa, otwarcie drzwi na oścież i pogodzenie się z tym, że w ciągu kilkunastu, maksymalnie kilkudziesięciu lat dziesiątki, o ile nie setki milionów Afrykańczyków zaleją Europę i kontynent ten stanie się aneksem Czarnego Łądu.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. HENNING BAGGER/EPAP

SZTUKA PRZED SĄDEM

Dwa lata temu głośno zrobiło się o artyście Jensie Haaningu. Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Kunstn w Danii poprosiło go o odtworzenie jego dwóch wcześniejszych prac – stworzonych z banknotów przymocowanych do płótna. Przekazało na ten cel 534 tys. koron duńskich (ponad 330 tys. zł). Artysta przesłał muzeum dwie puste ramy. Stwierdził, że to część dzieła „Bierz pieniądze i uciekaj”. Sąd w Kopenhadze nakazał teraz Haaningowi zwrot 490 tys. koron. Pozostałe 40 tys. (w przeliczeniu 25 tys. zł) artysta może sobie zatrzymać jako honorarium za projekt „Bierz pieniądze i uciekaj”.

WALCZĄC O KLIMAT, ZATRULI RZEKĘ

Aktywiści klimatyczni z francuskiej organizacji Extinction Rebellion postanowili wyrazić sprzeciw wobec zakopania w dawnej kopalni Wittelsheim toksycznych odpadków. W kilku miejscowościach zabarwili wodę na zielono. W Colmar wleli barwnik do rzeki. Władze miasta poinformowały, że doszło do skażenia, które objawiło się m.in. śniętymi rybami.

ZAPOWIEDŹ ODBUDOWY ZSRS

Zastępca przewodniczącego Dumy państwowej w wywiadzie dla rosyjskich mediów stwierdził, że okupowane przez Sowieków kraje „nielegalnie” odłączyły się od Związku Socjalistycznych Republik Sowietkich. Jewgienij Fiodorow zaznaczył, że jego kraj będzie musiał walczyć ze wszystkimi państwami, które były częścią Związku, aby go odbudować. Dodał, że właśnie na Ukrainie Rosja zaczęła „jednaczyć ZSRS”.

OBYWATELE, POMÓŻCIE ZNALEŹĆ F-35

W Karolinie Północnej nagle z radarów wojskowych zniknął myśliwiec F-35. To jedna z najnowocześniejszych maszyn, kosztująca 90 mln dol. za sztukę. Służby natychmiast rozpoczęły poszukiwania wraku. O pomoc poproszono też okolicznych mieszkańców. Dzień później udało się zlokalizować szczątki samolotu. Okazało się, że pilot zdołał się katapultować – ranny trafił do szpitala.

POZWAŁ SZPITAL, BO OGLĄDAŁ PORÓD

Pan Anil Koppula pozwał szpital w Melbourne (Australia). Powód? Lekarze pozwolili mu obserwować poród żony. Ponieważ potrzebne było cesarskie cięcie, pan Koppula – jak dowodził – zobaczył „narządy wewnętrzne i krew”. Uznał, że to doprowadziło go do upośledzenia psychicznego, i zażądał miliona dolarów odszkodowania. Sąd odrzucił pozew. ©

Łukasz Zboralski



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Zgoda na czipy w mózgach

Ekscentryczny miliarder Elon Musk wkrótce będzie mógł rozwijać nową pasję, a przy okazji zyska szansę na wyjątkowo lukratywny biznes. Należący do niego start-up Neuralink poinformował o uzyskaniu oficjalnej zgody niezależnej komisji rewizyjnej na rozpoczęcie rekrutacji do pierwszych badań klinicznych na ludziach, dotyczących implantów mózgowych.

Firma szuka już ochotników, którym w części mózgu odpowiadającej za kontrolowanie zamiaru ruchu umieszczony zostanie zaawansowany interfejs mózg-kom-

puter. Jeśli inwazyjna operacja się uda, a do tego pacjent ją przeżyje, zaczipowani ochotnicy będą mogli kontrolować kursor myszki oraz pisać na klawiaturze wyłącznie za pomocą myśli.

Na początek implanty mają zostać wszczepione pacjentom cierpiącym na porażenie czterokończynowe, uszkodzenia rdzenia kręgowego lub stwardnienie zanikowe boczne (ALS). Sukces testów mógłby kompletnie odmienić życie chorych.

Firma Neuralink planuje rozwijać technologię i za pomocą czipów wszczepianych do mózgów pacjentów leczyć również takie

schorzenia jak autyzm, depresja czy schizofrenia.

Nowa technologia budzi ogromne kontrowersje. Dotychczas testy prowadzone były jedynie na zwierzętach. Jak podają zachodnie media, przez błędy autorów badań wiele zwierząt było narażonych na niepotrzebne cierpienia. Nie wszystkie przeżyły też te eksperymenty. Między innymi z tego powodu Agencja ds. Żywności i Leków początkowo odmawiała zgody na badania kliniczne na ludziach. Na wdrożenie tej technologii na szerszą skalę potrzeba wielu lat...



Jan Bogatko
z Berlina

Coraz mniej Niemców chce pracować. Albo chce krócej pracować. Najlepiej za tę samą płacę. Islamscy osadnicy też za pracę raczej się nie rozglądają. Wystarcza im wysoka zapomoga. I drobne zajęcia „u brata”. Niemcy, do niedawna mistrzowie solidności, żegnają się z etosem pracy

Wedel. Miasto w Szlezwiku-Holsztynie. To pierwsza gmina w Niemczech, w której w urzędach wprowadzono czterodniowy tydzień pracy. Miasto zapewnia, że nie oznacza to wcale, iż się mniej pracuje, a tylko krócej. Krytycy podnoszą, że i tak urzędnicy przekładali jedynie papiery z kupki na kupkę. Miasto z kolei podkreśla, że będzie atrakcyjniejsze dla pracowników. Bo rąk do pracy brakuje.

Także niemieckie przedsiębiorstwa rozważają wprowadzenie czterodniowego tygodnia pracy. Z tych samych powodów co ratusz w Wedel. Ponieważ w Niemczech elastyczność na rynku pracy jest drobiazgowo regulowana, przystąpiono do realizacji „wielkiego projektu” reformy czasu pracy. Próbnny model uruchomiono w lutym tego roku. Objął on ponad 50 przedsiębiorstw pod nadzorem naukowców z renomowanych uniwersytetów, o czym poinformował portal (nomen omen) UTOPIA.

Z badań niemieckiego instytutu WSI (Wirtschafts- und Sozialwissenschaftliches Institut w Düsseldorfie, zbliżony do związków zawodowych) wynika, że aż 81 proc. Niemców na pełnych etatach marzy o czterodniowym tygodniu pracy. Najlepiej z takim samym wysokim wynagrodzeniem jak dotychczas (tak uważa 73 proc. badanych). Zaledwie 8 proc. Niemców przystałoby na mniej dni pracy, ale z obniżonym wynagrodzeniem. Zdecydowana większość uważa, że za mniej nie da się w ogóle pracować.

Ciekawa jest opinia o projekcie ze strony tych niemieckich pracowników,



Czy się stoi, czy się leży

FOT. ADRIEN STOCK/JAN

k którzy odrzucają czterodniowy tydzień pracy. Prawie 90 proc. z tej nielicznej grupy podaje, że odczuwa radość z pracy. Inni utrzymują, że nic w takim systemie nie zmienia obciążenia pracą, a nawet uważają, że ono wzrośnie. Wreszcie nie brak takich, którzy sądzą, że nie wykonają swych zadań w krótszym czasie. Połowa Niemców, sceptycznie nastawiona do projektu, twierdzi zgoła, że nie może sobie pozwolić ze względów finansowych na taki luksus. Inni nie wiedzą, co zrobić z tak długim czasem wolnym od pracy.

GENERATION HARZ IV

Problemu tego nie zna Generation Harz IV. Harz IV to zasiłek socjalny, wprowadzony w Niemczech 1 stycznia 2005 r. i łączący zapomogę dla długotrwale

bezrobotnych z pomocą socjalną. Peter Hartz, jego pomysłodawca, to socjalista i działacz związkowy z Kraju Saary, wieloletni członek zarządu koncernu Volkswagena (opuścił go w związku z procesem o malwersację, w którym został skazany).

1 stycznia 2023 r. Harz IV został zastąpiony tzw. świadczeniem obywatelskim. To w zasadzie pensja za to, że jest i się nie pracuje. Do tego będzie od przyszłego roku wyższa niż kiedykolwiek w przeszłości. I nie wynika to jedynie z inflacji (ta lekko spadła w lipcu i wyniosła 6,2 proc.). Pensja za nic wzrośnie w 2024 r. z 502 euro miesięcznie do 563. To dla osób samotnych. Niepracujące rodziny otrzymują rzecz jasna więcej. Do tego dochodzą dodatki na dzieci, przy

których polskie „800+” to jałmużna: od 2025 r. wyniosą one aż do 636 euro na pierwsze i 530 na każde kolejne dziecko. Islamskie rodziny, wychodzące na spacer z trojgiem dzieci idących za matką i z jednym w wózku, żyją tu na ziemi obiecanej.

Panie i panów odbierających pensje za nieświadczanie pracy spotykam codziennie (gdy nie pada deszcz) na ławkach przy Theaterplatz w zachodnim Zgorzelcu. Pod barbakanem. Obok kiosku z napojami.

„Bild” bije na alarm! Największy tabloid w Niemczech we wrześniu zamieścił materiał Floriana Kaina pt. „Większość Niemców mówi: praca się już nie opłaca”. I nie wynika to wcale z zazdrości ze strony tych, którzy mają pracę i dwa razy w roku jadą na wakacje na Wyspy Kanaryjskie czy do Turcji. Przeciętnego Hansa Mustermanna (to taki niemiecki odpowiednik Jana Kowalskiego) złości fakt wielkiej – bo o 61 euro miesięcznie – podwyżki dla niepracujących. Niemcy przeliczają miesięczne podwyżki na roczne i mówią, co za to można kupić lub dokąd wyjechać na wakacje letnie lub zimowe. „To bardzo wysokie alimenty” – uważa ponad połowa Niemców przebadanych przez instytut badania opinii publicznej INSA. Zauważają, że osoby zatrudnione na stanowiskach opłacanych wedle płacy minimalnej (ok. 1450 euro miesięcznie) nie zarabiają więcej niż uprzywilejowana klasa niepracujących. Zdaniem 52 proc. Niemców praca się nie opłaca!

Innego zdania są współrządzący Zieloni. Ich wyborcami są lepiej zarabiający Niemcy. Długo pracowali na ten sukces. To oni doprowadzili m.in. do podwyżek cen energii elektrycznej, by produkowane przez nich wiatraki stały się opłacalne w eksploatacji. Teraz żyją jak pączki w maśle i zajmują się wysokodochodową „ochroną klimatu”. Jednak i tu pojawiają się głosy krytyczne – skoro jedynie 61 proc. z nich uważa, że praca się mimo wszystko opłaca.

Pirat (kanclerz Scholz po tajemniczym wypadku z okiem à la Mosze Dajan) na razie nie zabrał głosu w tej sprawie. Nie wyklucza się jednak, że zabierze. Tymczasem rozgłos zyskał pewien pracownik magazynu spedycji w Bad Oeyenhausen. Czy praca się opłaca? Szef firmy, Horst Kottmeyer, odpowiada na to pytanie

krótko i zwięźle: nie. Jego magazynier zwolnił się z pracy. Na łamach gazety „Bild” Kottmeyer opowiada: „Kolega przyszedł do mnie i bez słowa złożył wypowiedzenie z pracy. Powodem swej decyzji pracownik podzielił się z kolegami z magazynu: wolę żyć z pomocy, do tego trochę popracować na czarno. Wtedy będę miał na rękę 300 euro więcej, niż pracując w spedycji”.

Wielu pracowników o niskich dochodach nie ma w kieszeni więcej pieniędzy niż niepracujący beneficjenci socjalistycznego państwa. Oto przykład: jeśli osoba samotna zarabia na godzinę 12 euro, to jej miesięczne dochody wynoszą ok. 2 tys. euro brutto. Po odliczeniu podatków, opłat socjalnych i kosztu

Wielu młodych ludzi woli zostać na kanapie przed telewizorem niż pracować

najmu mieszkania (np. 600 euro miesięcznie) osobie tej zostaje w portfelu ok. 860 euro (na energię, telefon, jedzenie i inne wydatki). Bez pracy uzyskaby ona 502 euro wsparcia Bürgergeld (przed zapowiedzianą podwyżką), do tego gmina przejęłaby koszt mieszkania (600 euro w tym przykładzie). Czyli świadczenie ze strony państwa (znaczy podatników) wyniosłoby co najmniej 1102 euro.

RODZINNE KLANY PRZYBYSZÓW

Niemcy wcale się nie dziwią, kiedy widzą – bo to się rzuca w oczy – że nowi osadnicy, programowo wielodzietni, nadal zwani nie wiadomo dlaczego uchodźcami, do podjęcia pracy się nie palą.

Wyjątkiem jest zajęcie zarobkowe w rodzinnym klanie, jak np. w Berlinie. Jest ono wprawdzie nieregularne, ale nie obciążone podatkami. Arabskie gangi w Berlinie, zwane klanami, to paramilitarne organizacje przestępcze. Rosną ustawicznie w siłę, uskarża się na nie policja, ale nikt nie słucha tych ostrzeżeń.

Największy z nich to klan Al-Zein. Ma ponad 10 tys. członków w wielu europejskich państwach, głównie w Niemczech (jego usługi to narkotyki, prostytutka,

wymuszenia, napady). Szef klanu, zwany „Ojcem chrzestnym z Berlina”, Mahmoud Al-Zein, który przybył do Niemiec jako tzw. uchodźca, od 2021 r. mieszka w Turcji. Kandydaci do tego klanu forsują dzisiaj umocnienia na granicy z Białorusią.

„German Dream” się skończył. Po-budka okazała się dla Niemców bolesna. Niemcy za nic mają lewicowy rząd kanclerza Scholza. To najmniej popularny rząd w Niemczech po wojnie. Barometr tendencji politycznych RTL/n-tv bada co tydzień nastroje Niemców. 80 proc. ankietowanych w nim twierdzi, że rząd nie dba o naprawdę ważne sprawy. Magazyn „Stern” pyta nawet: Czy Niemcy spisali już rząd na straty?

Niemcy są rozczarowani jak nigdy wcześniej. Młodzi nie mają dziś szans na kupno domu. To byłby luksus. Koszty utrzymania biją wszelkie rekordy, więc wynajęcie mieszkania pożera sporą część dochodów. Nawet pracownicy powyżej trzydziestki, na pełnych etatach, zamieszkują w komunach mieszkaniowych, bo nie stać ich na samodzielne cztery ściany. Na wsi jest taniej, ale praca jest w mieście. Nie zawsze łatwo da się dojechać, zwłaszcza kiedy do jezdni przykleją się członkowie ekosekty.

Wielu młodych ludzi woli zostać na kanapie przed telewizorem niż pracować. Niemcy jeszcze jadą na opinii pracowitego narodu, ale to mit coraz częściej obnażany przez niemieckie media. Niemiecka potęga, poddana lewicowym eksperymentom gospodarczym (energetyka) i społecznym (ideologizacja), więdnie.

Sporo firm emigruje za granicę – tam, gdzie niższe podatki i obciążenia socjalne i więcej pracowników. Tylko z powodu braku personelu Lufthansa odwołała w pierwszym półroczu 34 tys. lotów! Związki zawodowe (które też przyczyniły się do tej sytuacji żądaniem podwyżek płac) przestrzegają przed poważnymi konsekwencjami tego stanu rzeczy dla Niemiec. Starzeje się armia urzędników państwowych, jedyna z prawdziwego zdarzenia w Niemczech. Przechodzą na emeryturę, a narybku brak. Coraz bardziej brakuje policjantów, urzędników skarbowki, pracowników ratusza. W służbie publicznej jest wolnych 360 tys. etatów. Niemieckiemu państwu grozi zawał.

**Z Marcinem Horałą,
sekretarzem stanu
w Ministerstwie Funduszy
i Polityki Regionalnej,
pełnomocnikiem
rządu do spraw CPK
rozmawia Karol Gac**



KAROL GAC: Spółka Centralny Port Komunikacyjny (CPK) kupiła do tej pory ponad 1 tys. ha gruntów pod budowę lotniska w wyniku Programu Dobrowolnych Nabyć. To sukces?

MARCIN HORAŁA: Oczywiście. To, że jest program dobrowolnych nabyć, jest bezprecedensowe w inwestycjach publicznych w Polsce. Wcześniej właściwie jedyną możliwością pozyskania gruntów była procedura wywłaszczenia. W naszym przypadku PDN rozpoczął się prawie trzy lata temu i z czasem zaczął przypominać lawinę. Zamknęliśmy zgłoszenia dla pierwszego etapu inwestycji i zrealizowaliśmy nasze założenia. Wydaje się, że przynajmniej dwie trzecie gruntów będzie przejętych na podstawie dobrowolnych nabyć.

Tymczasem opozycja zarzuca wam, że budujecie CPK na krzywdzie ludzi.

Poruszamy się w alternatywnej rzeczywistości. Koalicja Obywatelska wpisała do swoich konkretów, że zostaną zatrzymane bandyckie wywłaszczenia i nastąpi zadośćuczynienie ludziom. Tyle że nie było żadnych wywłaszczeń. Nie bardzo więc wiem, co politycy PO mają na myśli. Oczywiście jest pewna grupa mieszkańców, określiłbym ich mianem aktywistów, która sprzeciwia się inwestycji. Duża część z nich jest zaangażowana politycznie po stronie PO, co widać po ich mediach społecznościowych. Robią szum, występują jako „poszkodowani mieszkańcy”, co głównie ma charakter polityczny. Jeśli zaś chodzi o ogół mieszkańców, to odzew jest albo pozytywny, albo neutralny.

Inna rzecz, że zawsze przy tego typu inwestycjach będzie grupa niezadowolonych osób. Nie da się dogodzić wszystkim.

To prawda. Dlatego procedura wywłaszczenia za godziwe pieniądze jest obecna w polskim prawie od kilkudziesię-

Marcin Horała podczas prezentacji koncepcji architektonicznej terminala CPK
FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER



Nie było żadnych wywłaszczeń

sięciu lat. Podobnie jest we wszystkich krajach cywilizowanego świata. Bez tego nie można byłoby zrobić żadnej większej inwestycji. Staramy się jednak o to, by zastosować ją jak najpóźniej i w jak największym wymiarze. Tym bardziej że PDN jest o wiele korzystniejszy, bo przy negocjacjach możemy proponować lepsze warunki.

Wydaje się, że to jeden z głównych powodów, dla których PDN jest tak popularny. Ludzie nie dość, że nie tracą, to mogą jeszcze realnie zarobić.

Generalna wskazówka to +20 proc. do wyceny gruntu i +40 proc. do budynków, ale jest też przestrzeń do negocjacji. Samo to, że ludzie sprzedają grunty, pokazuje, że oferta jest dobra. Ostatecznie, gdy ktoś podejmuje decyzję o swoim życiu i majątku, to odkłada na bok emocje i analizuje racjonalnie.

Z jednej strony politycy opozycji dość jednoznacznie wypowiadają się na temat CPK i wskazują, że zatrzymają ten projekt. Z drugiej, na liście 100 konkretnych PO napisano tak: „zweryfikujemy projekt Centralnego Portu Komunikacyjnego”. Jak pan na to patrzy?

Długa historia polskiej polityki pokazuje, że na jakiejkolwiek deklaracje PO i Donalda Tuska należy patrzeć przynajmniej z przymrużeniem oka. Rzeczywiste decyzje zależą od czegoś innego niż obietnice wyborcze, jak np. od spotkania z kanclerzem Niemiec. Niewątpliwie nie można mieć poczucia bezpieczeństwa – które powinniśmy mieć w dojrzałym, cywilizowanym kraju – pod tym względem, że taki proces inwestycyjny, strategiczny dla państwa, siłą rzeczy rozłożony na wiele kadencji, będzie kontynuowany, gdy zmieni się władza. Uważam, że można spodziewać się tu różnych zawirowań, choć pytanie brzmi, jak dalekich.

Z jednej strony ten proces inwestycyjny jest mocno zakorzeniony w wymiarze międzynarodowym. Wspomnijmy, że sam CPK i wiele inwestycji kolejowych jest wpisanych do sieci bazowej transeuropejskiej sieci transportowej TENT. Są to zobowiązania, które podejmują poszczególne państwa członkowskie na rzecz tego, by ta sieć mogła sprawnie funkcjonować. Ponadto nie da się ukryć, że jest to projekt, który mógłby posłużyć jako flagowy przykład, dlaczego występują napięcia w naszych relacjach z Niemcami.

To znaczy?

Piętnaście czy 20 lat temu Polska była biednym krajem i model kraju współzależnego, w którym są u nas np. montownie, był do pewnego stopnia dla Polski korzystny. Przy bardzo wysokim bezrobociu i niskim poziomie zamożności to, że ludzie mieli pracę, nawet za jedną trzecią stawki niemieckiej, było ważne. Natomiast Polska, rozwijając się, wchodząc na poziom 80 proc. zamożności unijnej i mając ambicje, by go przekroczyć, zaczęła wychodzić z tego modelu, bo tego się nie dało w jego warunkach zrobić. W tym paradygmacie w Warszawie powstaje centrala konkurencyjna wobec tej w Berlinie i zaczyna się gra o sumie zerowej, bo ktoś ten rynek weźmie: my albo oni.

W Polsce nie mamy np. hubowego międzykontynentalnego lotniska o potrzebnej przepustowości. Lotnisko Chopina zajmuje miejsce w czwartej dziesiątce w Europie i nie obsługuje tego rynku w sposób wystarczający. Polacy potrzebują latać po całym świecie i będą tego coraz bardziej potrzebować. Skoro nie ma takiego lotniska w Polsce, to jest poza nią, czyli np. we Frankfurcie i w Monachium. Jeżeli zbudujemy CPK, to przynajmniej dla Polski przeniesiemy ten segment rynku, bo będzie taniej. Druga rzecz to polski rynek lotniczego cargo, który w ponad 80 proc. jest obsługiwany poza Polską. Siłą rzeczy jest to więc gra zero-jedynkowa. W efekcie powstaje obawa, czy jak mamy twarde niemiecki interes, który jest sprzeczny z polskim, to czy PO wybierze ten drugi. Historia pokazuje, że niekoniecznie.

Urząd Lotnictwa Cywilnego zaprezentował niedawno prognozę ruchu lotniczego na lata 2022–2040. W wariantie bazowym w 2025 r. przewidywane jest obsłużenie 54,5 mln pasażerów, a w roku 2040 – 96,4 mln. To chyba wskazuje na bardzo duży potencjał polskiego rynku?

Oczywiście, że tak. Planując CPK, przyjęliśmy prognozę Międzynarodowego Zrzeszenia Przewoźników Lotniczych (IATA), której wnioski są bardzo podobne. Jeśli spojrzymy na polski rynek lotniczy sprzed pandemii, a właśnie do niego wracamy, to widać, że organiczny potencjał wzrostu polskiego rynku lotniczego jest ogromny. Dlaczego? Polacy statystycznie nadal latają rzadziej niż obywatele państw Europy Zachodniej.

Obecnie w Polsce to mniej więcej jeden lot w roku na osobę. Tymczasem mieszkańcy Europy Zachodniej latają dwa–trzy razy do roku. Jeżeli zakładamy, że Polska będzie doganiać ten poziom zamożności, a tak się dzieje, to wychodzi, że polski rynek lotniczy osiągnie liczbę ponad 100 mln pasażerów w niezbyt odległej perspektywie. To z kolei oznacza, że musimy podwoić naszą infrastrukturę do obsługi tych pasażerów. Nie mówiąc już o tych, którzy zostaną przyciągnięci.

Na CPK wydajemy wyłącznie publiczne pieniądze, co oznacza, że musimy robić test prywatnego inwestora. Co roku jest aktualizowany i co roku pokazuje, że CPK będzie zyskowny. W biznesie lotniczym duże znaczenie ma efekt skali. Koszt działania lotniska publicznego jest dość sztywny i to niezależnie od tego, ile samolotów jest obsługiwanych. Natomiast przychód jest idealnie skalowalny, bo jest od pasażera lub operacji lotniczej, stąd małe lotniska są trwale deficytowe, a duże są bardzo dochodowe. W skali Polski szacuje się, że taką barierą jest niemal milion pasażerów rocznie, by lotnisko mogło wyjść na swoje.

W koncepcji CPK wyraźnie zaznaczono, że ruch cywilny będzie przeniesiony z Lotniska Chopina na CPK. Jaką w takim razie funkcję w przyszłości ma pełnić port na Okęciu? Chodzi o nieduże miejskie lotnisko podobne do London Airport City? Czy może o port, który ma obsługiwać wyłącznie połączenia krajowe? A może o lotnisko dla maszyn rządowych i wojskowych?

Ta decyzja dopiero przed nami. Analizujemy obecnie różne warianty. Moment podjęcia decyzji i tak nastąpi dopiero wtedy, gdy CPK zostanie uruchomiony. Prawdą jest jednak, że oba lotniska nie mogą funkcjonować obok siebie, bo by się wzajemnie kanibalizowały. Zupełnie inna sytuacja jest z Modlinem i Radomiem, które obsługują odmienny segment rynku. W przypadku Okęcia i CPK mielibyśmy typową konkurencję, co byłoby kuriozalne. Taka sytuacja doprowadziłaby zresztą do zamknięcia i likwidacji Okęcia w sposób niekontrolowany, bo byłoby ono starsze i gorsze. Zresztą taka sama sytuacja bratobójczej rywalizacji dwóch dużych lotnisk przesiadkowych miała miejsce w Montrealu, który pokazywany jest jako flagowy przykład porażki projektu. Główny, komercyjny ruch



Koncepcja terminala CPK FOT:CPK SP. Z O.O.

Lotniczy trzeba w sposób zaplanowany przenieść na CPK, by zapewnić ciągłość pracownikom i firmom. To jest przesądzone od kilku lat. Jednak politycy opozycji w kłamliwy sposób próbują przekonywać, że przeniesienie ruchu lotniczego = likwidacja lotniska = wyprzedaż gruntu. To absolutna nieprawda.

Termin otwarcia CPK został ustanowiony na 2028 r., czyli za pięć lat. Wydaje się niezwykle ambitny. Czy patrząc z dzisiejszej perspektywy, nie jest wręcz niemożliwy do spełnienia? Zgodnie z harmonogramem budowa CPK powinna właśnie ruszać.

Harmonogram rzeczywiście jest bardzo ambitny. Jednak każdy, kto np. budował dom jednorodzinny, wie, że nie zawsze wszystko idzie zgodnie z założeniami. Przy tej skali przedsięwzięcia możliwości ryzyka rosną wykładniczo. Kiedy krystalizował się harmonogram kilka lat temu, to np. założyliśmy, że decyzja środowiskowa będzie w 2023 r. – i jest. Lada moment będzie decyzja lokalizacyjna. Prace budowlane też się już rozpoczęły, choć może nie są one aż tak spektakularne, jak wielu obserwatorów by chciało. Nie ma jednego miejsca, gdzie można pokazać np. 100 koparek, bo prace są bardzo rozproszone. Co jednak bardzo ważne, dotychczas dotrzymujemy harmonogramu.

Z drugiej strony pewne spowolnienie także może mieć swoje plusy. Na przykład zmiana projektu w czasie jego realizacji to jeszcze większe

ryzyko. Spółka CPK nauczyła się sporo z problemów lotniska pod Berlinem?

Przyspieszanie projektu generuje ryzyko, ale opóźnianie również. Oczywiście z biznesowego punktu widzenia per saldo lepiej budować szybciej niż wolniej. Problemy lotniska w Berlinie są powszechnie znane i można je podzielić na trzy grupy. Po pierwsze, Berlin Brandenburg nie był w rzeczywistości budową nowego lotniska, a de facto bardzo głęboką przebudową istniejącego. To powodowało wiele ograniczeń technologicznych i formalnych. Po drugie, w Berlinie było zbyt wielu interesariuszy, czego przy CPK udało się uniknąć. W Niemczech było trzech głównych interesariuszy, którzy mieli rozbieżne interesy, co komplikowało cały proces. U nas jest jasne, że to inwestycja polskiego rządu. Po trzecie, Berlin Brandenburg był budowany wbrew – a przynajmniej obok – narodowemu przewoźnikowi, który swoje bazy ma w Monachium i we Frankfurcie. Podczas budowy okazało się, że trzeba było zarzucić pierwotne plany. Tego wszystkiego staramy się unikać.

CPK to nie tylko ogromne lotnisko, lecz także sieć szybkich kolei. Co panowie tym, którzy z jednej strony uważają, że CPK jest potrzebny, ale z drugiej widzą obecną rzeczywistość na kolei i mają, delikatnie ujmując, sceptyczne podejście, czy to się w ogóle uda? Przypna pan, że prezentowana wizja może być dla wielu po prostu abstrakcyjna.

To pewien paradoks, bo obserwując obecne, potężne niedomagania kolei

w Polsce, jest to jeden z koronnych argumentów, by tę inwestycję zrealizować. W ostatnich latach wydaliśmy ok. 90 mld zł na kolej. Czy powiedzieliśmy, że efekt jest satysfakcjonujący? No, nie. Modernizacja, przebudowa, choć często niezbędne, mają także określony limit. Czasem jest też tak, że musimy wydać ogromne nakłady, by utrzymać obecny stan. Nie przeskoczy się pewnego poziomu, nie budując nowych linii kolejowych. Polski system komunikacyjny, zwłaszcza kolejowy, nigdy nie był zaprojektowany jako spójna całość pod cywilne potrzeby gospodarcze Polski. To mozaika historycznych zaszczości. Potrzebujemy tysięcy nowych linii kolejowych w Polsce. Jeżeli zakładamy tak dynamiczny rozwój kraju jak dotychczas, to powoduje to, że potrzeby przewozowe będą rosły. Do tego musimy zrestrukturizować nasz transport. Obecnie dominuje transport kołowy, który stanowi ok. 80 proc. przewozów. To oznacza, że trzeba przestawić się na inne tory – i są ku temu solidne podstawy. Można się „zamodernizować na śmierć”, co wcale nie musi przynieść efektów. Skoro potrzebujemy nowych połączeń, to jest to dobry moment, by budować je porządnie.

Przejdźmy do bieżącej polityki. Trwa kampania wyborcza. Podstawowym scenariuszem dla Zjednoczonej Prawicy są rządy samodzielne?

Myszę, że tak. Jeszcze dwa-trzy miesiące temu niektórzy mogliby się pukać w czoło, ale tendencja jest dla nas całkiem dobra. Oczywiście nie można osiadać na laurach i witać się z gąską, ale jest to możliwy scenariusz. Trzeba tylko solidnie pracować.

Nie ma pan wątpliwości, że jeśli PiS może przegrać, to najszybciej sam ze sobą?

W Polsce mamy bardzo poważny problem z opozycją. Żeby demokracja w kraju funkcjonowała prawidłowo, to niezbędna jest sprawna i merytoryczna opozycja, która przedstawia lepszą alternatywę, w efekcie czego także rządzący się starają. Obecnie opozycja nie prowadzi kalkulacji z punktu widzenia interesu narodowego, ale jakiegoś innego, zewnętrznego. Do tego dochodzi strategia totalnej opozycji, co jest niezwykle szkodliwe. Wierzę jednak, że 15 października odniesiemy sukces.



KONFERENCJA

„Wolność sumienia i ideologia LGBT”

TYTUŁY PANELI:

**REWOLUCYJNE PRZYSPIESZENIE.
KTO I DLACZEGO CHCE NARZUCIĆ POLSCE
AGENDĘ LGBT?**

**TO NIC TAKIEGO? SEKS-EDUKACJA
W POLSKICH SZKOŁACH**

**WATYKAN W CIENIU TĘCZOWEJ GWIAZDY.
CZY KOŚCIÓŁ STANIE PO STRONIE
REWOLUCJI LGBT?**

**RODZINA – OSTATNI BASTION
KONTRREWOLUCJI?**



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Długa seria z obietnicomatu

Iluż to z nas – polskich wyborców – zostało w ostatnich dniach ostrzelanych długą serią z obietnicomatu? Długą serią obietnic z obietnicomatu?

Spamiętanie choćby części z tych obietnic – a co dopiero wszystkich – którymi bombardują nas dziś politycy wszystkich partii, którzy uparli się, by wygrać nadchodzące wybory, stało się zadaniem ponad siły nawet dla tych wyborców, którzy są młodzi, obdarzeni dobrą pamięcią i przy tym nieźle wykształceni. A cóż mają począć wyborcy gorzej wykształceni i do tego wiekowi, nawet jeśli nie dopadła ich jeszcze starcza demencja?

Obietnice padają bowiem już nie tylko podczas konwencji partyjnych, czyli raz, najwyżej dwa razy ze strony każdej partii podczas jednej kampanii. O, nie – dziś każdy ważniejszy polityk każdej partii na co dzień porusza się z własnym obietnicomatem, co i rusz wystrzeliwując zeń tyle obietnic, ile uzna za stosowne. Bo to jest totalna wojna na obietnice.

A na partyjnych konwencjach padają one już nie całymi dziesiątkami, a całymi setkami – jak ostatnio na konwencji Koalicji Obywatelskiej, gdzie politycy przeprowadzili po prostu dywanowe bombardowanie obietnicami, zrzucając na wyborców naraz 100 „konkretów”.

Kto jest w stanie się w tym połapać i porównać obietnice poszczególnych partii dla

poszczególnych grup wyborców? Emerytów, rolników, rodzin z dziećmi i bez dzieci, ludzi marzących o własnym mieszkaniu?

Na domiar złego z pełnym rozmysłem obietnice te są prezentowane nie odpowiednio wcześniej – na tyle, by dać wyborcom szansę na zapoznanie się z nimi i ich przemyślenie. Nie, celowo przedstawiane są w ostatniej chwili – właśnie dlatego, żeby nie dać wyborcom na to szans, a konkurencji – na przebicie tych obietnic podobnymi, tyle że jeszcze bardziej wyśrubowanymi; tak jak obietnica „kredytu mieszkaniowego 0 proc.” ekipy Tuska była „szybką odpowiedzią” na obietnicę „kredytu mieszkaniowego 2 proc.” ekipy Kaczyńskiego.

Główne, a przy okazji często rujnujące dla budżetu państwa obietnice przedstawiane są tak późno także dlatego, by utrudnić ekspertom obnażenie prawdziwej ceny, jaką będą one niosły ze sobą dla kieszeni polskich podatników, czyli wyborców. I utrudnić przekazanie im tej wiedzy.

Politycy doprowadzili więc do sytuacji, że w powodzi obietnic nawet najabsurdalniejsze z absurdalnych zaczynają być przez wyborców traktowane na równi z tymi, które mają sens. A to oznacza, że dziś można obiecać wszystko wszystkim, bo i tak niemal nikt nie zdoła się w tym połapać.

Czyż to nie jest wyborcze oszustwo doskonałe? ©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

„Mizera”

Mizera” – takie przezwisko bardzo szybko nadano Izercze, projektowi „polskiego samochodu elektrycznego”. Bez cudzysłowu nie da się tego ostatniego sformułowania pisać, bo wkrótce stało się jasne, że jego polskie pochodzenie będzie bardzo umowne.

Zwolennicy pomysłu, który pojawił się niedługo po objęciu władzy przez PiS i wyszedł z kręgów Mateusza Morawieckiego, przekonywali, że Polska też może produkować

bardzo zaawansowane, a Polacy, mówiąc delikatnie, nie pałają entuzjazmem wobec elektromobilności, jest wyrzucaniem pieniędzy w błoto. Czas przyznał im rację. PiS rządzi od ośmiu lat, projekt Izery zwanej „Mizera” jest nadal w powiśniętych, a potwierdzeniem wszystkich kierowanych pod jego adresem krytycznych uwag jest raport pokontrolny Najwyższej Izby Kontroli, który został upubliczniony w ubiegłym tygodniu.

NIK nie mogła – ze względu na tajemnicę przedsiębiorstwa – ujawnić całości wniosków, ale to, czego się dowiedzieliśmy, wystarczy. Mamy zatem wskazanie na niegospodarność w wydawaniu środków publicznych, na gigantyczne opóźnienia w harmonogramie projektu oraz na ogólne wielkie ryzyko związane z przedsięwzięciem. NIK posługuje się nieco ezopowym językiem charakterystycznym dla tej instytucji, ale czytając o ustaleniach Izby, można powiedzieć wprost: im szybciej zamknie się ten poroniony projekt, tym lepiej. Może jeszcze uda się jakieś pieniądze uratować.

Dlaczego „Mizera” to wręcz idealny wzór porażki? Odpowiedź jest prosta: bo od początku nie było to przedsięwzięcie rynkowe, ale państwowe. Pomysł nie przedsiębiorców, ale polityków. Ćwiczyliśmy to już wiele razy, a w PRL – cały czas. Jak widać – wciąż za mało. ©

„Mizera” to idealny wzór porażki, bo od początku nie było to przedsięwzięcie rynkowe, ale państwowe

nowoczesne auta, a kto się temu sprzeciwia, woli pewnie oddać pierwszeństwo Niemcom. Argument z Niemców pojawia się w takich sytuacjach zawsze, a już szczególnie gdy wchodzi w grę obrona jakiegoś wyjątkowo absurdu projektu.

Przeciwnicy wskazywali, że ruszanie z produkcją elektrycznego auta praktycznie od zera w momencie, gdy wielkie koncerny są na tej drodze

Twoja Domena, Twoja Tożsamość Online!



Odkryj idealną domenę internetową w naszej ofercie!



Unikalne i zapadające w pamięć adresy online na sprzedaż.



Zdobądź swoją przestrzeń w sieci już teraz!



Atrakcyjne ceny – wejdź na domenę aby sprawdzić cenę, złożyć ofertę lub skontaktować się z nami.

Lista atrakcyjnych domen na sprzedaż:

[pilka24.pl](#)

[korba.pl](#)

[kulisy.tv](#)

[pitbul.pl](#)

[bloxpert.pl](#)

[wik24.pl](#)

[jakitaki.pl](#)

[ocen.pl](#)

[cgmk.pl](#)

[ituba.pl](#)

[blogzone.pl](#)

[ototrend.pl](#)

[ototred.pl](#)

[otostyl.pl](#)

[infotuba.pl](#)

[infotuba.eu](#)

[bokserek.pl](#)

[newspr.eu](#)

[capital-point.pl](#)

[capital-point.eu](#)

[newspr.pl](#)

[wik.com.pl](#)

[ototredy.pl](#)

[trafnie.pl](#)

[gretix.eu](#)

[ituba.com.pl](#)

[czytajozdrowiu.pl](#)

[poczytajozdrowiu.pl](#)

[gardenoffood.de](#)

[garden-of-food.com](#)

[ototrendy.pl](#)

[rytmzdrowia.pl](#)

[swiatkorzysci.com](#)

[swiatkorzysci.pl](#)

[swiatkorzysci.com.pl](#)

[adfreezer.pl](#)

[gardenoffoods.com](#)



Torując sobie drogę przez tłum, szedł powoli, sztywny w swoim weimarskim kołnierzyku pod szyję, z upięsienionymi dłońmi w rękawiczkach bez palców. Siwe włosy zaczesane w ogonek, twarz upudrowana, oczy zasłonięte ciemnymi okularami. Strzegli go dwaj ochroniarze odpychający napierającą elegancką cizbę.

To było latem 2002 r. w Paryżu na imprezie na dachu Centre Pompidou, urządzonej z okazji kolekcji, którą Karl Lagerfeld zaprojektował dla sieci H&M. Pierwsza taka współpraca i ewenement: on, cesarz elitarnego domu mody Chanel, daje nazwisko masówce. Byłam wśród zaproszonych dziennikarzy, ale dostęp do mistrza był limitowany. Spotkaliśmy go jeszcze tylko raz, gdy pokazywał swoją bibliotekę liczącą podobno 300 tys. tomów. Każdy podobno czytał.

Zmarł pięć lat temu na raka trzustki, zostawiając po sobie pracownice skonstruowany wizerunek własny. Ascety, który nie pije, nie pali, nie używa narkotyków, chodzi wcześniej spać i zaznaje „splendid isolation”, dostępnej dla wybranych. Podróżuje prywatnym samolotem, po mieście nigdy nie spaceruje. W czasie inauguracji kolekcji dla H&M wyjąwił, że nigdy nie był w żadnym ze sklepów sieci.

Pracując dla Chanel (z wynagrodzeniem 10 mln euro rocznie), stał się gwiazdą niemal większą niż jego poprzedniczka – oczywiście z zachowaniem proporcji i różnic współczesnego biznesu mody i sytuacji za życia Chanel. Zarzucał mu, że w kółko powtarza te same motywy, charakterystyczne dla Chanel: tweedowe kostiumy, grę naszyjników z perłami, dwukolorowe czarno-beżowe buty, małą czarną sukienkę. Że do znudzenia powtarza i przerabia słynną pikowaną torebkę nr 55 – ale ona dzięki niemu stała się jedną z najmodniejszych, najbardziej pożądanych i najdroższych torebek świata. Poza materialnymi znakami flagowymi marki Karl przejął od swojej poprzedniczki także cechy charakteru i zachowania: upodobanie do samotności, namiętność do książek, obsesję odchudzania, beczelność i prostolinijność. Jego cytaty i powiedzonka stawały się równie sławne jak te, którymi sypała wkoło Chanel. I równie idiotyczne. „Jestem nimfomanem, który nigdy nie dochodzi do orgazmu”. „Homoseksualizm to coś zwykłego, jak kolor włosów”.



FOT. ANTONIO DE MORAES BARROS FLUJO/WIREIMAGE/GETTY IMAGES

Trudna sukcesja



Joanna Bojańczyk

Spadek po Karlu Lagerfeldzie jest równie nieprzenikniony jak jego wzrok zza okularów. Ile projektant miał lat i co po sobie zostawił, do końca nie wiadomo

O drugiej wojnie światowej: „Nikt jej nie zauważył”. A przecież miał wtedy siedem lat i mieszkał w Niemczech. Podobnie jak Coco bardzo lubił, gdy ludzie opowiadają sobie anegdoty o nim lub powtarzają jego złote myśli. Im bardziej prowokacyjne, tym lepiej.

PROJEKTANT I PRZYJACIELE

Karl Lagerfeld umarł bezdzietnie pięć lat temu na raka trzustki. Nikt nie wiedział, ile tak naprawdę ma lat, bo całe życie ukrywał swój wiek. Ujawniono go dopiero w dniu śmierci – 85 lat. „Jestem przeciwko podróżom w moją przeszłość” – mawiał. Jako datę urodzenia sam podawał rok 1938 lub 1935, ale niemieckie tabloidy opublikowały świadectwo chrztu, na którym figuruje rok 1933. Gdy się urodził, rodzice byli już nie tak młodzi: matka Elisabeth Bahlmann miała 42 lata, ojciec 60. Otto Lagerfeld senior, szwedzki biznesmen, dorobił się na handlu mlekiem skondensowanym. Karl miał dwie starsze siostry, Marthę Christiane i Theę – przyrodnia. Jednak one znikły z dalszego życia projektanta. W 2006 r. pozwał angielską dziennikarkę Alicję Drake, autorkę książki „Beautiful Fall” opisującej 30-lecie paryskiej mody. Zarzucał, że ujawniła m.in. jego datę urodzenia.

Zatem o siostrach historia milczy, przynajmniej jeśli chodzi o sukcesję. Oficjalna wersja mówi, że w chwili śmierci Karl Lagerfeld nie miał bliskiej rodziny. Nie znaczy to, że do spadku, który szacuje się na 200 mln euro, brak pretendentów. Karl był człowiekiem zamożnym, ale w kwestii finansów wszystko jest równie mroczne jak dane o jego wieku. Kilka lat przed śmiercią zaczął pozbywać się majątku. Sprzedał wtedy kolekcję XVIII-wiecznych mebli, zbiór przedmiotów grupy Memphis, cenne eksponaty Bauhausu i art déco. Pozbył się także zamku w Bretanii, gdzie pochowana jest jego matka. „Chcę być lekki, nic nie mieć” – mówił.

Jednak coś jeszcze zostało.

Tylko że parę lat po śmierci sprawa schedy wciąż nie jest rozstrzygnięta. W jego najbliższym otoczeniu znajdowało się trzech mężczyzn – Sébastien Jondeau, Baptiste Giabiconi i Brad Kroenig. Nie były to związki homoseksualne, raczej ojcowsko-przyjacielskie. Pierwszy, bliski przyjaciel Lagerfelda, był jego ochroniarzem, sekretarzem, kierowcą, modelem,

Majątek denata okazał się nie kolosalny, jednak znaczny. Scheda przypadła siedmiu spadkobiercom

a także twórcą kolekcji dla marki Karl Lagerfeld, popularnej na rynku niemieckim. Giabiconi, który traktował Karla jak ojca, wytatuował sobie datę spotkania z nim – 8 czerwca 2008 r.

Testament otwarto wiosną 2019 r. u notariusza w Monako. Wbrew spekulacjom majątek denata okazał się nie kolosalny, jednak znaczny. Scheda przypadła siedmiu spadkobiercom. Trzem panom – dwóm faworytom Baptistowi Giabiconiemu i Sébastienowi Jondeau (szofer, ochroniarz) oraz dawnemu protegowanemu, Bradowi Kroenigowi, ojcu chłopczyka, którego Karl był ojcem chrzestnym, a którego widywano często na pokazach. Beneficjentkami zostały cztery kobiety: Virginie Viard, wierna współpracowniczka w zawodzie, obecnie szefowa Chanel, oraz Caroline Lebar (były PR-owiec Chanel) oraz Sophie de Langlade, Amanda Harlech, przyjaciółki. Jackpot przypadł birmańskiej kotce Chouette, równie sławnej jak jej pan (ma 259 tys. obserwujących na Instagramie). Niestety, koteczka musi podporządkować się opiekunce Françoise Caçote, która awansem za opiekę zainkasowała półtora miliona euro.

Nieruchomości jest sporo, ale ich status finansowy trudno rozwiąć. Bywa, że do jednej pretendentów jest więcej. Do tej pory za 4 mln sprzedano mieszkanie w Dzielnicy Łacińskiej, przedmioty osobiste na aukcji przyniosły 22 mln. Słupek do pazurków Chouette poszedł na aukcji za 500 euro. Status mieszkania w Monako jest wciąż niewyjaśniony – Giabiconi twierdzi, że Karl mu je kiedyś podarował. Nie wiadomo, co zrobić z domem w Louveciennes pod Paryżem, gdzie kaiser Karl spędził tylko jedną noc (czyżby pociągi nie jeździły?).

Na wyjaśnienie spraw sukcesji czekają nie tylko potencjalni spadkobiercy, lecz także fiskus, który swoje należności od spadku ocenia na 20 mln euro. Tymczasem jednak mnożą się książki wspomniowe. „Karl i ja” Baptisty Giabiconiego to

wspomnienia bardziej czułe niż okrutne. „Grubawy pan, któremu jest zawsze gorąco i dlatego potrzebuje wachlarza” (to było przed drastycznym schudnięciem). W bezwzględnym środowisku fashion sam autor tych memuarów, Giabiconi, doczekał się różnych przezwisk: Baptiste Giabinnino – przyjaciel Lagerfelda na lato, Baptiste Giacobini – muza Lagerfelda, Giabinoni, Giabinico. I tym podobne.

GLOBALNA GWIAZDA

Jedno jest pewne. Lagerfeld nigdy nie traktował siebie ze śmiertelną powagą. W nadętym, zakłamanym i pretensjonalnym kręgu ludzi mody stworzył swój teatralny, sztuczny wizerunek, ale była to maska inteligentnego błazna. Jakby chciał się schować przed oczami widzów. „Nie wszyscy muszą wiedzieć, że jestem idiotą”. Być może nie wierzył w swój talent, tylko w siłę swojej energii, żywotności. Lubił ryzyko i humor, ale sam rzadko się śmiał. I w gruncie rzeczy był człowiekiem skromnym, pozbawionym pewności siebie samoukiem. Przecież nie miał nawet matury. Czy historia o przeczytaniu 300 tys. książek jest prawdziwa? Czy Karl rzeczywiście był erudyta? To rzecz rzadko spotykana w kręgu, w którym się obracał.

Dziennikarz tygodnika „Paris Match” Simon Liberati i znajomy Lagerfelda pisze, że sam nie bardzo wierzył w opowieści o erudycyjnych lekturach Karla, które krążyły w środowisku. Sam Liberati, wielbiciel Paula Leautauda, francuskiego pisarza z przełomu wieków XIX i XX, dowiedział się, że Karl również czyta tego autora. Jednak wydało mu się niemożliwe, żeby projektant mody przeczytał 19 tomów „Journal Littéraire”. Dopóty, dopóki nie natknął się na wypowiedź Lagerfelda dla magazynu „New Yorker”, z której niezbitnie wynikało, że dobrze zna ten dziennik, który nawet we Francji zaliczany jest do dzieł wartościowych, lecz bardzo niszowych.

W ciągu ostatnich 10 lat życia projektant osiągnął status globalnej gwiazdy na miarę Madonny czy Beyoncé. O takiej sławie wielu projektantów mogłoby marzyć. „Moja sława nie ma żadnego związku z tym, co robię” – powiedział dziennikowi „Le Figaro”.

Ja zachowałam w szafie dwa swetry z kolekcji Karla z 2002 r. Dzisiaj są już vintage. Tak jak ich autor. Niech spoczywa w spokoju.



VOLKSWAGEN AMAROK

Potęźnie wyglądający niemiecki pick-up – dostępny na rynku od 2010 r. – przeszedł niedawno fordowską przemianę i był to krok w bardzo dobrą stronę. Amarok nie jest zwyczajnym wołem roboczym. I to nie tylko ze względu na przykuwającą wzrok sylwetkę.

Amarok bardzo dobrze sprawdza się podczas codziennych podróży po asfalcie. I pokazuje, że wół roboczy może być nie tylko mocny, lecz także zaskakująco wygodny. Komfort jazdy w przypadku tego pick-upa jest porównywalny z SUV-em, a do tego siedzi się jeszcze wyżej (no, może parkowanie jest trudniejsze; no i trzeba uważać, żeby nie wpakować się w jakąś naprawdę wąską uliczkę).

Spokojnie można go więc wykorzystać, aby wrzucić na pakę bagaże dla dwóch par i zaciągnąć nawet większą łódkę na mazurskie jeziora/

do chorwackiego portu (maksymalny uciąg to 3,5 tys. kg), a przy tym podczas jazdy nie cierpieć za miliony. Oczywiście auto nadal nadaje się do ciężkich prac. Sprawdza się także podczas jazdy w bardziej wymagającym terenie: prześwit to 237 mm, kąt natarcia wynosi 30 stopni, zejścia 26 stopni, a rampowy 21 stopni, na pokładzie jest też asystent zjazdu, reduktor etc.

Pod maską testowanego auta pracuje trzylitrowy silnik V6 Diesla o mocy 240 KM, który płynnie współpracuje z 10-biegową automatyczną skrzynią biegów.

Oczywiście, jak na pick-upa przystało, Amarok ma napęd na obie osie. Mimo ponad dwóch ton wagi auto do setki rozpędza się w niecałe 9 s. V-szóstka robi tu znakomitą robotę, dzięki czemu mocy do wyprzedzania nie brakuje ani

na drogach krajowych, ani na trasach szybkiego ruchu. Prędkość maksymalna to 180 km/h. Na autostradzie lepiej jest się trzymać przepisowych prędkości. Przy 140 km/h w kabinie panuje bowiem jeszcze przyjemna cisza, która pozwala wybrać się amarokiem nawet w dłuższą trasę. Auto sprawnie pokonuje zakręty. Na pochwałę zasługuje też resorowanie podczas pokonywania wszelkich przeszkód i nierówności. A spalanie? Podczas testu średnia wyniosła 12,6 l/100 km. W trasie da się nim jednak spokojnie zejść poniżej 10 l/100 km.

W przyjemnie wykończonej kabinie – w której część elementów mogłaby być jednak lepiej spasowana – centralnym punktem jest gigantyczny ekran dotykowy. W Amaroku są również skórzana tapicerka, indukcyjna ładowarka do smartfonów, a nawet nastrojowe oświetlenie wewnętrzne. Podróż umila dźwięk płynący z głośników Harman Kardon. Jeśli ktoś przesiądzie się do niego z klasycznego japońskiego woła roboczego, to nie będzie mógł uwierzyć, że taki standard w pick-upie jest w ogóle możliwy. Wybierak skrzyni biegów chodzi w tym pick-upie wyjątkowo lekko. I to tak lekko, że przynajmniej przez pierwsze dni bardzo łatwo omyłkowo przesunąć dźwignię ciut za daleko. Auto jest też naszpikowane systemami dbającymi o bezpieczeństwo i ułatwiającymi manewrowanie.

Testowany Amarok w najwyższej wersji wyposażenia Aventura – z potężnymi 21-calowymi kołami – wyceniony jest na 322,2 tys. zł. ©

FOT. PAP

HUAWEI WATCH GT 4

Długo czas pracy na jednym ładowaniu, uniwersalne wzornictwo, funkcje monitorowania zdrowia i śledzenia postępów w treningach oraz rozsądna cena – to największe zalety najnowszego smartwatcha chińskiego producenta.

W najdroższej wersji Elite, którą dostaliśmy do testów, zegarek ze stalową bransoletą w kolorze srebrnym wygląda elegancko. A jednocześnie wzornictwo męskiego modelu (o wymiarach 46 x 46 x 10,9 mm) jest na tyle uniwersalne, że ten wariant smartwatcha dobrze sprawdzi się zarówno jako dodatek do garnituru, jak i zegarek na siłownię. Bez zarzutu są jakość wykonania oraz pyło- i wodoodporność (klasa wodoodporności 5 ATM). Koperta została wykonana ze stali szlachetnej. Świetne wrażenie robi również 1,43-calowy wyświetlacz AMOLED o rozdzielczości 466 x 466 pikseli. Kontrast jest znakomity, a kolory żywe.

Smartwatch współpracuje zarówno ze smartfonami z systemem Huawei Mobile Services, jak i z Androidem oraz iOS.

Jak na inteligentny zegarek przystało, nowy model oferuje funkcje całodobowego monitorowania zdrowia, poziomu stresu

i śledzenia postępów w treningach. Huawei udoskonalił czujnik do mierzenia tętna (odchylenia wyników w porównaniu z tradycyjnymi urządzeniami medycznymi podczas testu były niższe niż deklarowane przez Chińczyków +/- 5 proc.), a także poprawił dokładność GPS. Ulepszony został również monitoring jakości snu, który teraz analizuje również oddech użytkownika. Bateria Watch GT 4 ma pojemność 524 mAh, co w praktyce przekłada się na dwa tygodnie na jednym ładowaniu (częste korzystanie z pomiaru aktywności sportowych istotnie skraca jednak ten czas). Energię w zegarku można uzupełniać za pomocą tradycyjnej ładowarki do smartwatcha lub ładowania bezprzewodowego (ładowanie do pełna trwa ok. 100 min).

Wady? Zegarki Huawei, w tym GT 4, nie obsługują płatności zbliżeniowych. Poza tym testowany model nie obsługuje eSIM, ale w tej półce cenowej trudno czynić z tego wielki zarzut.

Huawei Watch GT 4 został dość rozsądnie wyceniony. Za najnowszego smartwatcha chińskiego producenta w najdroższej wersji Elite trzeba zapłacić 1499 zł. Wersja Active została wyceniona na 1099 zł. ©





ANNA POPEK Z D. CHRZUKI
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRZUKI

SIOSTRY GOTUJĄ

Gruszka pięknej Heleny

Owocowa gwiazda znana od czasów prehistorycznych, ulubienica starożytnych Greków i doceniona przez Rzymian. Rozkochała w sobie Homera, który pisał o niej w „Odysei”, a sam Juliusz Cezar poświęcał czas na dogłębne poznawanie tajników jej uprawy. Kształtem przypomina kobiece ciało, dlatego łączono ją z Afrodytą i Herą, a jej nieskazitelne białe kwiaty były symbolem czystości i boskości Najświętszej Panienki. Jej uprawą zajmowano się szczególnie we Francji i Włoszech. Znana była także jej odmiana azjatycka.

Kiedy trafiła do Polski? Pierwsze informacje dotyczą wczesnego średniowiecza, gdy trafiła do nas z południa Europy, przekroczywszy górskie pasma Alp. Od razu napotkała tu swoje dziko rosnące kuzynki – gruszki leśne i ulegalki. Była ulubienicą Władysława Jagiełły, który zjadał się nią potajemnie, gdyż w tamtych czasach publiczne jedzenie gruszek było nie na miejscu właśnie ze względu na kształt. Doskonale wpisała się w element kultury renesansu – Mikołaj Rej, opisując uroki lata, wspominał „gruszczyki” o owocach uprawnych. Spotykamy je w przysłowia polskich. Mając na myśli obiecanki bez pokrycia, mówimy: „gruszyki na wierzbie”. Są absolutną skarbnicą wartości odżywczych, witamin C, A, B1, K, PP, jodu, potasu, przeciwutleniaczy oraz błonnika pokarmowego, który doskonale wpływa na pracę jelit. Są przy tym lekkostrawne i doskonale sprawdzają się

w menu dla najmłodszych. Wspierają pracę serca i tarczycy. Idealnie nadają się do rozmaitych przetworów – gruszyki w zalewie octowej smakują wspaniale jako dodatek do wędlin, a także są świetne jako musy, soki, kompoty. Są odpowiednie dla cukrzyków, ponieważ zdecydowanie wolniej niż inne owoce podnoszą poziom cukru we krwi. We Francji gruszka ma swój kultowy deser – to wyjątkowe połączenie słodczy gruszyki z gorzką lub deserową czekoladą. „Gruszka pięknej Heleny” gości na paryskich stołach od czasu premiery operetki Jacques’a Offenbacha „La Belle Hélène”, czyli od 1864 r. Oto przepis.

Kultowy francuski deser gruszkowy

- kilka gruszek dojrzałych, ale nie miękkich, dość twardych.
- gorzka lub deserowa czekolada
- 3–4 łyżki cukru • 3 łyżki soku z cytryny • 50 ml brandy • 1 łyżka masła • laska wanilii lub ekstrakt waniliowy • lody waniliowe

Do garnka należy wlać ok. 2,5 szklanki wody, dodać cukier, sok z cytryny, wanilię zagotować. Gruszyki obrać, zostawić ogonki, wydrążyć ze spodu nasioną, wstawić do gotującej się wody tak, aby całe owoce były przykryte, i gotować 15 min. Wyjąć, ostudzić. Czekoladę rozpuścić w kąpielu wodnej z dodatkiem brandy i masła oraz położyć na talerzyk lody, ozdobić listkiem mięty. ©©



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Babka płesznik, czyli gejmczeńdzer

Różne są narody i różne mają obsesje, ale jedno je łączy – to obsesja odchudzania. Schudnąć chcą wszyscy: Szwedzi, Grecy, Meksykanie, Ukraińcy, Niemcy, Polacy, i oczywiście Amerykanie. Ci ostatni są najgrubsi i dzięki nim potrzeba chudnięcia w ogóle się pojawiła. To przez ostatnie 30 lat tak się planeta rozżyła.

Wiadomo również, że ten, kto wynajdzie panaceum na odchudzanie, zarobi fortunę. Dotychczas nikomu się nie udało, aż wreszcie... Pojawił się duński wynalazek Ozempic, który podobno zmieni wszystko. Piszę podobno, bo działanie leków często ujawnia się po latach, więc za wcześniej świętować triumfu leku na cukrzycę, który odchudza. Na razie nie wiadomo, ile ludzi od niego schudło (Elon Musk 15 kg), wiadomo za to, że Big Pharma świętuje sukces finansowy bez precedensu. U nas też Ozempic brak w aptekach, zakazano wywozu, NFZ podobno kontroluje sytuację. Za to budżet Danii jeszcze nigdy nie był w tak dobrym stanie, właśnie dzięki dochodom z magicznej mikstury.

Nie tylko Ozempic. Ostatnio w Ameryce rozpieął się szal na inny środek, właściwie nie lek, tylko suplement. Jest to psyllium, babka płesznik, składnik roślinny znany od dawna w medycynie Dalekiego Wschodu. Od wieków używano go przy wspoma-

ganiu trawienia, gdyż daje uczucie sytości i obcina apetyt. Od razu widać, że to przepis na bestseller, którym istotnie babka płesznik się stała. Pharma od razu złapała wiatr w żagle. Od roku 2018 do 2022 na rynku amerykańskim ukazało się 249 nowych parafarmaceutyków opartych na tym składniku. Proszek, żelki, galaretka. Bo psyllium nie tylko może pomóc w odchudzaniu, lecz także przydaje się w kuchni. Zagęszcza sosy i meatballs, czyli mięsne pulpeciki, ulubiony obiad Amerykanów. Można go używać zamiast drożdży w wypiekach bezglutenowych – bezglutenowcy chwalą, że nie zostawia przykrego posmaku. Danych o sprzedaży się nie podaje, ale „New York Times” dowiedział się, że jeden tylko produkt z babką płesznik o nazwie Metamucil – słodzony proszek o smaku pomarańczowym – w ciągu ostatnich lat zwiększył sprzedaż o liczbę dwucyfrową.

U nas nasiona tej rośliny przypominające siemę lniane można kupić w Internecie. „Działają probiotycznie, wspomagając naturalną florę bakteryjną jelit, pomagają przy zaparciach. Babka płesznik wpływa również korzystnie na skórę i wspomaga proces odchudzania” – zachwala jeden ze sprzedawców.

Czekam zatem na sukces w Polsce następcy nasion chia. Będę domagać się tantiem za reklamę, ostrzegam. ©©

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Cerkiew unii brzeskiej



JACEK KOMUDA

Nieistniejąca dziś cerkiew św. Mikołaja w Brześciu, zburzona w 1840 r., to miejsce, gdzie zawarta została unia Kościoła prawosławnego i katolickiego w dawnej Rzeczypospolitej; do dziś budząca kontrowersje.

O cerkwi, która znajdowała się blisko miejsca, w którym Muchawiec rozdziela się na dwie odnogi, wiadomo niewiele. Pierwsza wzmianka to rok 1390; zapewne wzniesiona była w stylu gotyckim, potem przebudowana. Nie należy mylić jej z istniejącym obecnie i wybudowanym na zachód od niej soborem, także pod wezwaniem św. Mikołaja, który odgrywał rolę cerkwi garnizonowej.

Zawarcie unii brzeskiej zmieniło historię Rzeczypospolitej. Była ona efektem kilku procesów, w najmniejszym jednak stopniu efektem wymuszenia ustępstw na prawosławnych przez katolików. Po pierwsze, cerkiew na terenach Korony i Litwy pod koniec XVI w. znajdowała się w kryzysie. Bractwa zaczynały uniezależniać się od biskupów, monasterzy prowadziły własną politykę, a wielu duchownych zachowywało się jak awanturnicza szlachta, wynajmując kozaków i swawolników. W dodatku niektóre klasztory uzależnione były od fundatorów. Dochodziły do tego zaciekle spory z patriarchą Konstantynopola. Kolejne przyczyny były jeszcze groźniejsze – w 1589 r. rządzący Moskwą Borys Godunow skłonił patriarchę Konstantynopola Jeremiasza II do podniesienia godności metropolii moskiewskiej i ustanowienia patriarchatu Wszechrusi, który ubiegał się o zwierzchnictwo nad cerkwią prawosławną w Rzeczypospolitej.

W takiej sytuacji podporządkowanie jej Rzymowi sprawiłoby, że



FOT. DODZIENKA PUBLICZNA

duchowieństwo stałoby się mniej zależne od obcych patriarchów i zyskałoby oparcie w aparacie państwowym. Ze strony katolickiej zwolennikami unii byli kanclerz Jan Zamoyski, obawiający się wpływów Moskwy, król Zygmunt III Waza, a przede wszystkim jego kaznodzieja – ks. Piotr Skarga.

Wszystko to sprawiło, że wspomniany już Cyryl Terlecki wraz z bp. Bernardem Maciejowskim i Hipacym Pociem, władzką włodzimierskim, opracowali pierwszy projekt unii przedłożony królowi 2 grudnia 1594 r. Rozpoczęły się rozmowy z Zygmuntem i nuncjuszem papieskim o zachowaniu przywilejów przez prawosławnych hierarchów. Dodatkowo biskupi greccy mieli być dopuszczeni do senatu, zachować miano odrębności liturgii i utrzymać małżeństwa księży. Po zakończeniu negocjacji Rahoza i inni wystosowali 12 czerwca 1595 r. list z wyznaniem posłuszeństwa, a w odpowiedzi Zygmunt III Waza wydał akt zrównujący

biskupów prawosławnych z katolickimi. Wówczas przeciwko unii wystąpił Konstanty Ostrogski, wojewoda kijowski, który przeciwną na swoją stronę biskupów: Bałabana i Kopystyńskiego. Jednak Terlecki i Pocię udali się do Rzymu, gdzie przed obliczem papieża 23 grudnia 1595 r. zadeklarowali akt unii Kościołów przyjęty życzliwie przez Klemensa VIII.

Ostatecznie unia przyjęta została na synodzie w Brześciu – 18 października 1596 r. w cerkwi św. Mikołaja podpisali się pod nią m.in.: biskup kijowski Michał Rahoza, włodzimierski – Hipacy Pocię, łucki – Cyryl Terlecki, arcybiskup połocki Herman Zahorski, biskup piński Jonasz Hohol. Konstanty Ostrogski zwołał w tym samym czasie własny synod przeciwników, z biskupami przemyskim Michałem Kopysteńskim i lwowskim Gedeonem Bałabanem na czele. Sobór ten potępił akt unii i pozbawił hierarchów, którzy do niej przystąpili, święceń. Dlatego akt brzeski dał tak naprawdę początek dwóm Kościołom – unickiemu i dyzunickiemu – które zaciekle się zwalczały. Zwłaszcza po 1620 r., kiedy nielegalny metropolita kijowski Hiob Borecki odtworzył hierarchię cerkwi prawosławnej na Ukrainie.

Dziś historycy tak chętnie krytykują unię, zapominając jednak, że ostatecznie... zwyciężyła! W XVIII w. bowiem kościół unicki zdobył dominującą pozycję wśród prawosławnych w Rzeczypospolitej. Zapewne dlatego unia została zlikwidowana przez Moskali po rozbiorach, w 1839 r., a w Królestwie Polskim – w 1875. Przetrwała w Galicji, gdzie Kościół unicki stał się, jakby na przekór historii, podstawą odradzającego się ruchu nacjonalistów ukraińskich. ©





JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Pani Holland, dziękujemy!

W porządnym katolickich szkołach był (jest jeszcze?) taki proceder, że pewne książki, uznane wedle doktryny Kościoła za szkodliwe, znajdowały się na czarnej liście, nie do czytania przez uczniów. Ale żeby byli oni zorientowani, co takiego tam jest, a były to często arcydzieła literackie, „wytrzymały” ksiądz tłumaczył im ustnie, co tam takiego jest, tak żeby samodzielnie tego bezbronni często uczniowie nie czytali. „Wytrzymały”, bo ten miał już tak silną wiarę, że nie złamałyby jej żadne miazmaty. Był to więc kompromis pomiędzy wiedzą a niewiedzeniem na pokuszenie słabych i niewinnych duszyczek.

Zaproponuję dziś coś podobnego, jeśli chodzi o najnowszy film Agnieszki Holland – „Zielona granica”. Na temat tego filmu powiedziano już wiele, zwłaszcza o tym, że dyskutujące osoby go nie widziały. No, ale z wywiadów i trailerów widać, co to będzie za arcydzieło. Manichejski przekaz o krwiożerczym duecie lokalsów i Straży Granicznej oraz biednych migrantach wraz z ratującymi ich ludźmi o wrażliwych sercach – po drugiej. A więc ja, nie będąc już nawet po pokazie, mogę wyrazić swą opinię. Coś na kształt zjechałego przez opozycję filmu „Smoleńsk”, którego przecież żaden szanujący się człowiek nie mógł oglądać, za to wypowiedzieć się na jego temat mógł każdy.

Korzystam więc z tego samego prawa i odradzam pójście, by nie karmić potwora.

Ja jednak mam pewną wdzięczność do Pani Reżyser By-było-tak-jak-było. Premiera filmu wycelowana w przeddzień wyborów miała być game changerem kampanii, stała się jednak powodem do zażenowania wyposażonej przecież w badania opinii publicznej opozycji. Słaby podobno filmik spełnił już tylko wewnętrzny cel Pani Reżyser, którym jest budowanie swej katolickiej postawy na obrzydlistwie polskim, na co jest wciąż zapotrzebowanie za granicą, szczególnie na Białorusi i w Rosji.

Ale jestem wdzięczny szczególnie za to, że taki nieprawdziwy obraz powstał. Spełnia on bowiem podstawową funkcję – odstraszenia. Jak taki migrant zobaczy, co go czeka na polskiej granicy, to się dwa razy zastanowi nad podróżą w taką przygodę. A im okropniejsze sceny, tym dla nas... lepiej. Teraz tylko ten cały PISF zajmujący się dotowaniem produkcji filmowych powinien odłożyć sporo kasy na promocję i darmowe wyświetlanie tego filmu w krajach migracji ohotnej. Tak krajoznawczo, by każdy wiedział, na co się wybiera. W ten sposób będzie można przerobić lewackie i antypolskie zakłamanie na realizację polskiego interesu narodowego. Czyż to nie piękne, pani Holland? Dziękujemy! ©©



JAN POSPIESZAŃSKI

#WARTO

Zdrowko najważniejsze!

Pod pretekstem troski o zdrowie realizowane są globalne operacje – wcale nie medyczne. Agenci rewolucji kulturowej znakomicie rozpoznali czułe punkty, jakimi są zdrowie i ludzkie ciało. W postchrześcijańskim świecie, wraz z uśmierceniem wiary i transcendencji, ludziom zostaje tylko ułomna cieleśność. Stąd zdrowie urasta do potrzeby numer jeden, a spece od zdrowia, podobnie jak w pierwotnych kulturach, przyjmują funkcje kapłanów, szamanów, uplasowanych na szczytach plemiennych hierarchii. WHO staje się może jeszcze nie globalnym rządem, ale narzędziem „grupy trzymającej władzę” do realizacji cywilizacyjnej zmiany.

Procedowany właśnie przez WHO traktat pandemiczny wzmacnia rolę tej instytucji i jej szefa, przyznając jej rolę organu kierującego międzynarodowymi działaniami w zakresie zdrowia. Organizacja, która wielokrotnie myliła się w ocenach zagrożeń, i jej podejrzaną reputację szef zyskuje coraz więcej władzy, łącznie z uprawnieniami zarządzania informacjami dotyczącymi zdrowia, co jest wprost zapowiedzią wprowadzenia cenzury.

W ubiegłym tygodniu pisałem, że WHO od lat jest globalnym dystrybutorem tzw. praw reprodukcyjnych, czyli aborcji i ideologii gender. Ignorując prawa krajowe za pośrednictwem rządów i resortów zdrowia, globalni agenci

zmiany bocznymi drzwiami wprowadzają programy godzące w ład społeczny, a także uzyskujące ogromną kontrolę nad obywatelami.

Zapowiedziane w czerwcu plany wdrożenia Globalnej Sieci Certyfikacji Zdrowia WHO to pomysł paszportyzacji covidowej na niespotykaną skalę. Przygotowywana w Polsce e-Karta Szczepień będzie narzędziem cyfrowej kontroli nad obywatelami i rodziną. Biorąc pod uwagę wzrost nakładów na ochronę zdrowia, który przekracza już jedną czwartą rocznego budżetu państwa, i coraz większy obszar kontroli naszego życia, resort zdrowia staje się jakimś superrządem albo władzą równoległą.

Przyjęcie przez ministra zdrowia nowej klasyfikacji chorób ICD-11, a przez nią niezgodnych z naturą ideologicznych pojęć – „płeć odczuwana” i „płeć przypisana”, relatywizowanie pedofilii, stosowanie skrajnie subiektywnej kategorii „dystresu” będzie miało szerokie konsekwencje społeczne, nie tylko zdrowotne.

Podobnie powołany w MZ „Zespół do spraw opracowania wytycznych dla podmiotów leczniczych w zakresie procedur związanych z zakończeniem ciąży”, czyli zespół do spraw aborcji, sytuuje się ponad obowiązującym prawem. Gdy rząd pręży muskuły, pokazując niezależność w konflikcie zbożowym i migracyjnym, Ministerstwo Zdrowia oddaje polską suwerenność pełnymi garściami. ©©

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Znów na scenie

Niemcy stały się jednym z najważniejszych światowych gwarantów pokoju i bezpieczeństwa – rzekł Wołodymyr Zełenski w ONZ, wzywając do rozszerzenia Rady Bezpieczeństwa o Niemcy. Stop. Niemcy? Gwarantem bezpieczeństwa? Stop. Zełenski swoją karierę zaczynał jako komedian, przez chwilę był mężem stanu i proszę – znów na scenie... Stop.

Kandydatka Lewicy do parlamentu o imieniu Emilia wpadła na nietypowy sposób autopromocji. Stop. W ramach agitki przedwyborczej rozdaje przerwy w czasie z imieniem i nazwiskiem. Stop. Rafał A. Ziemkiewicz za darmo ukuł dziarskie hasło do tej kampanii, dzieląc się nim na platformie X: „Lewica na ch...”. Stop.

Donald Tusk przyszedł z działaczami i mikrofonami pod siedzibę TVP robić dym. Stop. Wtedy zjawił się redaktor Michał Rachoń i zadając pytania, robił dym. Stop. Wtedy bohater Michał Kołodziejczak własnym ciałem starał się zastąpić Donalda przed Michałem, robiąc dym. Stop. Poświęcenie Kołodziejczaka zostało dostrzeżone i nagrodzone uznaniem, mimo że jest on niższy od Rachonia o dwa metry. Stop.

Prezydent Andrzej Duda, komentując film „Zielona granica” Agnieszki Holland, użył znanego z mrocznych czasów zdania: „Tylko świnie siedzą w kinie”. Stop. Były rzecznik praw obywatelskich Adam

Bodnar przesłał na platformę X zdjęcie z kina, z uroczystej premiery tego filmu. Stop.

Agnieszka Holland zadeklarowała, że będzie głosować na Platformę Obywatelską. Stop. To ważna informacja nie tylko dla Straży Granicznej i polskich żołnierzy. Stop.

Michał Probiez został nowym trenerem reprezentacji Polski w piłce kopanej. Stop. Po serii blamaży naszych naładowanych celebrytów pokazał rewolucyjne zmiany personalne. Stop. Otóż zamierza nie dokonywać zmian. Stop. Cel reprezentacji został więc określony precyzyjnie: trener ma pobierać pensję, jak długo się da. Stop.

Ryszard Petru, kandydat do Sejmu z Trzeciej Drogi, w czasie wywiadu opowiedział się za prywatyzacją świetnie działających spółek: Orlenu, PKO BP i Pekao S.A. Stop. W sumie po co prywatyzować, można np. dać Niemcom, to by się im przyjemność zrobiło i byłoby szybciej! Stop.

W Lubece Arabowie bili się między sobą stadnie. Stop. Bili się pałkami, krzesłami i innymi sprzętami, a także wdzierali się do domostw adwersarzy. Stop. W sumie zwykły obrazek będący słodką konsekwencją ubogacania społeczeństwa imigracją. Stop. Nowością był natomiast komunikat niemieckiej policji, która zakazała publikowania i rozpowszechniania filmików z awantury. Stop. Słusznie. Po co się Niemcy mają denerwować?! ©©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

DARIUSZ
WIEROMEJCZYK

SPODE ŁBA

Słowa na wiatr

Ciekawe przejęzyczenie przytrafiło się w ubiegłym tygodniu amerykańskiemu prezydentowi Joe Bidenowi podczas wtorkowego przemówienia na forum Zgromadzenia Ogólnego Organizacji Narodów Zjednoczonych. Podczas ponad 20-minutowej wypowiedzi poświęcił on wiele czasu rozważaniom na temat kryzysu klimatycznego. Wspomniał o rekordowych falach gorąca, które pojawić się miały w Chinach i Ameryce. Odniósł się też do pożarów wybuchających ostatnio w Europie i Stanach Zjednoczonych. „Jesteśmy gotowi, by wraz z Chinami pracować nad tymi zagadnieniami, w wypadku których postęp zależeć może od naszych wspólnych działań” – oświadczył amerykański przywódca. Następnie ogłosił, że Stany Zjednoczone i Chiny dalej starać się będą o „przyspieszenie kryzysu klimatycznego” (ang. accelerating climate crisis). W jaki sposób oba państwa zamierzają „przyspieszyć kryzys”, nie zostało niestety wyjaśnione. Mógłby coś może dodać chiński prezydent Xi Jinping, on jednak na zgromadzenie ONZ nie przybył.

Ostatnie miesiące nie wydają się dla przywódcy wolnego świata szczególnie szczęśliwe. Jego kampania wyborcza mierzyc się będzie z licznymi problemami. Niedawne badania popularności Bidena wśród amerykańskich wyborców wskazały, że wynosi ona tylko

39 proc. Od czasu drugiej wojny światowej, kiedy zaczęto prowadzić podobne statystyki, żaden amerykański prezydent nie notował na tym etapie urzędowania równie niskiego wyniku. Nawet atakowany przez media prezydent Donald Trump mógł się pochwalić wyższymi od Joe Bidena wskaźnikami poparcia.

Amerykański prezydent twierdzi, że za niskie notowania odpowiedzialne są nękające jego administrację problemy komunikacyjne. Coś musi być na rzeczy, przejęzyczenia i gafy zdarzają się bowiem Bidenowi niepokojąco często. Jest to niestety problem dla współpracowników głowy państwa. Jeden z byłych już urzędników Białego Domu, cytowany przez brytyjski dziennik „The Telegraph”, wyraził istotę sprawy następującymi słowami: „Nikt nie wie, co ma sądzić. Ludzie po prostu nie wiedzą, czy chodzi o jakąś nową politykę. A może Joe jeszcze raz zachował się po swojemu i znowu coś wyolbrzymił? Pojawia się konfuzja. Prowadzi to do sytuacji, kiedy członkowie personelu Białego Domu nie mają stuprocentowej pewności, czy prezydent ma na myśli to, co mówi, czy znowu mówi coś, czego nie należało powiedzieć”.

Biały Dom oficjalnie zaprzecza niskiemu morale swoich pracowników, twierdząc, że takie sugestie są „oderwane od rzeczywistości”. Może dotyczy to także samego prezydenta? ©©

GRZEGORZ
KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Czuły piewca imperiów

Warszawa oto miasto papug. Nie uwierzysz, jak komeraż tam wydoskonalaony, w sztukę zamieniony, doprowadzony do najwyższego stopnia ukształcenia". Przypomniałem sobie te słowa wieszczca napisane w jednym z jego listów niemal dokładnie 180 lat temu, gdy byłem briefowany przez moich tajnych i jawnych współpracowników na temat facebookowych skarg na mnie jednego ze znanych profesorów.

Żale dotyczyły tego, że wymagałem od niego znajomości działań matematycznych (porównanie 65 proc. z 460 z sumą 35 proc. z 460 oraz liczby 100), co zostało zinterpretowane przez owego profesora (z pewnością nie papugę) jako „próba narzucenia”

Zadziwiające, że papież „czułości i miłosierdzia”, walczący z karą śmierci w Katechizmie Kościoła, taką ma predylekcję do imperiów

mu mojego własnego poglądu. Znany profesor niepapuga ma na temat arytmetyki własny pogląd i nie dopuszcza do siebie myśli, że mogę mieć rację, twierdząc, iż wynik pierwszego z wymienionych działań arytmetycznych jest większy od wyniku drugiego. Nie mam prawa tak twierdzić, bo – jak zauważa znany profesor z miasta papug – nie mam w tym zakresie właściwego dorobku naukowego. A do tego, aby właściwie dodawać i mnożyć, potrzebny jest udokumentowany dorobek.

W tle był podręcznik szkolny, którego jednym ze współautorów był rzeczony profesor. Czując się oprymowany przez moje jako

ministerialnego rzeczoznawcy „arytmetyczne podejście do historiografii” (dzięki czemu wiemy, że podręcznik szkolny jest dziełem historiograficznym), upublicznił na swoim facebookowym profilu wymianę e-maili ze mną w tej sprawie. Nie pytał mnie o zgodę. No, ale trudno wymagać od komerażnika doceniania czegoś takiego jak dyskrecja.

Porzućmy jednak żale znanego profesora, który półgębkiem przyznaje w końcu, że zaakceptował większość moich uwag (a tę ostatnią „arytmetyczną” zaakceptowało wydawnictwo) i powróćmy do Zygmunta Krasińskiego. To on jest wieszczem, który we wrześniu 1843 r. pisał o ziejającej w Warszawie „przepaści komerażów”. Pięć lat później w memoriale skierowanym do papieża Piusa IX pisał o zmaganiach narodu polskiego z „ogromem bez stałych konturów, państwem bez granic, ciałem bez duszy”, które umiało „natchnąć się wszystkimi wyziewami zepsucia, jakimi zły duch kiedykolwiek rozwiewał się po świecie”.

W ten sposób Krasiński pisał o Rosji, w której „duch bizantyjski”, chcący „uwiecznić zepsucie i spróchniałość”, idzie w parze z „popędem zdobywczym Mongołów”. „Rząd rosyjski [...] w stosunkach z cywilizacją łacińską pozostał zawsze wschodnim i barbarzyńskim”.

Minęło 175 lat i jeden z następów błogosławionego Piusa IX plecie do młodych rosyjskich katolików duby smalone o tym, że mają się czuć „dziedzicami wielkiego oświeconego imperium Piotra I i Katarzyny II”. Potem papież Franciszek (bo o nim mowa) prostoował, że chodziło mu „o wielką literaturę rosyjską”, chociaż jako

żywo ani Piotr I, ani Katarzyna II jako mistrzowie pióra nie zasłynęli. Zgłaszam więc postulat, by Polska Fundacja Narodowa albo PKN Orlen sfinansowali tłumaczenie na język włoski memoriału wieszczca do Piusa IX, a potem aby został on przekazany Jego Świątobliwości przez naszą ambasadę przy Watykanie. Powinna ona zresztą zadbać, by memoriał ten w wersji włoskiej i angielskiej był zawieszony na jej stronie internetowej.

Po paru dniach od tej fatalnej wypowiedzi papież Franciszek pojechał do Mongolii. Tam już nie mówił spontanicznie, tylko odczytał przemówienie, w którym zachwalał dobrodziejstwa średniowiecznego imperium Mongołów, w którym ludy cieszyły się z panowania pax mongolica. Nie wiem, czy po drugiej stronie życia Franciszkowi dane będzie spotkać się ze św. Jadwigą Śląską. Matka poległego pod Legnicą w 1241 r. księcia Henryka Pobożnego miałaby mu wiele do opowiedzenia o sposobach zaprowadzania tego „dobroczynnego pax mongolica”. Na polu bitwy rozpoznała ciało syna jedynie dzięki anomalii w postaci sześciu palców u nogi.

Zadziwiające, że papież „czułości i miłosierdzia”, walczący z karą śmierci w Katechizmie Kościoła, taką ma predylekcję do imperiów. A może wcale niedziwne, skoro już dawno temu Chesterton uważał, że „brutalny imperializm i tołstojowska idea uległości nie tylko nie są sobie przeciwstawne, lecz są wręcz jednym i tym samym. To dokładnie ta sama nędzna idea, że najazdu nie da się odeprzeć – tyle tylko, że oglądana raz z punktu widzenia najeźdźców, raz z punktu widzenia podbitych”. ©

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Jadę w poprzek USA. Podróż jest sentymalna, czyli miła. Jadę śladem. Mój stryjaszek (trzeciego stopnia) Jimmy Buffett zmarł sobie spokojnie w domu, mając lat 76. Księga Psalmów uczy, że normalnym wiekiem do umierania jest (było i będzie) lat 70, a „gdy jesteśmy mocni”, wtedy 80. Czyli Stryjaszek zmarł w wieku stosownym – ani za wcześnie, ani za późno. Jest dobrze!

Stryjaszek wart był miliard dolarów – na tyle wyceniono jego majątek, który dziedziczą teraz żona (ta sama od roku 1977) i troje dzieci. Restauracje, hotele, kurorty dla emerytów, kasyna, statki wycieczkowe, samoloty, własny rum, piwo, koszule hawajskie, klapki i meble na plażę – wszystko, o czym opowiadał w piosenkach.

Stryjaszek zaczynał w Nashville jako śpiewak country. Ostatecznie stworzył własny rodzaj muzyki – wyspiarski eskapizm – i z tego żył. Śpiewał o uciekaniu na Wyspy Szczęśliwe. Jeden z jego kasowych hitów opowiada o tym, „jak by to było miło, spędzić Boże Narodzenie, na... Wyspie Bożego Narodzenia”. Ta wyspa istnieje naprawdę, ale jest położona w takim miejscu, że mało kto tam jeździ i mało kto wierzy w jej istnienie. Terytorium zależne Australii, oddalone od brzegów Australii o 1,6 tys. km. Ma powierzchnię taką jak Gdynia, ale mieszkańców zaledwie tysiąc – w zasadzie duża wioska. Wyspa Wielkanocna ma potencjał i jest celem turystycznym – Wyspa Bożego Narodzenia ma... NIC. I o czymś takim w latach 1964–2023 śpiewał Stryjaszek Buffett –

GRUBASY



FOT. W. CEJROWSKI/UTD/ARND BRONKHORST

o radości i szczęściu wynikającym z wielkiego nic.

Stryjaszek wiedział, co złego kryje się w tej cywilizacji, która wzięła początek w USA, a ostatecznie ogarnęła także Polskę. Stryjaszek wiedział, że przesyty jest szkodliwy i warto od niego uciekać. Miał wszystko – majątek i szczęście w życiu – a śpiewał o tym, że szczęście prawdziwe jest tam, gdzie nie ma nic, tam, gdzie jest... nic. Stryjaszek uciekał na plażę, na otwarte morze (był kapitanem własnego jachtu), uciekał ponad chmury (był pilotem i miał małe samoloty). Był inspirujący!

Krezus, który chodził boso lub w klapkach. Krezus w szortach i poszarpanej wiatrem koszuli w kwiaty z oderwanym guzikiem. Ten, kto wie, na czym rzecz polega, odcina górny guzik w każdej hawajskiej koszuli, którą kupuje. Bo szczęście i wolność [osobista, indywidualna, własna] polegają na tym, że się ani sam nie zapinasz pod szyję, ani że w ogóle nie ma takiej opcji, bo górnego guzika brak.

Cywilizacja Zachodu – w tym Polska! – cierpi na nadmiar i przesyty. Jesteśmy przesyleni. Ulewa nam się nosami. Mamy nawet te niepotrzebne nikomu i nigdy nieużywane guziki pod szyją. Ktoś je przyszywa, wiedząc, że nie posłużą do niczego, ale

jednak przyszywa. Cywilizacja niepotrzebnego nadmiaru.

Kto nie dowierza, niech spojrzy na ludzi biednych w USA lub Polsce – biedota jest najbardziej tłustą warstwą społeczną. A przecież biedak powinien być chudy i mizerny. Tak było dawniej i tak jest nadal w krajach Trzeciego Świata, ale w krajach Pierwszego Świata im kto biedniejszy, tym grubszy. Biedak kupuje taną paszę dla ludzi, napycha się tanio do syta, do przesyty i... tyje. W świecie Zachodu bogaci są chudzi, a za utrzymanie zdrowej sylwetki muszą słono płacić, natomiast biedni są grubasami.

I jeszcze coś – kiedyś biedny musiał ciężko pracować, tyrać, dziś biedny bardzo często nie pracuje wcale. Biednym proponuje się coraz większą płacę minimalną lub „płacę gwarantowaną”, nawet gdy nie pracują nigdzie i nigdy. W Polsce mamy dopiero pierwsze pokolenie ludzi, którzy nigdy nie pracowali, a mimo to mają co jeść i mają gdzie mieszkać za socjal. W USA mamy już trzecie takie pokolenie – dziadek był całe życie na zasiłkach i nie przepracował ani jednego dnia w całym swoim życiu, ojciec tak samo, a teraz syn. Patrząc na dziadka i ojca, syn nie chce pracować – idzie sobie po zasiłek, potem z zasiłku kupuje kablówkę, za kupony żywnościowe bierze ze sklepu darmowe żarcie (w tym piwo) i... żyje, grilluje, biesiaduje,

siedzi, tyje, narzeka, bo żaden zasiłek nigdy nie jest „wystarczający”.

W ramach naszej cywilizacji bogaci ciężko pracują, aby biedni mieli lekko.

Ktoś ma piekarnię. Czyli jak na polskie warunki jest bogaty. I co? Pierwszy przychodzi do pracy i ostatni wychodzi, nie bierze zwolnień, nie miga się od roboty – tyra, bo to jego piekarnia, jego zakład. Z tych wszystkich, którzy w tej piekarni pracują, najwięcej roboty ma najbogatszy, czyli właściciel. A wydawać by się mogło, że bogacz to się po prostu wyleguje na forsie i nic nie robi.

Stryjaszek, zanim umarł, zarabiał 70 mln dol. rocznie, w chwili śmierci miał 200 mln w gotówce, a w aktywnych biznesach 800 mln. Dorobił się samodzielnie. Dziadek Buffetta prowadził warzywniak. Drugi dziadek był kapitanem na parowcu (nieźle). Ojciec Buffetta był inżynierem okrętowym, później kongresmenem (całkiem dobrze). A sam Buffett został miliarderem. Czyli klasyczny amerykański sen. Ciężka praca i w ciągu jednego pokolenia, czasami dwóch lub trzech powstaje fortuna. Akumulacja kapitału, rozwój. Praca zamiast lenistwa, praca zamiast gnuśności, praca zamiast karkówki i Netflixu. No i płaca maksymalna, zamiast płacy minimalnej.

Koncepcja stale rosnącej płacy minimalnej, którą forsuje polska władza, jest szkodliwa. Demoralizuje ludzi i niszczy etykę pracy. Pracownik się nie starał, nie przykładął, ale dostaje podwyżkę urzędowo i wbrew woli szefa – bo rząd nakazał podwyższyć. © ©

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LUDSKIEGO
**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



~~492Zł~~

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

SŁAWOMIR KOPER:

„MISTRZOWIE POLSKIEGO
KABARETU”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

215,00Zł

OSZCZĘDNOŚĆ 277Zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

- Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%)
- Nie przegapisz żadnego wydania
- Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami
- Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
- W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

Gramy z mistrzem Polski!

zondacrypto 
Trade tomorrow, today

Weź udział w naszym konkursie!

Do wygrania
do 2 500 USD
w bitcoinie!

Dowiedz się więcej



Niniejsza treść nie stanowi porady inwestycyjnej, porady finansowej, porady handlowej ani żadnego innego rodzaju porady i nie należy jej traktować jako takiej; zondacrypto nie zaleca kupna, sprzedaży ani posiadania żadnej konkretnej kryptowaluty. Inwestowanie w kryptowaluty wiąże się z wysokim ryzykiem. Istnieje ryzyko utraty zainwestowanych środków w wyniku zmian kursów wymiany kryptowalut.

eprasa.pl e3d5reed47